

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 12 (277), Rok XXIV. GRUDZIEŃ 2018 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelny

ANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktora

MARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktora

TOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Kultura, literatura, sztuka

LAURA RYNDAK
Korekta

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS,
MAGDALENA DZIADEK,
RYSZARD JASNORZEWSKI,
PAWEŁ MAJERSKI,
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO,
WIEŚLAWA KONOPELSKA,
JAN MIODEK,
KATARZYNA NIESPOREK,
JERZY PASZEK,
HENRYK SZCZEPAŃSKI,
JOANNA WAROŃSKA,
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIC

ADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcja.slask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.
Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury
„RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice,
ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł,
kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane
pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne można zamówić
pod adresem:
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Maria Korusiewicz* O URODZIE CODZIENNOŚCI
8 *Agata Stronciwilk* SZTUKA JEDZENIA. O KULINARIACH I TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ
11 *Renata Waliczek* DOM PACHNĄCY PIERNIKIEM
14 *Michał M. Palica* LEONARD TATARCZYK: STUDENT, ŻOŁNIERZ I POETA
20 *Henryk Szczepański* OD MIKOŁAJA DO SYLWESTRA. ŚWIĘTA W DAWNYCH KATOWICACH
26 *ks. Jerzy Szymik* WIERSZE WIGILIJNE TADEUSZA KIJONKI
30 *Martyna Kleszcz* UTRACONE SMAKI ZIÓŁ
34 MIASTO Z PORCELANY. WIDOKI TARNOWSKICH GÓR NA SERWISIE CARNALLA
40 *Marian Kisiel* PORTRETY MISTRZÓW: PROFESOR PAWEŁ MAJERSKI
43 *Katarzyna Niesporek* HANYS I HAŁDA O POEMACIE WILHELMA SZEWCZYKA
48 *Marek Skwara* DIALOG
50 *Grzegorz Stiasny* NOMADYCZNY SALON
52 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* OSTATNIA WIGILIA PAŁACU W GOSZCZU
54 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* SCHRON OTWARTY PRZED WIGILIĄ
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* DZIEŁA WSZYSTKIE: ZEBRANE CZY ŻEBRANE?
(NORWID – MICIŃSKI – ZEROMSKI)
66 *Stefan Gierlotka* ŻŁOBEK W BAZYLICE OJCÓW FRANCISZKANÓW
W KATOWICACH-PANEWNIKACH
74 *Katarzyna Niesporek* ŚWIATY POETYCKIE GENOWEFY JAKUBOWSKIEJ-FIJAŁKOWSKIEJ
76 *Marian Grzegorz Gerlich* ŚWIĘTA BARBARA – KOBIETA UNIWERSALNA
79 *Jan Malicki* BIAŁE KRUKI BIBLIOTEKI ŚLĄSKIEJ: TRZY WIGILIE KRAKOWSKIEGO
UCZONEGO
88 *Tomasz Bienek* WOJENNE WIGILIE, WOJENNE PREZENTY

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 18 *Michał Oleś* OJCOWIE NIEPODLEGŁOŚCI – GALERIA
69 GALERIA: ŻŁOBEK W BAZYLICE OJCÓW FRANCISZKANÓW
W KATOWICACH-PANEWNIKACH

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Grzegorz Słobodnik* PAMIĘCI DZIADKA TOMASZA
12 *Grzegorz Słobodnik* WIERSZE
25 *Małgorzata Fabrycy* „PAMIĘTAM” (FRAGMENT)
28 *Tadeusz Kijonka* WIERSZE
46 *Thad Rutkowski* PAN TADEUSZ (przełożył *Henryk Cierniak*)
56 *Grzegorz Wilczek* PRZYPOWIEŚĆ MARIACKA
82 *Marek Piechota* KOT

FELIETONY

- 36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* SZCZEDRZYKOWICE – SZCZODRE,
JEZIERZANY – JEZIORANY
37 ROK OLIMPIJSKI *Ryszard Jasnorzewski* ZŁOTY ZA PŁODY
38 MIĘDZY NUTAMI. *Magdalena Dziadek* 100 LAT MUZYKI POLSKIEJ
39 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Grzegorz Gerlich* ZMARTWYCHWSTANIE POLSKI
I BOŻONARODZENIOWE ŚWIĘTOWANIE
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* ALEKSANDER GABRYŚ – ARTYSTA KOMPLETNY

KSIĄŻKI

- 62 *Katarzyna Frąckowiak* CZY POEZJI (JESZCZE) POTRZEBNY JEST CZŁOWIEK?
63 *Katarzyna Niesporek* „SIĘGNĘ PO OBŁOK NA NIEBIE”
64 *Krzysztof Heska-Kwaśniewicz* EMILII KIEREŚ PRZEWODNIK PO „BALLADACH I ROMANSACH”
64 *Dawid Frik* O ODKRYWANIU STAROŚCI I NIE TYLKO.
ROZMOWA Z PROF. ADAMEM A. ZYCHEM
87 KSIĄŻKI NADEŚLANE

Z ŻYCIA BIBLIOTEK

- 80 *Edyta Antoniak-Kiedos* BIBLIOTEKA – DOBRE MIEJSCE NIE TYLKO DO CZYTANIA!

NOTATNIK KULTURALNY

- 84 CIESZYN, CHORZÓW, CZĘSTOCHOWA, KATOWICE, TARNOWSKIE GÓRY, ZABRZE

WEWNĄTRZ NUMERU TAKŻE:

Agnieszka Korusiewicz, Bogna Skwara, Bogdan Topor, Krzysztof Zarębski

NA OKŁADCE: Joanna Motyka, „Szopka Śląska” 1998, olej, płótno.

Pismo wspierane finansowo przez:	<p>Projekt objęty mecenatem MIASTA KATOWICE</p>  <p>KATOWICE <small>dla odmiany</small></p>	<p>Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.</p>	 <p>Śląskie.</p>
----------------------------------	--	---	---

Od Redaktora!

Grudzień kończy każdy współczesny kalendarz, jest znakiem definitywnego finału (wiedzą o tym dobrze np. księgowi, planiści, itp.), symbolizuje więc nasze przemijanie, unicestwienie nieuchronnie mijającego czasu (roku); dobra, którego nie da się w żaden sposób odtworzyć, bezpowrotnie straconego skarbu jakim jest każda mijająca doba naszego życia. Z drugiej strony to okres oczekiwania i przygotowań do radośnych świąt, okraszonych choinkami, prezentami, wzajemnymi odwiedzinami, Wigilią jednoczącą nas wszystkich; to czas Adwentu i Świąt Bożego Narodzenia. Wszystko to dzieje się wg jakiegoś kalendarza, czyli umownej rachuby upływających dni i nocy. Babilończycy już XVIII wieków p.n.e. według kalendarza księżycowego podzielili tydzień na siedem dni, starożytni Egipcjanie wg słońca podzielili dobę na 24 godziny, a rok na 12 miesięcy, za to starożytni Grecy – co prawda także spoglądali na księżycowy rok, ale poszczególne państwa-miasta miały własne nazwy miesięcy i różne sposoby dostosowywania roku księżycowego do słonecznego (np. co kilka lat dodawano dodatkowy miesiąc). U Rzymian, których miesiące mogły mieć różną długość, pierwszy dzień miesiąca zawsze nosił nazwę *Calendae*, a księga w której zapisywano rachunki oraz owe dni, święta i odmiany księżyca zwana była *Calendarium*. Juliusz Cezar w roku 45 p.n.e. sprowadził z Egiptu astronoma Sosigenesa i uporządkował liczbę miesięcy oraz ilość w nich dni, tworząc w ten sposób *Kalendarz Juliański*. Po 128 latach od tej dyspozycji, Papież Grzegorz XIII, chcąc „dogonić stracony” w minionym okresie czas, porozumiał się z astronomem Liljuszem i postanowił, że w roku 1582 po dniu 4 października, następny będzie nosić datę 15 października.

10 dni z życia człowieka przepadło bezpowrotnie, ale dzięki temu powstał kalendarz do dziś nas obowiązujący

zwany gregoriańskim. Włosi, Hiszpanie i Portugalczycy pogodzili się z tą decyzją bez większych oporów, Francuzi na wszelki wypadek chwilę poczekali i z dnia 9 grudnia, w następnym zrobili sobie już 20 grudnia 1582, niektóre inne nacje nieco później wdrożyły tę reformę, protestanci niemieccy ostrożnie bo dopiero w 1700, a Anglicy – jak to wypiarze zwykli czynić – dopiero w 1752, w Rosji sowieckiej w... 1918. Polacy natychmiast w 1582 roku w październiku bez szemrania – wprowadzili zmianę daty nazywając ten rok: *annus correctionis*. W Rzeczypospolitej nikt nikogo nie zmuszał do wprowadzenia tej korekty, wyznawcy kościoła greckiego w ówczesnej Polsce nie zastosowali się do tej „nowinki” i jeszcze długo trawli przy swoim „starym” kalendarzu. Warto także wspomnieć, że pierwszy już gregoriański kalendarz ukazał się w Polsce w Krakowie – co prawda po łacinie – lecz zaraz w pierwszym, po ogłoszonej reformie roku: 1583.

Od XV wieku uczeni, profesorowie sławnej uczelni krakowskiej, a później i innych szkół mieli obowiązek sporządzać i publikować przygotowane przez nich kalendarze, o popularności owych dzieł świadczą wielkie nimi zainteresowanie m. in. w Wiedniu i Heidelbergu, Rzymie, Lipsku, gdzie ukazywały się one pod tytułem *Practica Cracoviensis*. A były to i pozostały do dziś dzieła niezwykle interesujące; bowiem dokumentowały m. in. poza danymi astronomicznymi (I kwadra, nów, pełnia itd.) – dni w których: **puszczenie krwi jest dobre, stawianie baniek, dobry czas na łaźnie prócz baniek, dobry czas na lekarstwo przez trunek, na strzyżenie włosów, dobry czas na siew, na zostawianie dzieci w domu, feralne dni klimateryczne**, itp. Kalendarze zawierały także przepowiednie, wróżby i wiele innych historycznych, politycznych, obyczajowych informacji (zabobony). Były i są więc to dzieła, które wbrew naturze zatrzymują dla nas czas i zdarzenia z myślą o współczesnych i potomnych oraz przekazują zapowiedzi przyszłych wydarzeń (*prognostyki*). Kalendarze i ich rola zmieniały się w ciągu wieków, kiedyś bogata treść ubożała i chociaż dziś ich znaczenie zmalało, a ich formy są maksymalnie uproszczone – w dalszym ciągu w ciszy odmierzają upływający nieuchronnie burzliwy czas – wiodąc nas i towarzysząc nam w drodze ku radosnemu końcowi każdego mijającego roku 31 grudnia w dniu św. Sylwestra.

Grudzień to miesiąc w którym obchodzimy: 1.12. Światowy Dzień AIDS; 3.12. Międzynarodowy Dzień Osób Niepełnosprawnych; 5.12. Międzynarodowy Dzień Pomocy Cierpiącym (Dzień Wolontariatu); 10.12. Międzynarodowy Dzień Praw Człowieka; Międzynarodowy Dzień

Ochrony Praw Dziecka; 13.12. Dzień Pamięci Ofiar Stanu Wojennego.

Wydarzenia z tego miesiąca, o których pamiętamy to m.in.: **(Nauka)**: 15.12.1862 Uruchomienie Kolei Warszawsko Petersburskiej; 2.12.1942 Enrico Fermi uruchomił na stadionie w Chicago pierwszy reaktor jądrowy Chicago Pile -1; 16.12.2017 Amerykanin John Bardeen i Walter Houser Brattain z Bell Labs skonstruowali pierwszy działający typ tranzystora; 5.12. 1952 Nad Londynem zaległ „Wielki smog” który stał się przyczyną śmierci kilku tysięcy osób; 5.12.1957 W Leningradzie zwodowano pierwszy cywilny statek o napędzie atomowym, lodołamacz „Lenin” 1.12.1962 Dla poszerzenia Alei Solidarności (dawniej: Alei Świerczewskiego) nocą z 30.11 na 1.12 przesunięto o 21 metrów warszawski kościół karmelitów; 3.12.1967 Christian Barnard przeprowadził pierwszą na świecie operację przeszczepu serca u człowieka; 3.12.1992 Wysłano pierwszy sms; 5.12. 1992 Telewizja Polsat zainaugurowała swoją działalność za pośrednictwem satelity Eutelsat; 13.12.2007 Podpisano Traktat Lizboński; **(Literatura, Kultura)**: 27.12.537 Konsekracja konstantynopolańska bazyliki Hagi Sofia (kościół Mądrości Bożej); 24.12.1798 Rocznicą urodzin Adama Mickiewicza (w 2018: 220 rocznica); 20.12.1812 Ukazało się pierwsze wydanie *Baśni* pióra braci Grimm; 1.12.1887 Opublikowano nowelę A. Conan Doyle’a, w której po raz pierwszy pojawia się postać *Sherlocka Holmesa*; 18.12.1892 Premiera baletu Piotra Czajkowskiego *Dziadek do orzechów*; 3.12.1947 Na Broadwayu odbyła się premiera sztuki Tennessee Williamsa *Tramwaj zwany pożądaniem*; 6.12.1953 Śmierć Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (w 2018 65 rocznica śmierci); **20.12.1963 śmierć Gustawa Morcinka (w 2018: 55 rocznica śmierci)**; 5.12.1988 śmierć Teodora Parnickiego, (w 2018 minęła 30 rocznica); 10.12.1997 Rada Języka Polskiego ustaliła łączną pisownię partykuły „nie” z imiesłowami przymiotnikowymi; 12.12.1997 Powstał Wikisłownik, alternatywa Wikipedii; 16.12.1997 około 700 japońskich dzieci trafiło do szpitali z objawami epilepsji po obejrzeniu odcinka anime z Pokemonami.

Kalendarze kiedyś skutecznie straszyły i przestrzegały swoich czytelników przed *dniami feralnymi*, ale nigdy z takimi skutkami jak przywołane wyżej *Pokemony*, więc pewnie lepiej namawiać dziś dzieci do czytania w okresie świątecznym i noworocznym, nawet bardzo starych kalendarzy, niż zgadzać się na bezmyślne oglądanie nieznanych ich rodzicom kreskówek.

GRZEGORZ SŁOBODNIK

PAMIĘCI DZIADKA TOMASZA

Suche łyzy bywają
 łaskawe
 jak słoneczny dzień
 przed i po burzy
 Lekki katar może
 być
 chroniczną chorobą
 każdego stulecia
 Kulawe drogi
 prowadzą do
 niezwykłych zarośli
 Święci spierają się o
 wszystko
 są dokładni i
 wymagający
 W kościele świętego Tomasza
 wiatrowe wieże
 opierają się na ziemi
 i dotykają nieba
 w czasie głośnych
 modlitw
 Dziadek Tomasz
 odchodził w Nieznane
 dom pochylał się nie
 niżej czerwonych wiśni
 paciorki różańca śmigały
 wśród niecierpliwych
 palców
 Dziadek Tomasz już
 patrzy na wszystko
 przez niebiańskie okno
 Dwa koniki polne
 zagrały na skrzypcach
 będzie długie bardzo ciepłe
 lato



Rys. Bogna Skwara

Grzegorz Słobodnik urodził się 6 listopada 1932 roku w Warszawie. Debiutował jako poeta w 1956, był współtwórcą grupy literackiej Reduta 57, działającej przy Klubie Inteligencji w Sosnowcu. Członek-założyciel Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Autor kilku tomików wierszy, m.in. *Ucieczka do strofy* (1988), *Strome brzegi* (1990), *Wiersze na późny wieczór* (1992), *Wiersze* (wybór, 1995), *Trzecia pogoda* (2002). Przez wiele lat związany zawodowo ze szkolnictwem górniczym w Katowicach i Chorzowie.

O urodzie codzienności

MARIA KORUSIEWCZ

Za oknem w ciemności wieczoru prószczy śnieg. Niebieskawy na pobliskim trawniku, liliowy na dwóch puchatych świerkach, biały w świetle latarni. Skrzy się srebrzyście na chodnikowych płytach. A tu, w domu, same ciepłe kolory, ogień buzuje w kominku, w kuchni drewniane meble miękko dotykają mojej ręki, zaraz będę cieszyć się pyszną bursztynową herbatą z malinowym sokiem i kawałkiem szarlotki z zebranych wczesną jesienią jabłek. Rozespany pies ziewa na fotelu. Otulam się kocem w czerwono-zieloną kratkę i sięgam po telefon. Zadzwońię do przyjaciółki. Idą święta.

Uroda codzienności, ale także inne jej zmienne i nietwałe oblicza, stały się od jakiegoś czasu, a konkretnie od lat 30. zeszłego stulecia obiektem zainteresowania estetyków, którzy wcześniej – zgodnie z tradycjami estetyki wywodzącej się jeszcze od filozofa z Królewca, Immanuela Kanta – zajmowali się głównie przedmiotami sztuki. Co więcej, owe przedmioty najchętniej były kontemplowane w przestrzeni muzeów i galerii, a przeżycia jakich dostarczały, określane były mianem „doświadczeń estetycz-

nych” – rzadkich, wyjątkowych i nieprzynależnych do sfery szarej codziennej egzystencji. Co więc się zmieniło?

O historii słów parę

W roku 1934 amerykański filozof, psycholog i pedagog, John Dewey opublikował książkę zatytułowaną *Sztuka jako doświadczenie* (*Art as Experience*) przekonując, że doświadczenie estetyczne jest dostępne niemal w każdej dziedzinie ludzkiego życia, poczynając od prostych codziennych czynności jak przygotowywanie posiłku, spacer po parku, czy rozwiązywanie zadań matematycznych, a kończąc na kontakcie z wielką sztuką. Taka możliwość argumentacji powstała w momencie, kiedy za element podstawowy uznane zostało nie dzieło, czyli przedmiot, lecz doświadczenie, czyli ulotne przeżycie, które nas dotyka i angażuje we wszystkich swoich aspektach – także w aspekcie estetycznym. I dzisiaj, po tylu latach i wydarzeniach w dziedzinie estetyki nadal – pisząc o codzienności – odwołujemy się do Dewey’a, który dosłownie otworzył furtkę, przez którą do dostojnych komnat estetyki wleciała migotliwa, hałaśliwa i niestabilna chmara zjawisk, odczuć i spraw.

Powoli, pomiędzy szacowne małowidła i drogie grafiki wdarły się rysunki dziecięce, bazgroły na murach, plamy na tynku starych domostw i linie deszczu spływającego po szybie. Pomiędzy partytury koncertów – szelest liści w jesienny dzień, odgłosy ulicy, pokasywania chorych i gđkanie kur na podwórku.

Ale estetyczność otaczającego nas świata oddziałuje na wszystkie zmysły, nie tylko na wzrok i słuch, chociaż tylko te dwa, jako tak zwane *zmysły dystansu*, uważane były przez europejską tradycję kulturową za szlachetniejsze i jedyne właściwe dla odbioru sztuki. Ich wyższość potwierdzano poprzez podkreślanie „bezinteresownej” kontemplacji wzrokowych i słuchowych bodźców. Dla artyści z kolei oznaczało to możliwości artystycznej kreacji, czyli tworzenia w materii dostępnej dla wzroku i słuchu kolejnych przedstawień, podlegających interpretacjom i krytyce i...niemalże wiecznotwałych. Wielka sztuka przek-

azywana jest wszak z pokolenia na pokolenie, odkrywana i czczona po setkach lat jak białe greckie posągi, czy pokryte patyną wieków freski Kaplicy Sykstyńskiej. Widz spotyka się więc z tak rozumianą sztuką niejako poza nurtem rzeczywistości, poza czasem, w niezmiennym, niemal metafizycznym trwaniu rzeczy pięknych.

Jak więc porównać te doświadczenia z tym, co przynosi nam dotyk, smak i węch, czyli tak zwane *zmysły kontaktu*, które są czystą obecnością – rzeczywistością samą w sobie, bo jakże można by przedstawić zapach, czy dotyk? Innym zapachem? Poprzez imitację dotyku? Nie jest to możliwe. Być może ich automatyczne pomijanie przez sztukę było więc w pewien sposób uzasadnione. W naszej tradycji pozostała więc głęboko zakorzeniona wizja hierarchii zmysłów i, w konsekwencji, hierarchii doświadczeń, w której doświadczenie estetyczne zawsze było wyjątkowe.

W konsekwencji, w sferze teorii estetycznej istniała degradacja tych sfer ludzkiego doświadczenia, które w najbardziej namacalny sposób zagrażają wyżej wspomnianym *bezpośrednim* kontaktem, dosłownym ubrudzeniem się miękkim błokiem przed domem, nieapetyczną strużką sosu ściekającego po brodzie pod koniec obiadu, a tym bardziej – fetorem gnijących szczątków, czy nawet nieoczekiwane gorzkim smakiem migdałów, zwłaszcza jeśli włączone są one w strumień rzeczy codziennych.

U źródeł tej postawy można podejrzewać istnienie pewnej odrazy, a może nawet lęku, wobec zagubienia granicy pomiędzy życiem a sztuką, między tym, co szare i codzienne, a tym, co interesujące i bezpieczne, bo mediowane przez sztukę i jej przedstawienia. Otwarcie się na niekontrolowaną i nieprzewidywalną ingerencję rzeczywistości w sferę estetyczną wydawało się niedopuszczalne. Niemniej, w wieku dwudziestym, a szczególnie w jego kilku ostatnich dekadach nie tylko estetycy, ale przede wszystkim sama sztuka poszła w tym właśnie kierunku, choć – do czego za chwilę przejdę – nigdy nie było to tożsame z koncepcjami tej estetyki, którą dzisiaj nazywamy estetyką codziennego życia.

Sztuka a codzienność, czyli „przymierzajcie stopy do butów”¹

W otwieraniu nowych sposobów myślenia ogromną rolę odegrała sztuka popularna, sławny pop art, a wraz z nim nieustannie zapożyczanie codzienności na użytek sztuki. Korzystano także ze zjawisk typowych dla filmu, komiksu, kultu celebrytów, czy też reklamy. Najbardziej chyba znanym symbolem pop artu są wystawione w kalifornijskiej galerii w roku 1962 sławne trzydzieści dwie serigrafie przedstawiające rozmaite puszki z zupą pomidorową z ryżem firmy Campbell. Autor tych dzieł, Andy Warhol, w krótkim czasie został jednym z najslaw-

Fot. Maria Korusiewicz



Zima przed domem



niejszych i najlepiej zarabiających artystów naszych czasów. Nieco inaczej odnosiły się do nowo odkrytej codzienności szybko rozwijające się formy sztuk tzw. performatywnych, przede wszystkim happening i performance. Happening (ang. „dzianie się”), to mniej lub bardziej zorganizowane wydarzenie o charakterze artystycznym, które może rozwijać się także spontanicznie z udziałem publiczności. W Polsce jednymi z pierwszych były sławne happeningi Tadeusza Kantora.

W roku 1965 w kawiarni Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie Kantor w obecności widzów wykonał czternaście codziennych czynności, jadł, pił, golił się, ubierał i tak dalej, ale czynności te w wykonaniu artysty zostały pozbawione sensu, a więc stawały również pod znakiem zapytania sens codzienności. Dwa lata później Kantor przeprowadził inny happening, który być może pamiętają jeszcze starsi mieszkańcy Warszawy. Siedmiu umundurowanych listonoszów przerosło z Poczty Głównej do Galerii Foksal ogromny list o rozmiarach dwa na czternaście metrów. Pochód odbywał się dostojnie, pod opieką milicji, komentowany przez wyznaczonych przez artystę „sprawozdawców”, by po ponad dwóch godzinach dotrzeć do „adresata”, czyli wspomnianej Galerii, gdzie oczekiwała już zgromadzona publiczność.

W ramach happeningów „działa się” wszelkie możliwe sposoby kwestionowania rzeczywistości i jej praw: dyrgowano falami Bałtyku, sadzono gazety zamiast roślin (Tadeusz Kantor), sadzono również krany na grządkach i podlewano wodą, a w miejsce klawiatury fortepianu wsypywano piasek, układając jednocześnie klawiaturę na wysypnym również na ziemi piasku (Krzysztof Zarębski).

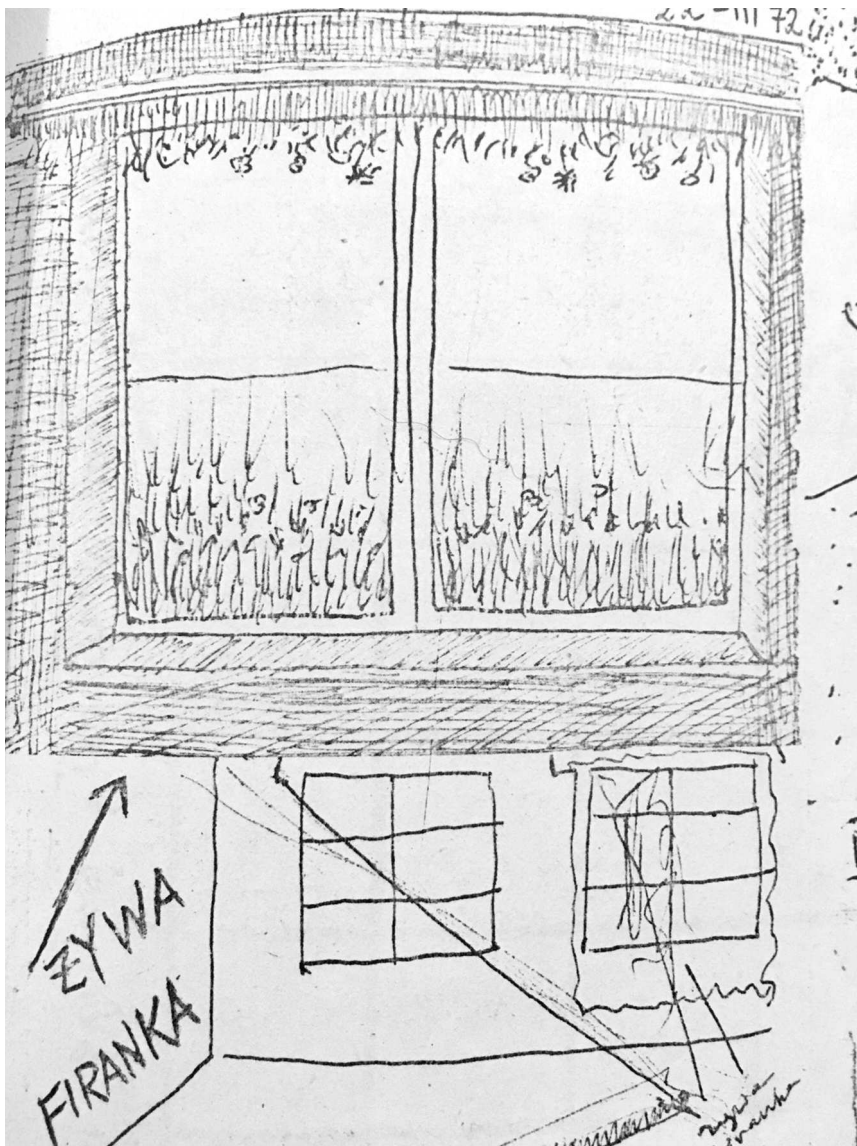
Nieco bardziej zdyscyplinowane okazało się performance (ang. „przedstawienie”, „wykonanie”, „), czyli forma działania artystycznego, w której przedmiotem i podmiotem jest ciało i psychika samego artysty-performera, który staje się zarówno twórcą jak i „materiałem” własnej twórczości. W naturalny sposób, codzienność i jej zjawiska znalazły się w orbicie tych działań, ponieważ performerzy poruszali się z reguły w dziedzinie rzeczy i spraw zwyczajnych, zmieniając jednak ich widzenie i oczywiście – proponując interpretację. W Polsce performance rozwijało się szybko i z dużym powodzeniem, zarówno w środowisku artystów jak i publiczności. Pozwalało organizować wspólnie uczestników nadając barwy szarej rzeczywistości polskiej lat 70. Lista artystów zapełniłaby wiele stron, wspomnę więc tylko dość nietypowy duet artystów warszawskich, Zofię Kulik i Przemysław Kwieka (podpisujących się jako KwieKulik). W ich pracach powtarzały się motywy wody, stołu, rozmaitych miednic i naczyń na wodę, czy też motyw głowy (Zosi lub Przemka), na przykład, występującej ku zaskoczeniu widzów z otworu w stole lub w krześle ustawionym pośród innych krzeseł na zapełnionej sali. Tak wła-

PRZYMIERZAJCIE STOPY DO BUTÓW

Notka ze zbiorów KwieKulik



„Body”, performance, duet KwieKulik 1978 (zbiory własne M.K.)



„Żywa Firanka”, szkic, Krzysztof Zarębski (zbiory własne M.K.)

śnie rozpoczynało się „działanie” w BWA w Lublinie w roku 1978.

Tak więc, od lat 60. zeszłego wieku tendencje znoszące granicę między tradycyjnie pojmowaną sztuką a rzeczywistością nasilały się; pośród nich znalazły się koncepcje artystów zachodnich związanych z ruchem zwanym Fluxus (odpowiadające łacińskiemu określeniu „w ruchu”), którego hasłem było między innymi „robienie sztuki” w każdym momencie naszego codziennego bytowania². Fluxus głosił uwrażliwienie na rzeczywistość. Zgodnie z poglądami jednego z głównych przedstawicieli, Johna Cage’a, „sztuka nie powinna być czymś odmiennym od życia, ale działaniem w obszarze życia. Powinna upodobnić się do życia z jego przypadkami, zmiennościami, z jego różnorodnością i nieuporządkowaniem i rzadkimi chwilami piękna”. Kreowano więc drobne działania i wydarzenia – z założenia codzienne – minimalizując różnicę pomiędzy życiem a tym, co artystyczne. Zawsze jednak pozostawał aktualny zamysł cudownej zamiany życia w sztukę. Człowiek wkraczając we własną codzienność miał w pewnym sensie pozostać lub stać

się artystą. Przykładem takiego myślenia jest spostrzeżenie zanotowane przez znanego geografę kulturowego Yi-Fu Tuna, do którego dzisiaj chętnie odwołują się zwolennicy estetyki codzienności.

„Kiedy odkurzam dywan i w trakcie tej czynności tworzę schludne pasy splaszczonych włókien, kiedy spoglądam na czysto wydrukowaną stronę tekstu, kiedy rolnik stara się zorać pole rzędem równych bruzd, a cieśla z poczuciem dumy spogląda na wykonane przez siebie łączenia drewna, to poczucie satysfakcji nieodmiennie posiada estetyczne zabarwienie. Wszystkie te czynności są próbami utrzymania lub stworzenia drobnych przestrzeni uporządkowania i znaczenia, chwilowych trwałości stanu rzeczy wymierzonych przeciwko nieokreśloności i chaosowi. I na próby te można spoglądać, z co prawda przelotną, ale jednak przyjemnością artysty”³.

Uroda codzienności

Yi-Fu Tuan, badając owe drobne estetyczne przyjemności, wpada tu w pułapkę tradycyjnego poglądu, zgodnie

z którym dopiero akt świadomej kreacji nobilituje codzienność, podnosząc ją do rangi estetyczności. Ale jak inaczej uchwycić urodę codzienności? I tutaj warto poczynić istotne zastrzeżenie. Otóż samo pojęcie *codziennosci* jako pozbawionej głębszych sensów dziedziny nudy, szarzyzny i niezróżnicowania, rozciągającej się poza Czasem Wyróżnionym – czasem Świąt, Wakacji i innych Ważnych Wydarzeń jest ideą specyficznie zachodnią, która uzyskuje swoje wzmocnienie poprzez współczesną schematyzację życia, jego coraz szybszy bieg i zmniejszenie ilości czasu, jaki moglibyśmy poświęcić na czynności powszednie. W rzeczywistości polskiej, odczucie szarzyzny codzienności sięga przede wszystkim lat PRL-u, szarych blokowisk, zaniebanych skwerów i podwórek, płaszczy ortalionowych w praktycznych odcieniach szarości i beżu, ubogich witryn sklepowych i w większości estetycznie nieciekawych wnętrz naszych mieszkań.

Niemniej, coraz częściej, w zgiełku współczesnego życia, pragniemy właśnie tu, w naszej codzienności, zadomowić się, znaleźć swoje miejsce, a w konsekwencji sens. Coraz częściej poszukujemy dróg powrotu do egzystencji, która przynosiłaby zadowolenie, wynikające z poczucia przynależności oraz pewien przewidywalny, odpowiedni do naszego temperamentu i potrzeb rytm spraw. Powracamy nostalgicznie do zapachów i smaków, dzieciństwa, otaczamy się chętnie przedmiotami, które uspokajają: przynoszą wspomnienia lub obiecują miłe wydarzenia, pieczołowicie przechowujemy pamiątki minionej codzienności. Porcelana po Babci, stół, przy którym siadaliśmy do kolacji przez te wszystkie lata, ulubiony szalik, którego przecież nie wyrzucę. To one mówią nam, kim jesteśmy. Budujemy sobie z nich dom pośród wszechobecnej kruchości losu, entropii spraw. W tym kontekście humaniści mówią o oikologii, czyli refleksji nad domem i poczuciem zadowolenia, o pojęciu „miejsca” jako lokum naszego bytowania. „Miejsce powstaje, gdy ‘drobne sprawy’ nagle ujawniają głęboki związek mojego bycia ze światem. [...] Poprzez niepojęte do końca związanie mnie ze światem za pośrednictwem ‘drobnych spraw’, odkrywam, że dopiero znajduję się w poszukiwaniu samego siebie”⁴.

Jednak dużo bliżej nas niż naukowe dyskursy toczy się codzienność i w niej czeka szansa na urodę życia w całej skali jego barw. Jedną z najwybitniejszych autorek piszących o estetyce codzienności, Yuriko Saito wykładająca na amerykańskim uniwersytecie Rhode Island, komentuje to następująco: „Nasze życie estetyczne obejmuje nie tylko przyjemne, ale i nieprzyjemne doświadczenia, określane jako przygnębiające, wywołujące obrzydzenie lub strach. W moim pojęciu pojęcie estetyczności dotyczy także takich jakości jak „poplamione”, „niewyraźne”, „zwykłe”. Moja negatywna, choć spokojna reakcja na poplamioną, brudną scia-



nę, nieważne jak bardzo trywialna i niewyrafinowana, jest reakcją *estetyczną*.⁵

Rzeczy nieporządne i uporządkowane, brudne i czyste, nowe i stare, młode, świeże i pomarszczone, czy też spróchniałe, gnijące, w stanie upadku, kwitnące i przywiędłe, pachnące i smrodliwe, słodkie i gorzkie, miłe w dotyku i szorstkie lub kłujące, wyschnięte i błotniste, a także żywe i martwe; w tradycjach zachodnich, większość tych jakości oznaczających chwilowe stadia lub stany zawsze-zmiennego, przemijającego świata przypisana była do sfer życia uznawanych za niższe, mniej szlachetne, a przede wszystkim – niewarte uwagi, a tym bardziej szacunku. W zachodnim myśleniu nietrwałość była zawsze silnie związana z obrazem niedoskonałości. I taki obraz codzienności stanowi również kłopot dla wielu estetyków. Allen Carlson zastanawia się w tym kontekście nad estetyczną oceną wszystkiego, co nas otacza: „Nie możemy cenić wszystkiego; muszą być ograniczenia i odpowiednie rozłożenie akcentów. Bez takich ograniczeń i akcentów nasze doświadczenia byłyby tylko chaotyczną mieszaniną fizycznych doznań bez jakiegokolwiek znaczenia lub wagi. Byłyby tym, co William James nazywa brzęczącym, bzyzącym zamętem.”⁶

Jest jednak jeszcze inne wyjście z tej sytuacji. Może powinniśmy, jak sugeruje Paulina von Bonsdorff, koncentrować się raczej na formach relacji tworzących pełnię bytowania człowieka w świecie, pełnię, która obejmuje pamięć i projekcje przyszłości, tęsknoty i marzenia, wyobraźnię i proste potrzeby praktyczne. Podobne intuicje niosą ze sobą przecież nasze własne domowe tradycje, o których przed chwilą pisałam. Najczęściej łączymy je z – jakże znaczącą – pamięcią wspólnoty: wspólne świętowanie, wspólne zamieszkiwanie, a także przyjemność wspólnej pracy. W podobnej formie jedna z moich przyjaciółek proponowała nam często „pracę kobiet”. Ten tajemniczy termin oznaczał uroczyste spotkania przy kawie, śmiechach i płoteczkach, podczas których wzorem pań z opowieści o „Ani z Zielonego Wzgórza” z zapalem wykonywałyśmy mało interesujące domowe zajęcia, jak chociażby czyszczenie przypalonych garnków, czy kiszenie ogórków.

Ucząc się codzienności od codzienności – czyli o nawiązywaniu relacji

Codziennosc jest przestrzenią, w której nawiązujemy najściślejsze możliwe relacje ze światem, wchodzimy w dialog. Aby jednak ów dialog ze światem nie był jedynie pustą metaforą, niezbędne jest uznanie podmiotowości tego, co po drugiej stronie, podjęcie rozmowy. Być może jeszcze lepiej odpowiadałoby tym wyzwaniom słowo *spotkanie*. Zakres znaczeniowy spotkania jest nie tylko pozbawiony nuty przemocy, która pobrzmiwa w klasycznym rozumieniu dialogu, ale przyzwala również



Balagan na kuchennym parapecie

Fot. Maria Korniewicz

na pewne pochylenie, uważność, nawet jeśli spotkanie jest przypadkowe. Spotkanie, w przeciwieństwie do dialogu, nie wymaga również wyrównanego statusu czy podobieństwa natury swoich uczestników, co sugeruje sam język. Możemy spotkać się z górami, z miastem, z historią, ze zwierzęciem, a nawet z supermarketem, wysypiskiem śmieci czy zdewastowanym billboardem. Podstawową funkcją spotkania jest pewne otwarcie psychiki, gotowość na ciąg dalszy, na relację w odniesieniu do różnicowanej i wielogłosowej podmiotowości świata, w którym pragniemy zamieszkać.

Świadomość owego spotkania ma niezwykle istotne znaczenie w świecie codzienności, gdzie rzeczywistość, w przeciwieństwie do niezmienności obrazu w ramie, podlega procesom budowania i niszczenia, rozkwitu i rozpadu. Pierzemy przepoconą pościel, tynkujemy spękane ściany, drzemy na kawałki stare fotografie, wstawiamy do wazonu ścięty, a więc umierający kwiat, ale jednocześnie te same ściany potrafią się nam zwalić na głowę i nieodmiennie ulegamy urokowi świeżości pościeli, pachnących kiści bzu, tęsknocie fotografii.

Yuriko Saito, szukając wskazówek dla doświadczenia estetycznego sięga ku starym zasadom sztuki japońskiej, ku słowom sławnego autora haiku, Matsuo Bashō. Proponuje on, by po pierwsze „nasłuchiwać głosu” rzeczywistości wokół nas i w nas, bo przecież nosimy ją w sobie. Po drugie, dobre spotkanie z rzeczywistością powinniśmy widzieć jako proces *uczenia się*.

Możemy więc uczyć się porcelany poprzez miękkie światło filizanki, drewna poprzez zapach lasu, ale też dotyk dębowej podłogi, poprzez użytkowanie drewnianej łyżki i pustkę po zrąbanej lipie przed domem. Ucząc się miejskiej przestrzeni poprzez ścieżki, jakie wydeptujemy w zaplanowanych przez architektów trawnikach, skracając sobie drogę do domu, ale też poprzez porządkowanie i upiększanie zaniedbanych podwó-

rek, jak to robią zwolennicy inicjatywy „Plan na glanc”. Ucząc się codzienności od samej codzienności, obdarzając ją szacunkiem, podchodząc do niej z uważnością i dbałością. To także dbałość o innych dzielących z nami życie, dbałość o to, co inne. Dbłość może być piękna.

To dzisiaj podstawowe zadanie ponieważ nasza estetyczna relacja z tym, co nas otacza posiada zdumiewającą moc kształtowania świata, a w konsekwencji – jakości naszego życia. I ostatecznie to z codzienności wyrasta najczęściej piękny kwiat poezji. Przeczytałam ostatnio wiersz średniowiecznego indyjskiego mistyka Kabira, który na tyle zachwyił Czesława Miłosza, że przełożył go na język polski.

Wewnątrz tego glinianego garnka są al-tany i gaje i wewnątrz mieszka Stwórca.

Wewnątrz tego garnka jest siedem oceanów i niepolczone gwiazdy.

Wewnątrz tego garnka rozlega się muzyka wieczności i bije źródło wszelkiej wody.

¹ Jedno z haseł przechowywanych w dokumentacji duetu KwieKulik.

² Nazwa „Fluxus” została zastosowana przez G. Maciunasa w roku 1962; do rozpowstania idei Fluxusu przyczyniła się działalność Maciunasa prowadzona wspólnie z nowojorskim wydawnictwem D. Higginsa, oraz działalność szerokiego, międzynarodowego grona artystów w latach 60. i 70.

³ Yi-Fu Tuan za: Yuriko Saito *Everyday Aesthetics*

⁴ Aleksandra Kunce, *Mapa domu* w: T. Sławek, A. Kunce, Z. Kadłubek, *Oikologia, Nauka o domu*, Katowice 2013, s. 91.

⁵ Saito, *op. cit.*, s. 10.

⁶ Allen Carlson, *Appreciation and the Natural Environment*, w: *The Aesthetics of Natural Environments*, *op. cit.*, s. 71.



Martwa natura z jajami, ptakami i naczyniami z brązu, Pompeje ok. 50-79 r. p.n.e.

Sztuka jedzenia. O kulinariach i twórczości artystycznej

AGATA STRONCIWILK

Pozornie trudno wyobrazić sobie bardziej odległe od siebie obszary niż sztuka i jedzenie, co wpłynęło na fakt, że przez wieki pokarmy nie były traktowane jako istotny temat w sztuce. Kenneth Bendiner zastanawiał się nad wspomnianą deprecjacją jedzenia jako motywu w sztuce, wskazując, że powodem może być jego powszedniość – „wszyscy stykamy się z jedzeniem kilka razy dziennie. Zdajemy sobie sprawę ze społecznej roli posiłków (...). Jednak całkowita pospolitość jedzenia w życiu codziennym każdego człowieka czyni je zwyczajnym, nieciekawym oraz nie wartym głębszego namysłu”¹. Jest to jednak wrażenie pozorne, gdyż jak zwracała uwagę Jolanta Brach-Czaina, nawet najbardziej prozaiczne aspekty naszej egzystencji, kryją w sobie potencjał do generowania refleksji². Nie inaczej jest z jedzeniem, za pomocą którego artyści wypowiadają się na różne tematy – społeczne, polityczne czy egzystencjalne. W niniejszym artykule zamierzam przyjrzeć się

różnym przykładom przenikania się jedzenia i twórczości artystycznej na przestrzeni wieków.

Jeśli uznać prehistoryczne przedstawienia naskalne za sceny ukazujące polowania, okaże się, że jedzenie jest jednym z najstarszych tematów w sztuce. Gillian Riley opisywała badania archeologiczne prowadzone w jaskiniach, których przedmiotem były znalezione w nich resztki zwierzęce – kości i pozostałości gotowanych zwierząt³. Sądzono, że ich badanie pozwoli rozjaśnić relację pomiędzy jedzeniem a przedstawieniami na ścianach, nie znaleziono jednak korelacji pomiędzy spożywanymi w danym miejscu zwierzętami, a tymi ukazanymi w konkretnej jaskini. Przykładowo renifer, choć najczęściej spożywany, stosunkowo rzadko pojawia się w malarstwie naskalnym, więc interpretacje traktujące te ostatnie w kontekście polowań czy zapewnienia społeczności odpowiedniej ilości zwierzyzny łownej, są tylko jednymi z wielu ich odczytań.

Xenia i asarotos oikos

W starożytnym Rzymie pojawia się wiele interesujących przedstawień jedzenia, a powiązanie ich z jedną z pierwszych zachowanych ksiąg kucharskich autorstwa Apicjusza, *De re coquinaria*, daje pewne pole do próby rekonstrukcji rzymskiego stołu. Z perspektywy niniejszych rozważań warto zwrócić uwagę, że w pompejańskich willach zachowały się przedstawienia poprzedzające nowożytnie martwe natury. Dekoracje ścienne i mozaiki podłogowe ukazujące produkty spożywcze zostały odkryte w bogatych domach w Rzymie, Ostii, Pompejach i Herkulanum. Witruwiusz nazywał te przedstawienia *xenia*. Zdaniem Silvii Malaguzzi mogły pełnić one podwójną funkcję – dekoracyjną i rytualną: „domniemanego hołdu właścicieli domu dla ich gości bądź, jak zakładają niektórzy historycy, symbolicznego pokarmu dla obecnych w domu duchów”⁴. Przedstawienia te zaskakują realizmem, który do dziś pozwala na rozpoznanie

poszczególnych produktów – ryb, drobiu, orzechów, szparagów, koszy z ricottą, owoców morza, pigw, królików i fig. Trudno natomiast dociec, czy w którymś z malowanych naczyń znajduje się *garum* – sos ze sfermentowanych ryb, absolutna podstawa kuchni starożytnego Rzymu.

Interesujące są także mozaiki ukazujące resztki pożywienia, tzw. *asarotos oikos*, czyli „źle zamieciona podłoga”. Pojawiają się w nich rybie ości, orzechy, resztki warzyw. Ich interpretacja nie jest pewna, mogły mieć znaczenie rytualne, związane z przekonaniem, że resztki, które spadają na podłogę, przeznaczone są dla dusz zmarłych przodków. Istotnym wątkiem kulturowym jest współbiesiadowanie żywych i umarłych oraz jedzenie rozumiane jako element, który łączy te dwa światy. Już najstarsze przykłady uzmysławiają więc społeczny wymiar jedzenia oraz związek pożywienia i *sacrum*. Wątek ten będzie także kontynuowany w kolejnych epokach, a sakralny wymiar żywności widoczny będzie przede wszystkim w symbolice biblijnej.

Pośród scen staro- i nowotestamentowych szczególnie często ukazywane były uczty – Wesele w Kanie Galilejskiej, Wieczera w Emaus, uczta w domu Lewiego, uczta Baltazara czy Ostatnia Wieczera. Innymi scenami, w których pojawiała się jedzenie, były: Chrystus w Domu Marii i Marty, cudowny połów ryb czy przedstawienia Madonny z Dzieciątkiem, w których trzyma ono w dłoni jabłko, kiść winogron lub owoc granatu.

Szczególnie często ukazywana była uczta u Heroda⁵. Jej tragiczny finał rozbudzał wyobraźnię artystów. Historia ta łączy w sobie przepych, bogactwo, erotyzm i okrucieństwo. W ostatnim przypadku pojawia się także niepokojący wyobraźnię wątek kanibalizmu. Widoczne jest to w szczególności w obrazie *Uczta Heroda* (1635) autorstwa Pietera Paula Rubensa, na którym Herodiada wyciąga widelec w kierunku głowy Jana Chrzciciela, podawanej jej przez Salome na półmisku niczym jedno z dań.

Przedstawienia uczt to jednak nie tylko sceny biblijne czy mitologiczne, to także sceny rodzajowe, które są interesującym źródłem historycznym, mówiącym o hierarchii społecznej oraz sposobach jej budowania w oparciu o zajmowane w trakcie biesiady miejsce czy też samo bogactwo stołu.

Psalterz Luttrella (1325–40) jest jednym z ciekawszych manuskryptów średniowiecznych, gdyż ukazane w nim zostało szczególnie wiele scen z życia codziennego. Jedną z nich jest scena uczt, ukazująca samego Geoffreya Luttrella z rodziną i dwoma klerykami. Nietypowe jest tutaj przedstawienie stołu kuchennego wraz z całym zapleczem przygotowywania potraw. Widzimy więc kucharza lub krojczego dzielącego mięsiva na mniejsze porcje oraz przygotowywanie przypraw i napoi przy mniejszym stole. Potrawy następnie są niesione do biesiadnego stołu nakrytego białym obrusem ze srebrną zastawą⁶. W *Psalterzu* odnajdziemy także sceny ro-

dzajowe, ukazujące zrywanie owoców z drzew, dojenie owiec, orkę, sianie i zbiorczy pszenicy. We wczesnorenesansowym *Brewiarzu Grimaniego* Gerarda Horenbout'a (ok. 1510), pojawia się również interesująca scena uczt księcia. W tym przypadku hierarchia feudalna jest zaznaczona szczególnie wyraźnie – senior zasiada przy stole samotnie, a towarzyszące mu osoby nie uczestniczą w uczcie.

Innym źródłem średniowiecznym jest *Livre de chasse* (tzw. *Księga Łowów*, ok. 1380), czyli traktat łowiecki Gastona Febusa. Pośród scen i opisów dotyczących zwierzyny łownej znajdziemy przedstawienia polowań oraz towarzyszącej im uczt. Jak zauważa Gillian Riley, nawet w trakcie posiłku odbywającego się w otwartej przestrzeni, zasady etykiety zostają zachowane – Gaston Febus zasiada przy stole, podczas gdy mniej znamienni kompani polowania jedzą na rozłożonych na ziemi materiałach⁷.

W kuchni

Sceny ukazujące kucharzy i kucharki przy pracy nie należały nigdy do szczególnie popularnych. Malarze holenderscy przedstawiali gotowanie jako pracę fizyczną, brudną i wymagającą siły. Widoczne jest to w dziele *Kucharka* (1559) Pietera Aertseny, w którym tytułowa kobieta została przedstawiona w trakcie nadziewania drobiu na rożen. W tle znajduje się bogato dekorowany kominek, co sugeruje, że pracuje ona dla dobrze sytuowanego gospodarza⁸. Gotowanie jest tutaj ukazane jako zmaganie się, artysta wyraźnie podkreśla tężyzną fizyczną przedstawionej kobiety. Dla kontrastu można natomiast przywołać XIX-wieczne przedstawienie *Cudowny sos* (ok. 1890), którego autorem jest Jehan Georges Vibert. Ukazuje on kucharza oraz jego chlebowadwca, kardynała, który wizytuje kuchnię. Pomieszczenie, w którym się znajdują, jest ogromne, idealnie czyste oraz perfekcyjnie zorganizowane. Kucharz ma na sobie, oprócz charakterystycznej białej czapki i fartucha, jedwabne spodnie oraz lakiery. Ukazane na obrazie zaplecze i sposób, w jaki postaci kosztują sos, wskazuje zmianę, jaka nastąpiła w wyobrażeniach dotyczących kuchni. Wyrafinowany kucharz bliższy jest artyście, a jego działanie związane jest z wyjątkowym wyczuciem smaku, nie zaś pracą fizyczną (którą zajmuje się pomoc kuchenna).

Na targu

Kolejnym z motywów związanych z jedzeniem, które pojawiały się w sztuce, były targi, targowiska i handlarze sprzedający różnorodne produkty spożywcze. Jest to motyw o długiej tradycji – przykładowo wśród fresków w pompejańskich willach natrafiamy na scenę rodzajową, przedstawiającą piekarza sprzedającego chleb. Sceny ukazujące stoiska targowe, niemalże uginające się od nadmiaru towarów, pojawiają się zaś przede wszystkim w malarstwie holenderskim. Można wspomnieć tutaj

choćby obrazy Pietera van Aertseny czy też Joachima Beuckelaera. Z malarzy flamandzkich natomiast warto wspomnieć o twórczości Fransa Snydersa.

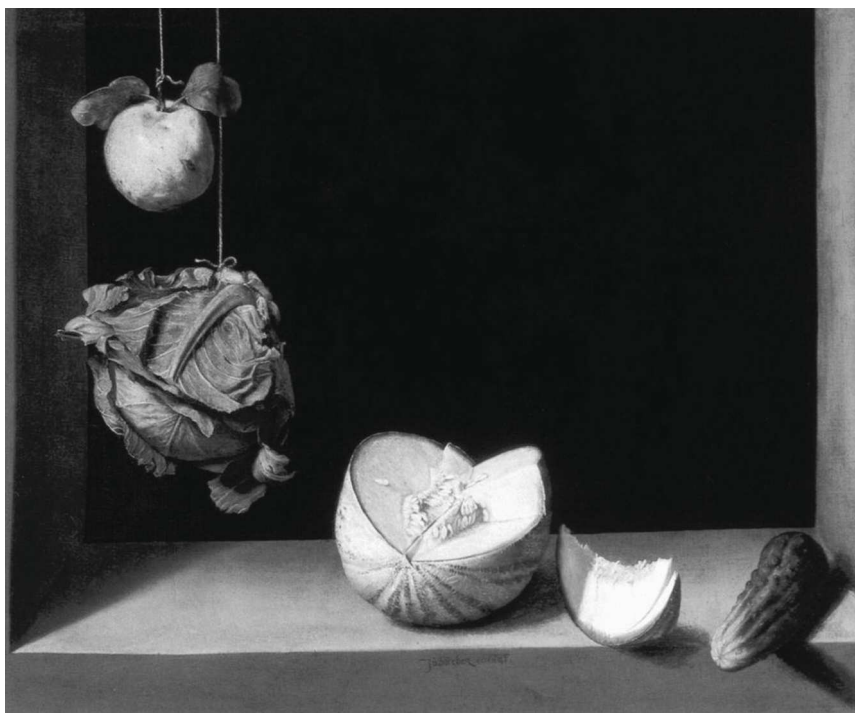
Obrazy Aertseny są wyjątkowe ze względu na swą złożoną symbolikę oraz nietypową kompozycję. Jego *Targ mięsny* (1551) w pierwszym oglądzie zwraca uwagę niesłychaną obfitością różnorodnych mięs eksponowanych na straganie. Dopiero po dłuższym wpatrywaniu się, można dostrzec scenę rozgrywaną się w tle. Jest to Ucieczka do Egiptu. Ten zabieg kompozycyjny zdaje się determinować znaczenie obrazu. Jedzenie staje się tutaj domeną doczesności, a skupienie się na niej powoduje utratę z zasięgu wzroku tego, co związane z *sacrum*. Sceny targowe niejednokrotnie były celebracją obfitości, jakby źródło pokarmu miało się nigdy nie skończyć. Oferowana żywność zawsze jest świeża i apetyczna, a sprzedawcy pełni wigoru i uśmiechnięci. Można się zastanawiać, czy obrazy te nie miały spełniać roli psychologicznej, ukazując świat wiecznego dobrobytu, a nawet nadmiaru. Jak zauważał Kenneth Bendiner, obrazy targowe mogą być również odczytywane jako ówczesne reklamy, zachęcające do kupna towarów poprzez ukazanie ich zmysłowego piękna.

Martwe natury

Jednym z powodów, dla których jedzenie pojawia się jako samodzielny temat sztuki, są jego walory estetyczne. Połyskująca skóra owoców, chropowatość warzyw, piękne kolory – wszystko to powoduje, że pożywanie stanowi wdzięczny temat dla malarstwa. W XVII i XVIII wieku przedstawienia martwej natury stały się bardzo cenione ze względu na swój dekoracyjny i iluzjonistyczny charakter.

Do najbardziej znanych martwych natur należą obrazy holenderskich mistrzów. Andrzej Chudzikowski zauważa, że poprzez holenderską martwą naturę można dokonać obserwacji na temat umysłowości, smaku artystycznego i stosunków społecznych panujących naówczas⁹. Przykładowo, w obrazach Willema Claesza Hedy lub Pietera Claesza widoczny jest już pewien wzrost możliwości, co dostrzec można zarówno w samych potrawach, jak i w zastawie stołowej. Zamiast glinianych naczyń pojawia się szkło i srebro, na stołach widoczne są słodycze, ciasta, owoce. Widoczna zmiana następuje też w drugiej połowie XVII wieku. Związana jest ze wzbogaceniem się mieszczaństwa i wytworzeniem nowej arystokracji, czyli wzbogaconego patrycjatu miejskiego. W obrazach Abrahama van Beyerna i Jana de Heema widać bogate zastawy oraz południowe owoce, langusty, pasztety. W przeciwieństwie do poprzednich przedstawień, tutaj widoczne są już nie tylko produkty rodzime, ale także importowane, które zaczęto sprowadzać wraz z rozwojem handlu z krajami Dalekiego Wschodu. Holendrzy, malując martwe natury, opowiadali więc przede wszystkim o sobie i swojej codzienności.

Jeszcze jedną istotną kwestią, na którą należy zwrócić uwagę w kontekście holender-



Juan Sánchez Cotán, *Martwa natura z pigwą, kapustą, melonem i ogórkiem*

szych martwych natur jest ich symboliczna wymowa. Przykładowo, suto zastawionemu stołowi z obrazu Pietera Claesza *Martwa natura z krabem i homarem* (1643) towarzyszy zegar. Jest to jeden z wielu przykładów martwej natury o wymowie wanitatywnej, gdzie zmysłowa atrakcyjność potraw zostaje skontrastowana z przypomnieniem o przemijaniu. Abraham van Beyern niejednokrotnie ukazywał niezwykle bogato zastawione stoły, jednak pojawiał się w nich niepokojący element. Przewrócone patery, niedokończone uczyt sprawiają wrażenie, jakby ci, którzy zasiadali przy stole, nagle uciekli w popłochu. Bogactwo uczyt wyraźnie kontrastuje z nieobecnością biesiadników, a umieszczone pośród zastawy zegary wymownie przypominają o nie trwałości tego, co materialne. Również prace van Beyerna można więc odczytywać w kontekście wanitatywnym – w tym przypadku zachwyty nad zmysłową urodą świata spotyka się z przypomnieniem o śmiertelności i ulotności człowieka.

Najbardziej tajemniczym malarzem martwych natur był jednak hiszpan, Juan Sánchez Cotán, a historycy sztuki do dziś zastanawiają się nad znaczeniem nietypowego zabiegu kompozycyjnego, który stosował w swych obrazach. Cotán malował warzywa i owoce zawieszane na sznurach w kamiennych obramieniach. Nie są to jednak przedstawienia spiżarni, gdyż w tle znajduje się pustka – zaznaczona poprzez głęboką czerń. Dzięki temu zabiegowi artysta, przedstawiając proste produkty spożywcze, uzyskuje jednocześnie kontemplacyjną, niemalże mistyczną atmosferę.

Futurystyczna książka kucharska

Tematyka przenikania się jedzenia i sztuki jest również interesująca w kontekście twórczości współczesnej, w której jedzenie nie jest jedynie tematem, a sta-

je się także medium, którym posługują się artyści. W takiej opowieści nie może zabraknąć futurystów. Punktem kulminacyjnym ich kulinarnych zainteresowań był wydany przez Filippo Tommaso Marinettię w 1930 roku *Manifest kuchni futurystycznej* (*Il manifesto della Cucina Futurista*). Działalność tych artystów związana była nieodłącznie z wiarą w możliwość całkowitego przekształcenia społeczeństwa. Jednym z elementów i zarazem motorów tej przemiany miała być kuchnia. Słynny wątek potępienia makaronu przez Marinettię był związany z jego przekonaniem, że czyni on Włochów powolnymi, leniwymi, ociężałymi. Nowe społeczeństwo miało być dynamiczne i takiej też kuchni potrzebowało. W *Manifestacji* Marinetti postuluje również:

(...)

c) porzucenie tradycyjnych połączeń na rzecz eksperymentowania z nowymi, jawnie absurdalnymi mieszankami według rad Jarro Maincave i innych kucharzy futurystycznych.

d) porzucenie codziennej przeciętności z obszaru przyjemności podniebienia¹⁰.

Zasady te futurysty starali się implementować we własnej restauracji *The Holy Palace* otwartej w 1931 roku w Turynie. Kolejnym dowodem na ważność jedzenia dla Marinettię była wydana przez niego w 1932 roku *Futurystyczna książka kucharska*. „Przepisy”, które odnajdujemy w tej publikacji, są zapisami kolejnych uczt – część z nich została zrealizowana, a część ma zupełnie fantastyczny charakter. Jak zauważa Michel Delville, futurystyczny program totalnego odnowienia jedzenia i kuchni wiązał się z synestetycznymi eksperymentami¹¹. W związku z tym powstał przykładowo pomysł stworzenia „taktycznej” uczyt, której elementem byłby dotykowy i cielesny kontakt z pożywieniem. Dla futurystów estetyka jedzenia miała charakter wielozmysłowy – ważną rolę

odgrywa w niej zarówno wzrok (np. kolorystyka pożywienia), jak i zapach, dotyk (np. jego faktura), a nawet słuch.

Nie sposób nie wspomnieć również o działalności Daniela Spoerriego, który jest autorem terminu *Eat Art*. Artysta w swej twórczości poruszał różnorodne aspekty związane z jedzeniem – od jego przygotowywania, podawania, spożywania, aż po resztki, które zostają po konsumpcji.

Najbardziej znanym działaniem Spoerriego były „obrazy-pułapki”. Powstawały w następujący sposób: po skończonym posiłku artysta przyklejał do stołu zastawę i resztki pożywienia, a następnie ściągał blat, by ostatecznie całość powiesić na ścianie jako gotowy „obraz”. Działanie to wpiętywało się w deklarowaną przez Pierre’a Restany’ego chęć uchwycenia rzeczywistości samej w sobie, niezapśredniczonej poprzez pryzmat „konceptualnego lub imaginacyjnego przepisania”¹². Obrazy-pułapki Spoerriego były wypowiedzią o czasie oraz próbę jego zatrzymania. Artysta traktował otaczającą go rzeczywistość jako niewyczerpane źródło gotowych kompozycji. Wiele obrazów-pułapek powstawało podczas organizowanych przez niego bankietów, jak i w otwartej przezeń w 1968 roku w Düsseldorfie restauracji. Być może klientom tej ostatniej towarzyszył niewielki niepokój, gdyż w każdym momencie mógł podejść do nich kelner i poprosić o zaprzestanie jedzenia, aby móc zabrać stół z kompozycją.

O tym, że przenikanie się sztuki i kulinarii jest wciąż obecne w sztuce współczesnej, może świadczyć przykładowo zaproszenie kucharza Fernana Adrii do udziału w *Documenta* w Kassel w 2007 roku. Tematyka jedzenia pojawia się też w performansach, instalacjach i akcjach wielu twórców – przykładowo Rikrita Tiravaniji, Michaela Rakowitz, Elżbiety Jabłońskiej czy Anny Królikiewicz. Uzmysławia nam to, że artyści posiadają szczególnie typ wyczulenia na uroki codzienności i potrafią z pozornie banalnych zjawisk oraz sytuacji wyciągnąć refleksje o uniwersalnym charakterze. ■

¹ K. Bendiner, *Food in Painting. From Renaissance to the present*, London 2004, s. 21.

² Zob. J. Brach-Czaina, *Szczeliny istnienia*, Warszawa 2018.

³ G. Riley, *Food in Art. From Prehistory to the Renaissance*, London 2015, s. 15-20.

⁴ S. Malaguzzi, *Wokół stołu. Leksykon*, tłum. E. Morka, Warszawa 2009, s. 50.

⁵ Przykładowo: Benozzo Gozzoli (1461), *Filippo Lippi* (1460).

⁶ Zob. G. Riley, *op. cit.*, s. 101.

⁷ *Ibidem*, s. 145.

⁸ K. Bendiner, *op. cit.*, s. 77.

⁹ Zob. A. Chudzikowski, *Holenderska i flamandzka martwa natura XVII wieku*, Warszawa 1954.

¹⁰ F. T. Marinetti, *The Futurist Cookbook*, London 2014, s. 35.

¹¹ M. Delville, *Food, Poetry, and the Aesthetics of Consumption: Eating the Avant-Garde*, New York 2011, s. 103.

¹² P. Restany, *Forty Degrees Above Dada*, [w:] *Theories and Documents of Contemporary Art: A Sourcebook of Artist's Writings*, ed. K. Stiles, P. Selz, California 1996, s. 308.



Kiedy barwne liście utkają dywany w parkach a kieszenie są pełne rudych kasztanów, wiatr we włosy wplata babie lato i ptaki szykują się do odlotu to zbiera mi się na wspomnienia.

Wspomnienia beztrudnego czasu mojego dzieciństwa, gwarne podwórka u Moich Dziadków, zielonych łąk nad Wisłą, radosnych zabaw i psot. Przypominam sobie barwny ogródek z różami pod płotem i krzakami rumianych pomidorów uginającymi się pod ich obfitym ciężarem. W sadzie wielka grusza dająca błogi cień w upalne lato a pod nią ławka, na której chętnie przysłuchiwałam się ciekawym opowiadaniom Babci. Słodkie truskawki prosto z krzaka i soczyste owoce zjadane bez mycia i pozostawiające ślady na umorusanych buziach i ubraniach. To najlepsza na świecie zupa ogórkowa i stopy kanapek zjadanych łapczywie i w pośpiechu bo zabawy nie mogły za długo czekać. To kolorowa oranżada w szklanych butelkach i smak cukrowej waty.

Po słonecznym lecie czas wrześniowych wędrówek do szkoły podobnie jak dzieci z Bullerbyn całą gromadą od domu do domu zbieraliśmy się razem ubrani w granatowe mundurki z białymi kołnierzykami i czerwoną tarczą na ramieniu. Tornistry nam wtedy nie ciążyły, głów nie zaprzętały kłopoty dorosłych. Po szkole droga zawsze była dłuższa, z wieloma ciekawymi przystankami, gdy odkrywaliśmy nowe gatunki dżdżownic czy robaków albo puszczałyśmy latawce czy lódkki zrobione z papieru.

Jak spadł pierwszy śnieg to radość była podwójna. Wyjmowało się nie tylko ciepłe ubrania ale i zakurzone na strychu łyżwy i sanki oraz narty. Zimowe adwentowe poranki to wczesne wstawanie na roraty i ciepłe mleko na śniadanie. To czas kuligów i dokarmiania ptaków. To grudniowe świętowanie Barbórki jak na rodzinę z górniczymi tradycjami przystało i odpust w kościele pw. św. Barbary, dźwięki muzyki w wykonaniu orkiestry z czerwonymi pióropuszcami i lśniącymi guzikami górniczego munduru. Obawa przed wizytą św. Mikołaja bo nie do końca było się tak bardzo grzecznym jak należało. A potem już czas oczekiwania...

Tak wspominam dzieciństwo, tak przywołuję jego kolory, smaki i zapachy. I bardzo żałuję że nie mogę ich odtworzyć w rzeczywistości – pozamykać w pudełkach, przelać do butelek czy przesypać do papierowych torebek tak jak cukier. Ale pielęgnuję je w pamięci a konserwuję MIŁOŚCIĄ i dlatego kiedy wieczory stają się dłuższe wtedy mój dom zmieniam w piernikową pracownię by mieć choć na chwilę namiastkę tego co już przeminęło...

Kilogramy mąki równo poukładane w rzędzie, cukier zaraz obok bo też przecież jest bardzo potrzebny. Zza szklanego słoika leniwie puszcza oko miód gryczany, który polyskuje na bursztynowo. Przywieziony prosto ze wsi kosz pełen jajek znalazł swoje miejsce na parapecie, gdzieś obok masło nabiera temperatury pokojowej, w kąciku mała torebka sodu dla puszystości i tylko jeszcze do pełnego składu piernikowego ciasta brakuje korzennych przypraw.

Na pierwszym miejscu pieprz czarny a jakże – wszak to właśnie jemu swą nazwę PIERNIKI zawdzięczają. Pierny czyli pieprzny. Tak, tak – pieprz droższy Państwo. Według legendy w czasach kiedy przyprawy korzenne były droższe od złota pewnemu dworskemu kucharzowi wpadł pieprz do ciasta chlebowego. Przerażony tym faktem w obawie



Fot. Agnieszka Komisiewicz

Wigilia 2017

Dom pachnący piernikiem

RENATA WALICZEK

przed konsekwencjami postanowił uratować sytuację i dodał do ciasta miodu a potem upiekł i tak powstały pierwsze żytnie pierniki. Były one bardzo drogocennym i ekskluzywnym towarem.

Inna legenda głosi, że kiedy w dawnych czasach w bogatym domu przychodziła na świat córka to wówczas zaczyniano w glinianej kadzi piernik a następnie był on przechowywany aż do czasu jej zamążpójścia kiedy to wypiekano go na przyjęcie weselne czy jako wiano panny młodej. Tak więc pieprz odgrywa tu rolę najważniejszą.

Gotowy do mielenia ustawia się w kolejce cynamon – laska po lasce, a zaraz za nim gałka muszkatołowa z którą trzeba ostrożnie bo w nadmiarze może być szkodliwa. Kolorowa czasami mylona z gorczycą przelatuje się przez palce maleńkimi prądkowanymi kuleczkami a żółtawy sproszkowany imbir szczypie w język. Koper wysypał się z baldachimów prosto do moździerza a maleńkie goździki stroszą rogi czekając na swą kolej. Ziele angielskie udaje greka a anyż lansuje się na gwiazdę i tylko zapach go zdradza i trafia do młynka tak jak każdy inny, na końcu zielonkawy kardamon w towarzystwie z kawą a jakże i dom wypełnia się po brzegi zapachem przyprawy do piernika. Teraz duża miska pomieści to wszystko w odpowiednich proporcjach i zagoszczą tu u niej na trochę dłużej by polezakować i dojrzeć przez kolejne 6 tygodni w oczekiwaniu na święta. W tym czasie dom ulegnie metamorfozie. Wielkie porządki świąteczne na zmianę z zakupami i przedświątecznym zamieszaniem. A kiedy już wszystko to co trzeba znajdzie się na swoim miejscu, kiedy do domu przyniesiemy choinkę to wówczas przychodzi czas na lukrowanie pierniczek.

Wspólnie zasiadamy przy kuchennym stole i zaczynamy wielkie rodzinne lukrowanie. Nas dorosłych ogranicza jedynie wyobraźnia bo chcemy żeby choinka była zieloną choinką i miała równe brzegi. Natomiast

dzieciom to wcale nie przeszkadza, że choinka ma kolor niebieski a Mikołaj jest w złotych spodniach czy na gwiazdce są zielone kropki. Najważniejsza w tym wszystkim jest dobra zabawa i rodzinna atmosfera oraz wspólnie spędzony czas. Podczas zdobienia pierników wiele rozmawiamy, śmiejemy się i oczywiście podjadamy pierniki – te mniej udane. Potem już tylko pozostaje nam nawlec piernikowe ozdoby na kolorową włóczkę i zawiesić je na zielonym drzewku, które będzie dekorowało nasz dom przez najbliższe kilka tygodni.

Jeszcze tylko ubrać się w odświętne ubranie, włożyć sianko pod biały obrus i wypatrywać pierwszej gwiazdki z nosem przyklejoną do szyby. Ten czas oczekiwania jest chyba najpiękniejszy. Ta atmosfera radości i miłości. Dźwięk kołęd i blask świec, szelst papieru z odpakowywanych prezentów i uśmiechy każdego z obecnych w ten zaczarowany czas świąt.

I tak bym chciała aby to trwało cały rok, aby ludzie byli dla siebie mili i życzliwi.

Byśmy pomagali sobie nie tylko od święta. Byśmy w dziecięcą naiwnością wierzyli w świętego Mikołaja przynoszącego prezenty i nie krępowali się zlizywania lukru z pierników tylko dlatego, że ktoś powiedział że tak nie wypada.

Byśmy razem poszli na zimowy spacer choć śnieg będzie skrzypiał pod butami a mróz szczypał w nosy, porzucamy śnieżkami i ulepmy wspólnie bałwana, cieszymy się każdą wspólnie spędzoną chwilą, dzielimy się radością z wszystkimi.

Byśmy nigdy nie żalowali zmarnowanego bezsensownie czasu...

GRZEGORZ SŁOBODNIK

MELODRAMAT

Myślą złapałem
 garść zagadek
 obejrzałem się za
 siebie
 aby nie uciekło
 pierwsze wrażenie
 Tęsknoty bywają
 pochmurne
 jak dni
 niezwiastujące
 niczego dobrego
 Tylko szczęśliwi
 nie boją się
 czarnego słońca
 bo wierzą że
 jutro znowu
 rozbłyśnie

ZAURCZENIE

Schylek dnia
 potrafi
 zawrócić w
 głowie
 a schylek życia
 szkoda gadać
 milczy

REJS

Skrzyknęły się mewy
 mową morską
 fale zaniemówiły z
 zachwytu
 i przycupnęły na
 wilgotnym brzegu
 czekając na słone
 opowieści

BURZA

Wyraźna odpowiedź
 na
 kłopotliwe pytania

MGŁA

Wyszli z domu i
 nie wrócili
 znikąd są trudne
 powroty

NAWIASY

Nigdy to znaczy
 nigdy
 Zawsze to znaczy
 zawsze
 z przerwą na sen
 posiłek i rozmowę ze
 znajomymi
 Wiersze czasami siadają
 przy stole
 należy je zapamiętać lub
 zapisać
 po to są zeszyty i
 luźne kartki oraz
 pamięć
 Telewizyjne filmy
 uczą cierpliwości
 i doceniania ładnych
 kobiet
 szczególnie kiedy
 jest wiele niejasności a
 ciekawość bywa okrutna
 Słuchać odległą
 burzę
 Zebry chichoczą ze
 wstydu
 Przejścia dla pieszych
 nie lubią samotności

KOLORY ZDARZEŃ

Rozmowa była krótka
 nie było dodatkowych
 zdań
 ani nawet przecinków
 tylko zakończenia brak
 i pustych miejsc przed
 domem
 Może jeszcze wrócimy
 do wczesnych traw
 i bladej zieleni
 która niejedno opowie
 i to nie tylko o nas
 Zawracanie z połowy
 drogi
 jest ryzykowne
 kiedy się nie zna
 obcych sekretów
 Grzeszne modlitwy
 wciąż proszą ze strachu
 o niedzielne zbawienia
 dla rozdartych pechowców
 Krótkotrwałe kwiaty
 szybko uciekają z
 tęczy
 zostają tylko malarskie
 fotografie czyli
 figowe listki
 napotkanych wrażeń



HERBACIARNIA

Miejscowość nazywa się
 Śródmieście
 Stolik sztuczne kwiatki
 w wazoniku
 kolory nawet świeże
 jak świeżo podana
 herbata z cytryną
 Na niebie zwykle
 obłoki
 Ciastko ma lepka
 słodką piankę
 Pod nogami dywanik
 który nigdzie nie
 odleci
 Twarze siedzących jak
 literatura
 powieść dramat wiersz
 a nawet fraszka
 z kłującym komarem
 Czas ucieka albo do
 przodu
 albo do tyłu
 Sąsiad nuci Ostatnią
 niedzielę
 chociaż następne
 niecierpliwie czekają
 Wiersze odchodzą najszybciej
 spieszą się do swoich
 myśli i spraw
 Puste krzesła spoglądają
 na siebie i
 gadatliwie milczą

SZUKANIE ŚMIECHU

Kopanie tunelu
 przez
 śmiertelną ciszę

ZIĄB

Dwa koce
 przewieszane
 na oparciu
 krzesła

WAKACJE

Opadanie rąk
 do
 znużonych kolan

SPACERY Z LATAWCEM

Za miastem stopolne
 łąki
 Piotr Paweł Rubens
 nosił koszule z wykładanymi
 koronkowymi kołnierzykami
 Z drabiny spadły jasne
 skrzydełka aniołków
 i zamieniły się w gałązki
 bzu
 główki kwiatów zwisały jak
 krople deszczu
 Dłonie kobiet głaszczą
 niesformą pogodę
 Obrazy na sztalugach
 zaczynają wspólną rozmowę
 bufiaste suknie
 zajmują miejsca w fotelowym
 parku
 Rano poranek
 wychyli się z okna
 i wejdą do pokoju
 dziurawe myśli i
 dziurawa pamięć
 Liryka umiera w
 niewygodnym łóżku
 wokół dziko rosną
 niestosowne zielska
 ale i tak najważniejszym
 obok cotygodniowych niedziel
 będzie Pierwszy Dzień Świąt

Pierwszy Dzień Świąt
 niewysłany list do
 losu

MEDYTACJE

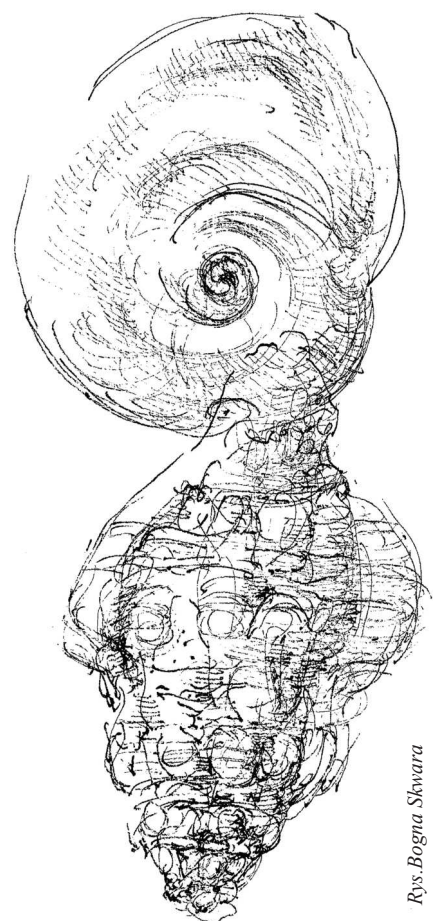
Dwa ptaki
 kołyszą się
 nad przepaścią

ŻAŁOŚĆ

Chowanie oczu
 do
 smutnego cienia

PŁACZ

Tak cicho
 krzyżeć
 potrafią tylko
 łzy



Rys. Bogna Skwara

ORNITOLOGIA

Głośny śmiech
 i płacz
 wielu ptaków

Samolot zawiózł mnie
 do chmur
 biała pulchność
 ocierała się dyskretnie
 o jego smukły kadłub
 Jaskółki zniemacka
 uciekły przed wiosną
 Wiara w cuda
 nie jest wiarołomstwem
 tylko naiwną odrobiną
 czulego rozumu
 Słowa spadają do
 kruchych ścian wierszy
 i tak powstają nowe
 baśnie
 o początkach świata
 Ptaki zakreśliły dwa
 półkola
 stałe wędrówki zawsze
 nocują w nienasyconej
 pamięci

A Pani zostanie moją
 Mużą

Leonard Tatarczyk student, żołnierz i poeta

MICHAŁ M. PALICA



Leon Tatarczyk, początek lat 30. ub.w.

W liście z Krakowa datowanym 21 listopada 1934 student krakowski, Alfons Mrowiec, późniejszy wojownik spod Monte Cassino i śląski historyk cytował studentowi z Poznania, Leonowi Tatarczykowi, słowa jego umiłowanego Goethego: „Ten jest najszcześniejszy z ludzi, który koniec życia swojego potrafił związać z początkiem”. A jako przyszły doktor filozofii, a pewnie też dla popisu intelektualnego, który tak nas w młodości kręci, dorzucił Hegla: „Jest nieograniczonem prawem podmiotu znajdować zadowolenie w swej działalności i pracy”.

Dalsza część listu nawiązuje nb. do pierwszych artykułów historycznych Mrowca w *Sztandarze Polskim* i *Gazecie Rybnickiej*, gdzie wkrótce swe recenzje teatralne zaczął zamieszczać także Tatarczyk. Mowa jest także o potrzebie stworzenia w Katowicach prężnego środowiska akademickiego. W Rybniku istniał już AKR czyli Akademickie Koło Rybniczian, skupiające w swym gronie studentów rybnickich z różnych polskich uczelni. Tymczasem sanacyjny Klub Powstańców (Śląskich) zażyczył sobie by śląscy studenci zaprezentowali się jako oddani „sanatorzy”. Mrowiec pisze, że tego typu narzucanie dyrektyw politycznych w Krakowie jest nie do pomyślenia. Stąd zapal młodych ludzi został mocno ostudzony.

A przecież palili się do społeczno-kulturalnych działań. Tymczasem jak widać politycy często niewiele wiedzą nie tylko o Heglu...

Leonard Tatarczyk urodził się 7 czerwca 1909 w Bottrop, Westfalia. Kiedy przyszedł na świat rodzice właśnie ukończyli budowę sporej, solidnej kamienicy. Zaś 27 czerwca 1909 jego ojciec wysłał piękną kartkę z widokiem historycznych gmachów Alma Mater we Wrocławiu. Pisał na niej m.in. o tym, jak ciężkie jest mu rozstanie z rodziną. Po powrocie tejez (licznej) rodziny do Polski, początkowo osiedli w Wielkopolsce. Potem jednak Franciszek Tatarczyk wraz z żoną postanowili, że wrócą na jego rodzinny Śląsk. Leon zaczął uczęszczać do rybnickiego gimnazjum, wieńcząc naukę maturą. Jego ojciec był polskim patriotą z krwi i kości. Wiernie stała przy nim matka Leonarda, Franciszka będąca rodowitą Niemką. W Rybniku stała się znana jako doskonała akuszerka, która niemal do końca swego życia (1957) odbierała porody (plus minus ok. 5-6 tysięcy noworodków). W 1905 ukończyła studium położnicze przy uniwersytecie w Getyndze. Franciszek jeszcze w Niemczech należał do Towarzystwa Gimnastycznego *Sokół*, do Towarzystwa Czytelni Ludowych, Związku Zawodowego Polskiego, Związku Górniczego św. Barbary etc.

W Polsce nie doczekał się wdzięczności na jaką zasłużył.

Leonard wzrastał jednak w przesiąkniętej polsnością atmosferze. Po maturze w 1930 udał się na uniwersytet do Poznania, by studiować farmację. Od początku zaangażował się w akademicki ruch korporacyjny. W Poznaniu prężnie działały *Silesia* i *Slensania*. Wkrótce powstała trzecia z śląskich korporacji, *Odra*, której przez pewien czas nawet prezesował. W czasie studiów poznańskich, gdy pomieszkiwał na „śląskiej” ulicy Śniadeckich, podjął pierwsze samodzielne próby literackie. Ostały się dwa opowiadania w rękopisie. Jedno nazbyt napakowane ostentacyjnym patriotyzmem, drugie całkiem udane, wskazujące nadto na niezłe poczucie humoru. Pierwsze zatytułował *Metamorfoza Studenta – Zawadżaki*, drugie to *Zygzaki akademickie*. Podpisał się tu jako Jan Leonard („Nurtowiec”). Używał później tego pseudonimu, tj. Jan Leonard, gdy pisywał nie tylko recenzje teatralne do w/w *SzPiGR*. Opowiadanie związane jest ze studencką służbą wojskową, bo też Leonard Tatarczyk związany był dość silnie z wojskiem, o czym jeszcze będzie mowa. Oczywiście były także próby poetyckie, które w pełni zaowocowały po wojnie we Wrocławiu.

Jednym z jego serdecznych kolegów był Franciszek Pluta, który jakiś czas

piastował urząd wiceprezesa, potem prezesa korporacji *Odra*. Zginął w 1945 w obozie koncentracyjnym. Zachowało się sporo pamiątek po akademickiej przeszłości Leona, m.in. tzw. rapier (rapir) studencki, zaproszenia na uroczystości i bale, pieczętka korporacji, no i oczywiście liczne zdjęcia. Część tych materiałów znajduje się obecnie w poznańskim Archiwum Korporacyjnym. Jednym z głównych miejsc spotkań studentów z Rybnika i powiatu był (-o) w/w AKR. Zachowała się jednodniówka tego Koła, w której wiele barwnych tekstów studentów-autorów. Często tryskają humorem, a przede wszystkim dają nam obraz dawnego życia akademickiego. Z dokumentów studenta, zachował się m.in. indeks poznański, akademicki dowód osobisty. Przy tej okazji można dodać, że Leonard Tatarczyk jeszcze w pierwszej połowie lat 30. zmienił wydział z matematyczno-przyrodniczego (w/w farmacja) na wydział humanistyczny, gdzie podjął kierunek studiów na filologii niemieckiej.

Jeszcze w rybnickim gimnazjum ukończył pomyślnie obóz przysposobienia obronnego (1927 rok). Potem była podchorążówka. Właśnie perypetie dwóch studentów po wojsku opisują *Zygzaki akademickie*. Zachował się patent oficerski podporucznika Leonarda Tatarczyka z 1935 (obecnie w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie). Istnieje list pisany z obozu wojskowego podchorążych w Oświęcimiu, który skreślił 16 października 1932 do rodziców, który daje ogląd jaki reżim panował w przedwojennym wojsku polskim. Aby przy okazji zapoznać się z piórem Tatarczyka krótki fragment tego listu, w którym wyraża tęsknotę za swym miłym, wypełnionym kochanymi książkami, pokoikiem w Poznaniu. A tu marsze w pełnym ekwipunku na 13 kilometrów, kopanie rowów, „... mówię Wam to czołganie to piekielna robota, oczy wychodzą na wierzch, język wylezie aż pod pępek... U nas się robi wszystko na rozkaz. Pada się na ziemię na rozkaz, śpiewa się na rozkaz, śmieje się na rozkaz, płacze się na rozkaz, spać kłaść trzeba się na rozkaz, wstawać na rozkaz, jedynie na OO nie chodzi się na rozkaz”. Niedziela, gdy wstawać można dopiero o 7.00, to raj. Dodajmy, że na początku listu w związku z poprawą zdrowia jego ojca wyraża nadzieję, że ten dożyje w rodzinnym gronie „sędziwej starości”. Niestety sześć miesięcy potem zegnał go wraz z najbliższymi na rybnickim cmentarzu. Franciszek nie dożył nawet pasowania syna na oficera Wojska Polskiego (zm. w kwietniu 1933), które najprawdopodobniej nastąpiło na obozie w Hermanicach koło Skoczowa (zachowały się

zdjęcia), acz możliwe, że zgodnie z datą na patencie oficerskim oficjalnie został oficerem rezerwy 1 stycznia 1935.

Zachowała się także umowa o pracę w Publicznej Szkole Dokszałcającej Zawodowej z burmistrzem Rybnika Weberem. Datowana jest 22 czerwca 1937. Pracę miał Tatarczyk rozpocząć 1 września 1937. Kiedy na studiach dochodziło do... interwałów Leon wykazał się również smyką do handlu, którą odziedziczył pewnie po ojcu. Istnieje zdjęcie i pieczętka firmowa sklepu galanteryjnego, jaki prowadził na rybnickim rynku. Niemniej nie zapominał o swym powołaniu kulturowym i zgodnie z cytowanymi wyżej słowami niemieckiego filozofa czynnie uczestniczył w życiu kulturalnym. Głównie syn zasłużonego rybnickiego księgarza, Mieczysław Basista oraz on pisali recenzje ze spektakli, które w Rybniku prezentował przede wszystkim Teatr Polski z Katowic.

Ciekawą kwestią może być rozszyfrowanie określenia *Nurt*, którą obaj umieszczali przy swym nazwisku bądź

pseudonimie. Prawdopodobnie była to jedna z akademickich organizacji i stąd określenie *Nurtowiec*.

Do wybuchu wojny ppor. Tatarczyk jako jeden z dwóch prowadził szkolenia oddziałów przysposobienia wojskowego przy TG *Sokół* w Rybniku. Wojna zastała go na stanowisku dowódcy 2 plutonu w jednej z kompanii 55 dywizji piechoty. Zachowało się zwolnienie Leonarda Tatarczyka z obozu koncentracyjnego w Mauthausen z sierpnia 1940. Pod nim sygnatura komendanta lagru SS-sturmbahnfuhrera Cienera. Jak potem dowiedziałem się od innego więźnia obozu, z którego Austriacy dziś pośród domków jednorodzinnych i ogródków pozostawili jedynie mały fragment, ów zniawidzony komendant w 1945 nie uszedł kary. Dopadli go sami więźniowie i wymierzili najwyższy jej wymiar. Tatarczyk po powrocie do rodzinnego miasta musiał stale meldować się w siedzibie policji. Na przedramieniu pozostała „pamiątka” z Mauthausen.

Po wojnie dokończył studia germanistyczne. Jakiś czas pracował na Kato-



Poznańscy studenci (na obu zdjęciach w środku L. Tatarczyk)



Odział Farm.

Rok Akademicki 1930/31.

Semestr I.
resp. trymestr I.

1
L Uniwersytet Poznański. Wydział *mat. przyrodniczy*

Nazwisko wykładowego	Tytuł wykładu (ćwiczeń lub semin.)	Liczba godzin	Poświadczenie Kwestora o dokonanych wpisie i opłatach	Potwierdzenie zgłoszenia się studenta (nomen receiptum)	Poświadczenie Profesora, kollokwia lub egzaminy i t. p.	Uwagi i potwierdzenie okresu naukowego (semestru resp. trymestru)
<i>Demiret, Prof.</i>	<i>Fizyka doświadczalna</i>	4	3,00			
<i>Demiret, Prof.</i>	<i>Fizyka doświadczalna</i>	3	10,00			
<i>Krause, Prof.</i>	<i>Chemia nieorganiczna</i>	5	5,00			
<i>Thyrowicki, Prof.</i>	<i>Chemia analityczna</i>	12	6,00			
<i>Gorchmalicki, Prof.</i>	<i>Zoologia</i>	2	9,00			
<i>Gorchmalicki, Prof.</i>	<i>Zoologia</i>	3	10,00			
<i>Dobrowolski, Prof.</i>	<i>Botanika</i>	6				
<i>Dobrowolski, Prof.</i>	<i>Botanika</i>	6				
<i>Wojcicki, Prof.</i>	<i>Mineralogja i geologia</i>	2				
<i>Wojcicki, Prof.</i>	<i>Mineralogja i geologia</i>	2				

Poświadczam inkonkretnie trymestru
Poznań, d. 10/11/31
Dyrektor Oddz. Farmaceutycznego U.P.
[Signature]

Index – zaliczenie trymestru

lickim Uniwersytecie Lubelskim. Ożenił się 5 stycznia 1946 z Krystyną Korybut-Daszkievicz. Mieli dwójkę dzieci: Leszka i Lilianę. Ostatecznie los zawiódł go do Wrocławia. Został na Uniwersytecie Wrocławskim pracownikiem naukowym Wydziału Filologii Germańskiej. W 1961 wydał esej *Wittelo. Wrocławski fizyk we Włoszech*.

Przypomniał w nim zasłużonego dla nadodrzańskiego grodu polskiego uczonego, którego mało znano, wręcz mylono z Erazmem Ciołkiem. Co prawda, potem recenzenci J. Burchardt i K. Wojciechowski dopatrzyli się w nim szeregu nieścisłości dotyczących głównie spraw strictly fachowych, związanych z optyką, niemniej trzeba wskazać,

ż L. Tatarczyk był pierwszym, który spopularyzował zasłużonego Polaka z XIII w.

Leonard Tatarczyk serce na pewno pozostawił we Wrocławiu. Kochał to miasto. Lubił swe otoczenie. Zmarł 25 stycznia 1985. Pochowany we wrocławskiej nekropolii.

Dziedzina, którą najbardziej hołubił była poezja. Znał na pamięć całe fragmenty nie tylko Goethego czy Schillera. Wielkie było też jego umiłowanie kultury antyku. Lubił podróżować. W początku lat 70. wybrał się do Egiptu. Dla większości z nas jeżdżących do Rumunii, Bułgarii, najdalej do Jugosławii, była to, w tamtym czasie, daleka eskapada. Kochał Grecję. „Rozkosze umysłowe, powiada Demokryt, mają w sobie coś nieśmiertelnego”. To „zadowolenie” pojmował właśnie grecki filozof jako eudaimonizm. Właśnie eudaimonia, ergo szczęście jest tym najwyższym celem, o którym mówił Arystoteles. Zaś Epikur powiadał „Najwięcej przyjemności ma ten, kto ma najmniej potrzeb”. Wreszcie jawi się tu również wielki polski filozof i esteta, który tak dogłębnie opracował filozofię eudaimonizmu – Władysław Tatar-kiewicz. Wiedzę zawodową wzbogacał



więc Tatarczyk znajomością historii starożytnej i filozofii. Sam napisał wiele wierszy wpisujących się w nurt, który nazwał poezją eudaimonistyczną. „Pojęcie eudaimonizm” – jak pisał w *Zaklętym kręgu* (maszynopis wrocławski z 1964) – „zawiera w sobie



szczęśliwość wszystkich stopni od najmniejszej chwilowej, do największej, ciągłej”. Następnie określając eudaimonizm jako siłę i trwanie dodaje: „Prąd ten jest stawianiem się szczęścia, do którego dochodzi się przez genetyczny empiryzm życiowy, częstokroć przez wyrzeczenie się i cierpienie, przez wytrwałość w pracy i przez cierpliwość czekania”. Aczkolwiek dalsze wstępne wywody wydają się nieco zawile, jakby nieco naginane do w/w pojęcia, to same wiersze, wielokroć, nie tylko swą zaskakującą formą, potwierdzają tezę o eudaimonizmie jako egzemplifikacji szczęścia. Ich autor zwraca nb. uwagę, przez pewne porównanie, na fakt, iż nie tak znowu dawno, także jazz budził kontrowersje, a nawet gorsze reakcje odbiorców. A przecież dziś jest równoprawnym partnerem tzw. muzyki klasycznej. Przedstawmy w tym miejscu choć wiersz programowy Leonarda Tatarczyka zatytułowany właśnie *Zaklęty krąg*.

Zawiły kręgów krąg
Mąk twoich trwa uparcie –
Na karcie życia dnia.
Poradnia – Bóg – milczy.
Cień wilczy wieków wiek
Człek dźwiga, to sapiąc,
To gapiąc się w tłumie;
Nie umie iść tędy,
Którędy ... niby to,
Koryto stoi wskos.

Trzos, zdaje się, ludzi
Paskudzi i brudzi;
Wciąż ludzi swym błyskiem,
Połyskiem barw złotych.

Co do tych rzeczy praw
Staw prawo: płynności,
Zmienności, nieszczęścia;
Zaś szczęścia istota
Żywota Wieczność ma.



Z pisemka AKR, 1934 r.

Tematyka wierszy jest przeróżna. Dotyczy porównań z przyrodą, wojennych wspomnień, odczuć religijnych, miłosnych, filozoficznych przemyśleń itd. Pojawiają się wiersze poświęcone bohaterom walki z czarną ospą (we Wrocławiu w 1963) czy kobiecie, która uratowała dziecko zgarniając je z torów kolejowych w Kłobucku (sama będąc matką małego synka). W formie przybierają postać, to ballady, to ody, liryków etc. Tatarczyk pisze: „Eudaimonista ma wychować prawdziwego humanistę”. Dlaczego? „... ponieważ nauka zawiodła i nadal zawodzi.” Ale wierzy, że właśnie eudaimonizm „... połączy jednak permanentną przyjaźnią uczonych z poetami...”.

Leonard Tatarczyk starał się przyciągnąć do swej poezji, do jej idei, przede wszystkim młodych. A, że związany był z określonym środowiskiem, byli to głównie studenci Uniwersytetu Wrocławskiego. Teresie Żychoniuk, student-

ce polonistyki „niepowtarzalnej Recytatorce wiersza *Dziecko na torze*” podczas wieczoru autorskiego w klubie Pandora (kwiecień 1964), ofiarował nawet wiersz, któremu nadał tytuł, nie inny, ale *Pandora*. Dołączył zresztą do tomiku *Zaklęty krąg* kilka głosów krytycznych właśnie wrocławskich studentów. Jeden z nich, Krzysztof Anusiewicz podzielił się interesującym spostrzeżeniem: „O ile ze względu na zawartość poezja ta jest całkowicie komunikatywna, o tyle forma jej jest bardzo trudna do odebrania. Tej poezji nie można czytać. Trzeba ją odbierać”. Zaś Marian Kubala zadaje sobie pytanie „Czy jestem eudaimonistą?”.

L. Tatarczyk stworzył potem jeszcze jeden tomik poezji eudaimonistycznej (Wrocław 1964) zatytułował go po prostu *Cykl pieśni o miłości*. W jego epilogu wiersz zatytułowany jakby retorycznie *Co lepsze: Wiersze czy ... Serce?*

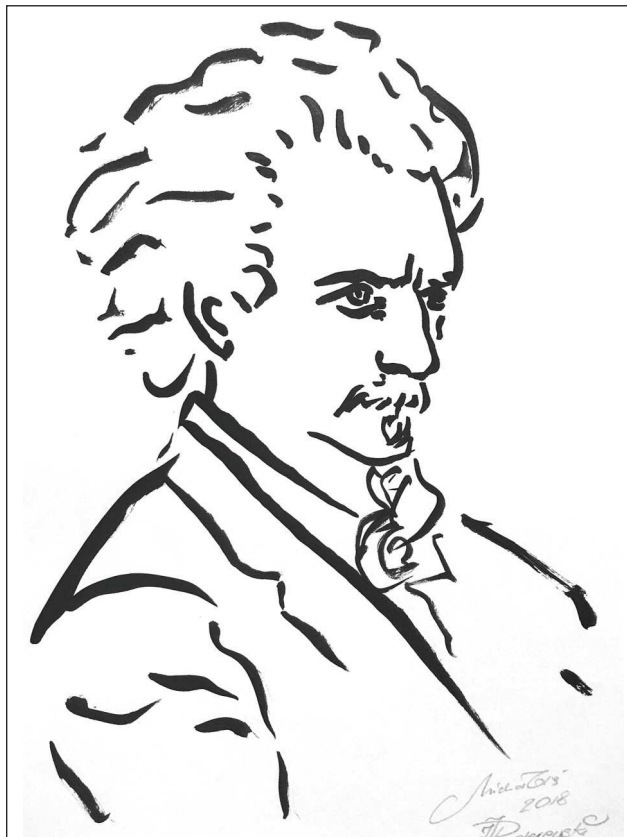


Michał Oleś

OJCOWIE



WOJCIECH KORFANTY



IGNACY PADEREWSKI



JÓZEF PIŁSUDSKI



WINCENTY WITOS

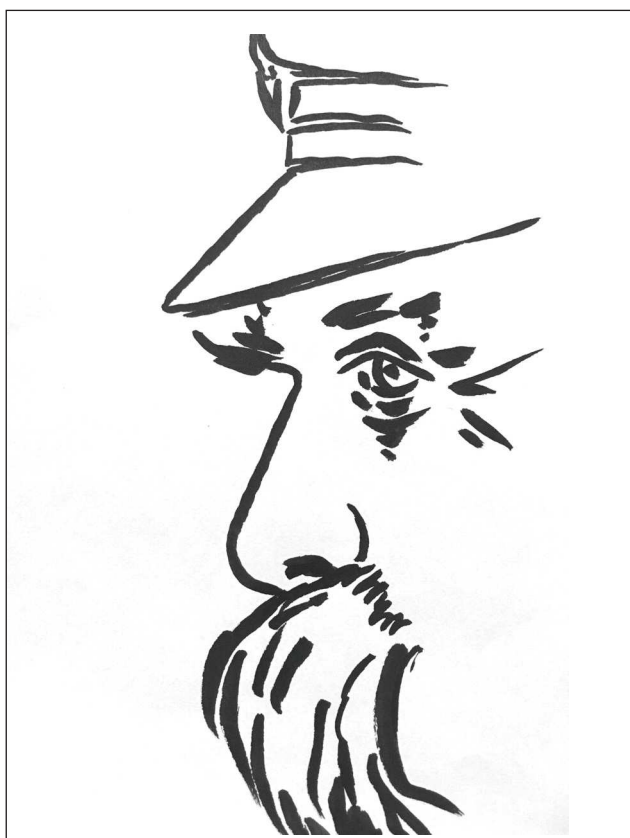
NIEPODLEGŁOŚCI 1918



JÓZEF DOWBOR-MUŚNICKI



JÓZEF HALLER



JÓZEF PIŁSUDSKI



WOJCIECH KORFANTY

ROK UMIERA, ROK SIĘ RODZI!

Święta w dawnych Katowicach

Od Mikołaja do Sylwestra

HENRYK SZCZEPAŃSKI

W historii Teatru Polskiego i w pamięci katowiczian Sylwester 1922 zapisał się jako radosne triduum, któremu patronowała Melpomena i jej siostrzyce z orszaku Apollina. W przeddzień Nocy Sylwestrowej inaugurowało je jasełkowe, alegoryczne „Betlejem Polskie” Lucjana Rydla a w dwie godziny po jego zakończeniu poemat baletowy „Prometeusz” z maestro Janem Cieplińskim, gwiazdą polskiego baletu w roli tytułowej. Wieczór i noc dnia następnego wypełniły sylwestrowe oszołomienia i niespodzianki. Nazajutrz, dnia trzeciego, w godzinach poobiednich katowicka publiczność jeszcze raz oklaskiwała „Betlejem Polskie” a wieczorem zespół operowy pod dyrekcją Tadeusza Wierzbickiego zaprezentował narodowy przebój stuleci – „Halkę” Stanisława Moniuszki.

Uczty, salony, bale, maskarady

Jeden z piękniejszych widoków międzywojennych Katowic przetrwał we wspomnieniach Augusta Grodzickiego zatytułowanych „W teatrze życia”. Jego zapiski jak literacka akwarelka ukazują świętującą ulicę katowickiego śródmieścia.

„Miasto nieduże, z banalną bezstylową architekturą bez zabytków, solidnie zbudowane, z szychem europejskim, którym mogło konkurować ze stolicą. Miniaturowe centrum – ulica 3-go Maja, Rynek i prostokąt w kratkę uliczek sięgający do dworca – zadawało szyku wielkomiejskiego. Wieczorem ożywiło do późna, jasne od jaskrawo świecą-

cych wystaw sklepowych i neonów. Zamknięta dla ruchu kołowego Dyrekcyjna o szóstej po południu zamieniała się w korso spacerowe rojne głównie od młodzieży. Po jednej stronie ulicy lśnił cały w szkle sklep Wedla, po drugiej konkurencyjne słodczyce Zalewskiego, który codziennie sprowadzał samolotem świeże ciastka ze Lwowa.”

Były godne poczty lotniczej bo wyszły spod ręki Ludwika Zalewskiego, jednego z najwybitniejszych polskich konfiserów, który debiutował pod okiem mistrza Jana Apolinarego Michalika, legendarnego cukiernika w Krakowie a potem w Poznaniu. Mieszkańcy podwawelskiego grodu uhonorowali go tytułem Wielkiego Pasztetnika.

Obydwa sięgali do przepisów swoich staropolskich kolegów po fachu zatrudnianych na dworach królewskich i magnackich. Jędrzej Kitowicz, znawca XVIII-wiecznych obyczajów polskiego ziemiaństwa i magnaterii pisze o nich, że dawniej „nazywali się pasztetnikami, lubo nie do samych tylko pasztetów należeli, ale do wszelkich potraw z pieca wychodzących, jako to: torty, ciasta, legominy, mięsiwa i zwierzyny, które przemysł kucharski nie w rondlu ani na roźnie, ale w piecu przygotował.”

Owi pomysłowi konstruktorzy cukrowo-marcepanowych figur i kształtów, już wtedy potrafili formować ciasta zaskakujące niecodziennymi gabarytami i wyglądem. Nie tylko ogromną ale i „(...) Alegoryczną struclę Stanisławowi Poniatowskiemu (w pierwszym roku jego panowania) sprezentował znany piekarz warszawski Szyler. „Miała siedem łokci długości, a przyniosło ją królowi dziewięcioro dzieci mistrza Szylera, co miało symbolizować datę 7 IX (1764), kiedy to ogłoszono narodowi, że w przeddzień Stanisław August został obrany królem Polski. Mąka użyta do tej strucli-giganta pochodziła s siedemnastu młynów, gdyż król przyszedł na świat 17 (stycznia 1732 roku). Struclę tę usmaczniono trzydziestoma dwoma wymyślnymi dodatkami, jako że monarcha liczył sobie w chwili jej otrzymania 32 lata, i ozdobiono dwudziestoma pięcioma esami-floresami z lukru, upamiętniając tym dzień koronacji 25 (listopada 1764 roku)”.

Dodajmy, że wypieki firmy Ludwika Zalewskiego ze Lwowa (niespełnionego artysty malarza) na pokładach majestatycznych aeroplanów latały także do Warszawy i Paryża. W Katowicach można było się nimi rozkoszować w firmowym lokalu przy Dyrekcyjnej 4. Mieścił się w domu Alojzego Domina, tuż obok hotelu „Monopol”. Funkcjonował pod szyldem „Ludwik Zalewski”. Tam też, od 6 grudnia to jest od dnia św. Mikołaja każdego roku, przed jego witryną zatrzymywały się gromady gapiów oglądających cukiernicze rarytasy eksponowane jako wielka bożonarodzeniowa wystawa jego lwowskich wyrobów.

Kto na to patrzył nie mógł wątpić, że święta za pasem!

Jako mały chłopiec a potem gimnazjalista, tamte lwowskie ekspozycje (projektowane przez Kazimierza Sichelkiego i Stanisława Kaczor-Batowskiego) oglądał i opisał Stanisław Lem:

„Była to zresztą właściwie scena, oprawna w metalowe ramy, na której kilkakrotnie w roku zmieniano dekoracje stanowiące tło dla potężnych posągów i figur alegorycznych z marcepanu. Jacyś wielcy naturaliści albo i Rubensowie cukiernictwa urzeczywistniali swoje wizje, a szczególnie już przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą działały się za szybami zakłete w masę migdałową i kakaową dziwy. Cukrowi Mikołaje powozili zaprzęgamy,





a z ich worów kipiały lawiny smakołyków; na lukrowych półmiskach spoczywały szynki i ryby w galarecie, też marcepanowe z tortowym nadzieniem, przy czym te moje informacje nie mają czysto teoretycznego charakteru. Nawet plastry cytryny, przeświecające spod galarety, były udaniem cukierniczego rzeźbiarstwa. Pamiętam stąd różowych świnek z czekoladowymi oczętami, wszystkie możliwe rodzaje owoców, grzyby, wędliny, rośliny, jakieś knieje i wertepy; można było dojść do przeświadczenia, że Zalewski potrafiłby Kosmos cały powtórzyć w cukrze i czekoladzie, słońcu przydając łuskanych migdałów, a gwiazdom lukrowego lśnienia; za każdym razem w nowym sezonie umiał ten mistrz nad mistrze zająć duszę moją, łaknącą, niespokojną i nie całkiem jeszcze ufną, od nowej strony, przeszyć mnie wymową swych marcepanowych rzeźb, akwafortami białej czekolady, Wezuwiuszami tortów rzygających bitą śmietaną, w których jak wulkaniczne bomby nurały się ciężko kandyzowane owoce”.

W Katowicach takie świąteczne Czekoladowo-marcepanowe gliptoteki u schyłku jesieni zwiastujące Boże Narodzenie a wiosną Wielkanoc, od 1870 roku aranżowali konfiserzy wierni dawnej europejskiej tradycji. Wtedy to Albert Abraham Danziger otworzył pierwszą w mieście cukiernię w Rynku pod siódmką. Potem swój lokal przeniósł do domu Heimana Frölicha. Do jego nowego przybytku wchodziło się wejściem usytuowanym w narożniku Rynku i dzisiejszej ulicy Mickiewicza. W okresie międzywojennym czynna była tam cukiernia braci Liczbińskich. Urodą wyróżniały się witryny Liboriusa Otto przy Warszawskiej i Maksymiliana Lamii przy Wojewódzkiej. Obwieszczały nadejście świąt Bożego Narodzenia. Na wschodniej fasadzie słynnych delikatesów Louisa Borinskiego, doskonale widocznej z perspektywy ulicy Warszawskiej, właściciel instalował reklamę świetlną. Wyobrażała św. Mikołaja. Pędził w saniach wypełnionych podarunkami i zaprzęzonych w ręce, długonogie renifery.

W dawnym królestwie Piastów i Jagiellonów okres świąt od Bożego Narodzenia do Trzech Króli nazywano „godami”, od starosłowiańskiego „god” – wesołość, uciecha, szczęśliwość a także uczta, biesiada. Do ich rytuału należą wciąż lubiane i popularne zwyczaje i wróżby... Jeden z nich to prastary słowiański podłaźnik, którego świętym amuletem jest sosnowa lub świerkowa gałąź udekorowana jak choinka i tak jak ona umieszczana na honorowym miejscu, w jasnej reprezentacyjnej izbie właścicińskiego domu albo w mieszczkańskim salonie.

U Mierzejewskich pod choinką

Prawdziwy, jak z bajki – Św. Mikołaj z pastorałem, ubrany w czerwony



Mierzejewski i Balcerkiewiczówna jako ordynat Michorowski i Melania Barska w Trędowatej 1926

Fot. z arch. Teatr Wyspiańskiego

plaszcz i czerwoną czapę, potajemnie zaproszony przez rodziców lub dziadków, w asyście anioła i diabła odwiedzał dzieci w wieczór wigilijny. Starszaków egzaminował ze znajomości pacierzy a także posłuszeństwa wobec taty i mamy. Mądrych i grzecznych nagradzał podarkami. Krnąbrnych straszył piekłem. Rodzicom niepokornych wręczał różgę mówiąc: „Nie kocha ten dziatczek, kto różgi oszczędza”. Jedną z takich wizyt zapamiętał pan Ksawery Mierzejewski, syn Bolesława, amanta przedwojennego kina i scen operetkowych a po wojnie ulubieńca publiczności Teatru Stanisława Wyspiańskiego oraz słuchaczy katowickiej rozgłośni Polskiego Radia, jednego z bohaterów „Gwiazd i legend dawnych Katowic”:

„Tego dnia przychodziły do mnie moje rówieśniczki z kilku pobliskich domów i cierpliwie czekaliśmy aż pojawi się kochany Święty z workiem prezentów. Pana Bieleckiego rozpoznałem kiedyś po butach, a pana Łęckiego po jego ulubionej kreacji – najchętniej przebierał się za diabła. Wpadał do pokoju w ostatniej chwili, gdy już, już mieliśmy dostać jakąś zabawkę, książkę lub słodycze. Łąkał nas i groził różgą. Straszanie było jego ulubionym zajęciem. Nawet gdy podrosłem, to jeszcze płała różne figle wywołujące dreszczyk emocji!”

Uroczystość odbywała się pod wigilijnym drzewkiem

„Pachnący żywicą świerk tata kupował obojętnie – wspomina syn pana Bolesława – gdy już podrosłem zabierał mnie ze sobą i pokazywał jak należy wybierać najdorodniejsze sztuki. Musiały być naprawdę okazałe i mierzyć ponad 3 metry, bo taką wysokość miał jego gabinet, w którym ustawialiśmy „drzewko”. Za oknami, na Gliwickiej

tańczyły płatki śniegu, pokazywała się pierwsza gwiazdka. Przy stole siadali dziadkowie, ciotki i wujkowie, rodzeństwo i kuzyni a także kilkoro przyjaciół domu. Łamiąc się opłatkami, wspominaliśmy tych, których już zabrakło, a tym którzy się z nami znaleźli życzyliśmy jak najlepiej. Ten i ów ukradkiem otarł łzę wzruszenia a potem było koledowanie. Mama zasiadała przy fortepianie a tata intonował kolejne pastorałki”.

Święto wszystkich katowiczów

Boże Drzewko w postaci zielonej choinki pojawiało się w witrynach sklepowych i we wnętrzach salonów handlowych. Tuż przed wigilią rodzice i dziadkowie wespół z wnukami ustawiali i stroili je nie tylko w chrześcijańskich domach. Podobnie było w żydowskich familiach. Dr Walter Grünfeld, wnuk sławnego muratora Ignaca Grünfelda zapisał w swoich chłopięcych wspomnieniach: „Boże Narodzenie obchodziliśmy z wielką choinką. Płonęło na niej mnóstwo świeczek a przed nią czekały prezenty. Podczas uroczystości byli obecni wszyscy domownicy, nasi krewni i dobrzy znajomi.”

W balach sylwestrowych organizowanych przez rodziców Walter uczestniczył dopiero jako student. W noc sylwestrową 1928, w willi przy Szkolnej 6 bał się z panną Marią Göppert, przyszłą noblistką, wtedy studentką fizyki uniwersytetu w Getyndze, która do Grünfeldów w odwiedziny, przyjechała razem z mamą. Zaraz po nowym roku wspólnie z Karolem Lubowskim wybrali się na wycieczkę do Krakowa. Maria była oczarowana wspaniałym polskim miastem a Karol wtedy właśnie postanowił, że w podwawelskim grodzie będzie kontynuował studia prawnicze.

W Katowicach, zwłaszcza dla miejscowej Polonii z czasów rozbiorowej okupacji prusko-rosyjsko-austriackiej Boże Narodzenie było wyjątkowo uroczystym świętem o charakterze rodzinnym, porą braterskiej łączności z rodakami w podzielonej zaborczymi kordonami ojczyźnie. Głęboko zakorzenione w narodowej obyczajowości, od zawsze było obchodzone we wszystkich polskich domach. Polacy różnych wyznań jak i niewierzący, z pokolenia na pokolenie mieli słabość do staropolskich zwyczajów. Dla nich „Betlejem Polskie” Lucjana Rydla, było hitem stulecia, panoramą historycznych losów Polaków a jednocześnie jasełkową szopką, w której bez afektacji obok uznanych wielkich postaci mogli oklaskiwać lub obśmiewać powszechnie znane osobistości.

Fiaker ze Starowiejskiej i saniarskie rajdy

W katowickiej Księdze Adresowej z lat 1925-1926 przetrwał taki zapis:

„Bartela Jan, dorożkarz, Warszawska 25”.

Tego oryginała pamiętali najstarsi Katowiczanie. Dorożkę i konie miał w podwórzu Starowiejskiej 9. Tam jeszcze w powojennych latach Polski Ludowej znajdowała się chłopska chata obudowana ceglanym murem. Dawniej było to podobno jedno z gospodarskich zabudowań należących do słynnego rodu Skibów. U schyłku XIX wieku mieszkała tu jedna z córek sołtysa Kazimierza Skiby – Zuzanna, po mężu Kosiowa.

Pan Jan mieszkał w kamienicy Flaudauszów, na pięttrze w mieszkaniu nr 6, miał wielkie sumiaste wasy, długie biczyisko, ciemnobrunatną i wielką jak skrzydła kormorana pelerynę a przede wszystkim reprezentacyjny strój fiakra pamiętający jeszcze czasy fin de siecle'u. Na co dzień zaprzęgał swoje gniasosze i podjeżdżał pod stary katowicki dworzec kolejowy u wylotu Dyrekcyjnej, gdzie czekali klienci. Był tajemniczy i pełen majestatu. Jego konterfekt mógłby ilustrować „Zaczarowaną dorożkę” Gałczyńskiego.

Taki utrwał się i przetrwał w pamięci dr Andrzeja Rożanowicza, honorowego mieszkańca Katowic z przełomu tysiącleci, który zmarł w 2011 roku przeżywszy lat 86. Całe życie spędził w kamienicy przy Warszawskiej 5, w mieszkaniu nad kawiarnią Liboriusa Otto – później pod szyldem „Kryształowa”. Dla niego okolice ulicy Warszawskiej, Starowiejskiej, i Mielęckiego z lat trzydziestych XX stulecia, były krainą chłopiących wspomnień.

– Gdy zbliżała się Boże Narodzenie – opowiadał dr Rożanowicz – chodziło się do Barteli żeby umówić się na przejazdkę do Panewnika. Jak napadało śniegu, to jechało się saniami. Gdy dzieciaki napatrzyły się już na franciszkańską szopkę, znów przez Brynów i park Kościuszki – znad Kłodnicy wra-



Saniarski rajd, Karol Wierusz, Kowalski Leksykon Porta Polonica

Źródło: Porta polonica

caliśmy nad Rawę. Wiosną na Wielkanoc i latem zamawiało się bryczkę i pan Jan powoził na majówkę do Zameczku Myśliwskiego na Muchowcu.

Mieszkańcy Katowic rokrocznie kibicowali zawodnikom oryginalnej zabawy, od XIX wieku w formie wyścigów na saniach rozgrywanej na południowych przedpolach gminy. W czasach powstania listopadowego ich faworytem był młody katowiczaniec Kazimierz Skiba, późniejszy sołtys tej miejscowości, od dzieciństwa marzący aby zostać stangretem.

W przeddzień Bożego Narodzenia gdy tylko zawiął zimny, porywisty wiatr od Karpackich szczytów co gwarantowało obfite opady śniegu i wyborną sanę, włościanie z parafii Mikołowskiej do swych poślizgowych pojazdów na ostrych łyżwach zaprzęgali parę koni. Zaraz po wigilijnej kolacji stawali na starcie wyścigu w Podlesiu pod Katowicami. W tumanach śnieżnego pyłu i wśród rytmicznie pobrzękujących dzwonek, co sił w końskich kopytach gnali na dziedziniec mikołowskiej fary gdzie znajdowała się meta. Tam, podczas uroczystej Pasterki, na zwycięzców czekały miejsca w pierwszej ławie a przed portalem najważniejszego parafialnego sanktuarium, któremu patronował św. Wojciech – honorowe boksy z sianem dla szybkonożnych siwków i gniasoszy. Gdy odmówili modlitwy przed betlejemską stajenką ksiądz proboszcz ścisnął dłoń tryumfatorów, gratulował im i błogosławił. Reprezentowali wszystkie miejscowości dekanatu: Stara Kuźnica, Ligotę, Gostyń, Kamionkę, Łaziska Górne, Średnie i Dolne, Bradę, Śmiłowice, Wilkowyje, Wyry oraz dziś leżące w granicach Katowic: Panewniki, Kokociniec, Piotrowice, Kostuchnę, Ochojec, Podlesie Śląskie i Zarzecze. Pokonywali dystans 6 kilometrów; najszybsi w ciągu kwadransa. Powoził samopas albo samowtór w towarzystwie dobrze opatulonej białogłowy, która umiejętnie balansując swoim ciałem redukowałam wychylenia pojazdu i dbała o to aby nie wypadł z krętego bożonarodzeniowego hipodromu. Ich za-

wody, jako żywo przypominały karnawałowe gońby podhalańskich kumoterek, o palmę pierwszeństwa walczące na trasie Zakopane Szaflary. Podobne saniarskie rajdy organizują górale w Tyrolu i wielu podgórskich miejscowościach świata.

Jedną ze scen pasjonującej bądź co bądź sportowej konkurencji, na barwnym płótnie uwiecznił znany polski artysta Karol Wierusz-Kowalski (bratanek Alfreda). W całej krasie można ją obejrzeć na stronach internetowego leksykonu Porta Polonica: <https://www.porta-polonica.de/de/lexikon/wierusz-kowalski-karol?page=2>

Pierwszy Wielki Sylwestrowy

Cytowany już red. Grodzicki przypomina, że katowiczanie to nie tylko afracasowany i zmęczony homo faber ale również radosny i chętny do zabawy homo risibilis:

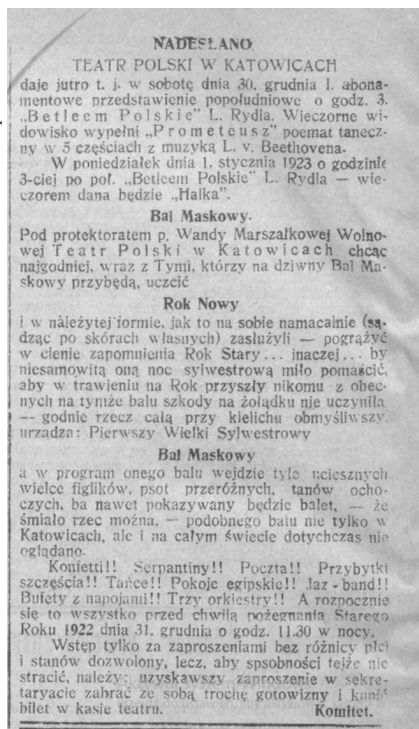
„Życie tętniło też w lokalach dziennych i nocnych. W południe spotykano się w obszernych pokojach cukierni Otta na Warszawskiej. Po południu i wieczorem w kawiarniach »Astoria« i »Monopol« grały najlepsze orkiestry warszawskie: Gold i Petersburski, Karasiński i Katuszek. Restauracje i kawiarnie z dancingami: »Monopol«, »Savoy«, »Flank« (z lustrzaną posadzką) i dziesiątki pomniejszych knajp i barów. Kabarety: Apollo, Bagatela, Trocadero oferowały atrakcyjne programy. W karnawale socjeta katowicka tańczyła na wytwornych balach”.

Najważniejszy był pierwszy, ten na którym weterani powstań śląskich w 6 miesięcy po odzyskaniu prawa do samostanowienia i powrotu na łono polskiej Macierzy – tańczyli i wnosili toasty za pomyślność najjaśniejszej Rzeczpospolitej. Maestro Tadeusz Wierzbicki, wówczas dyrektor i reżyser sceny operowej Teatru Polskiego zadbał o to aby jego świątynia Melpomeny scenerią i dramaturgią przypominała warszawskie i krakowskie reduty dawnych wieków, to jest publiczne bale maskowe, podczas których, ten kto chciał mógł wy-

stępować incognito kryjąc twarz pod maską lub zawieszając ją na ramieniu. Najważniejsze było, żeby wkraczając na bal nie miał przy sobie białej ani palnej broni. W dyskretnych maseczkach gustowały prawdziwe damy. Według żurnala miały do wyboru: maskę panięńską z przykrywkami, białogłowską lub babską.

Organizatorzy i uczestnicy zapewniali: „podobnego balu nie tylko w Katowicach, ale i na całym świecie dotychczas nie oglądano”.

Źródło: arch. prasowe ŚBC



Pierwszy Wielki Sylwestrowy bal Maskowy „Górnoszlazak” nr 299 z 1922

Protektorką wielkiej historycznej maskarady została pani Wanda Wolny, małżonka marszałka Sejmu Śląskiego, przyjaciółom i rodzinie znana jako wielbicielka cesarza Napoleona Bonaparte. Zabawa rozpoczęła się na dwa kwadransy przed „chwilą pożegnania Starego Roku 1922 dnia 31. grudnia o godz. 11.30 w nocy”. W pierwszej parze, na czele uroczystego Poloneza kroczył marszałek Konstanty Wolny, godnie prowadząc połowice – urodziwą i pełną radosnego dostojeństwa damę w wieku balzakovskim.

Potem Teatr Polski w Katowicach zamienił się w magiczny pałac tańca i dystyngowanych swawoli. Panowała beztroška atmosfera przypominająca wielkie świętowanie z antycznym orszakiem Dionizosa, w asyście kamen, menad i sylenów jadącego na wielkim czterokołowym okręcie zwanym carrus navalis. Nikomu nie zabrakło „uciesznych wielce figlików, psot przeróżnych, tanów ochoczych” na staropolską modłę zaaranżowanych. Aż do białego rana grały 3 orkiestry i jazzband w tym ostatnim – na trąbce Franciszek Związek, syn hutnika z Rudy Śląskiej-Wirku, muzyk w tym teatrze do 1925 roku,

założyciel i dyrygent awangardowego kwintetu „The Crazy Kiddies Jazz Dance Orchestra” oraz Arnold Lewak – pianista i skrzypek, który aż do śmierci w 1976 roku mieszkał w kamienicy przy Plebiscytowej 2, vis a vis przedwojennego kabaretu „Mascotte”, gdzie w czasach młodości tańczyła Lili Larys, wielka jego miłość, gwiazda warszawskich, krakowskich i poznańskich scen kabaretowych; po wojnie katowiczanka Helena Płaczkiewicz z ulicy Matejki,

Jak grała orkiestra Związka występująca w katowickich kabaretach (Moulin Rouge, Trocadero, Atlantic) i jak jej solista śpiewał „Kwiat z hawajów” można posłuchać w internecie: <https://www.youtube.com/watch?v=uHIiF7t2ndY>

Bardziej konserwatywni tancerze plasali w takt walca. Postępowcy – bywający na wielkich balach w Wiedniu, Londynie czy Nowym Jorku próbowali charlstona i cake-walka. O tych, którzy walczą, z przekąsem mówili, że wirując parami „posuwają się na parkiecie”. Entuzjazm wzbudzały swojskie rytmy i melodie, przy których nogi same rwały się do tańca. Panie i panowie wywijali mazura, krakowiaka, polkę, oberki, trojaki i inne śląskie tańce. Legendy i pamiętniki milczą na temat wdzireja tej wielkiej uroczystości. Jesteśmy jednak przekonani, że był ktoś kto poprowadził wiedeński walc tańczony w szczęśliwie dobranych parach połączonych pięknymi kotylianami w białoczerwonych barwach.

Po 1929 roku równie wystawne bale i reduty pod protektoratem najbardziej prominentnych osobistości odbywały się w nowych salach recepcyjnych Sejmu i Województwa Śląskiego w Katowicach.

Tak jak nakazywał to staropolski zwyczaj do kolacji goście wielkiego balu w operze katowickiej zasiedli gdy nad miastem i całą doliną Rawy rozśpiewały się dzwony wszystkich miejscowych kościołów. Na stołach pojawiła się tradycyjna zupa sylwestrowa, ciepłe przystawki, ryba, pieczone z jarzynami, deser, a na koniec sery i owoce. Plotka głosi, że na tak wyjątkowej uroczystości nie zabrakło smakowitych półgęsków ani też po królewsku przyrządzonych pulard i kapłonów, to jest młodziutkich kurki i kogutków mających za sobą tygodnie tuczającej diety przemieniającej ich mięsko w rozkosz dla ludzkiego podniebienia.

Podawało kilkudziesięciu garsonów wspomaganych przez zastęp zdyscyplinowanych pikolaków. Serwowali napoje z bufetów, w których jak żołnierze na warcie czuwały dębowe kubelki wypełnione lodem i flaszkami egzotycznych trunków. Na kontuarze w pogotowiu stała bateria koniaków i win. Krajowy monopol reprezentowały: likiery, rosolisy z Łańcuta, starka, jarzębiaki i inne wódki ziołowe. Sala błyszczała i migotała od kryształów, szkła i porcelany.



Rok umiera, rok się rodzi. Muzyka gra, rys. Forcimerówna „Szczutek”, sylwestrowy 1920

Na stolikach w sąsiedztwie wachlarzy z serwetkami lub na kieliszkach leżały wizytówki a obok nich kartonik z napisem: „zajęty”.

Na eleganckich tancerzy we frakach i czarnych oksfordach oraz na powabne ramiona wirujących z nimi – uwodzicielsko wydekoltowanych piękności, jak śnieżny puch opadało błyszczące konfetti i spływały arpeggia kolorowych serpentyn. Ich szeroko otwarte oczy lśniły blaskiem a kreski pod powiekami i szminka w ciemniejszym odcieniu dodawała szelmowskiego wyrazu. Modnie to znaczy krótko przystrzyżone damy z opaskami we włosach miały na sobie jedwabne, błyszczące suknie do kostek lub nieco krótsze to jest poniżej kolan. Ich zwiewny strój uzupełniały pióra, frędzle i perły a odsłonięte łydki okrywały jedwabne pończochy.

Tajemnicze, jak za króla Stasia były niespodzianki w rodzaju „Pocztą!! Przybytki szczęścia!! Tańce!! Pokoje egipskie”. Te ostatnie pełne stresujących labiryntów i wcale niełatwych do rozwiązania zagadek. O czym pisali nadawcy i adresaci nieśmiało lub bezceremonialnie flirtującej poczty salonowej, tego już się nie dowiemy. Tajemnicą pozostanie też to wszystko co się wydarzyło za parawanami „przybytków szczęścia”. Pewność możemy mieć tylko co do ironicznego witzu, który był szlagierem tamtego sezonu.

– Czy Pani zna Tuwima?

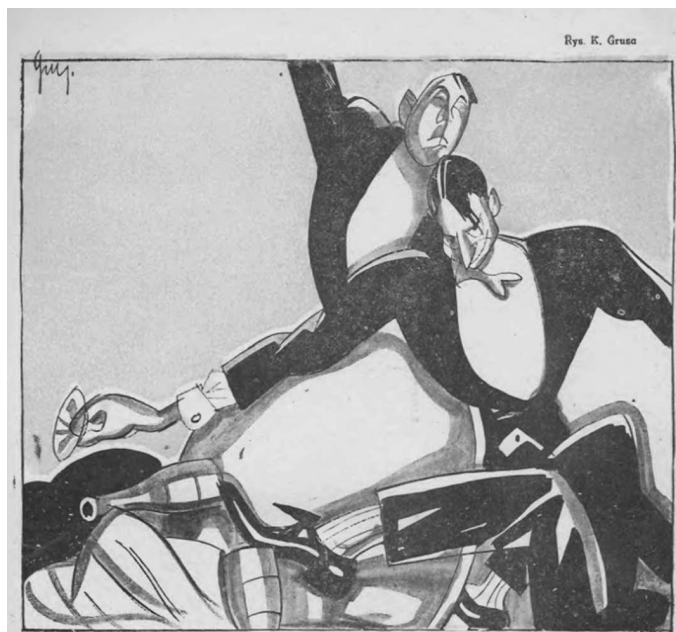
– Nie; a jak się to tańczy proszę Pana?

Wśród nowinek, hec i ploteczek poczty pantoflowej tematem numer 1 wciąż pozostawała jesienna wizyta legendarnego wodza Błękitnej Armii generała Józefa Hallera, jaką złożył w willi marszałkostwa Wolnych przy katowickim Zaciszu oraz inauguracyjne obrady Sejmu Śląskiego, któremu przewodniczył mecenas Konstanty Wolny. Katowiczanie byli pod wrażeniem polskiego praktykowania scen baletowych Prome-

Źródło: arch. prasowe ŚBC



Na balu, rys. Kazimierz Gruss „Szczutek”, sylwestrowy 1920



Po balu, rys. K. Gruss „Szczutek”, sylwestrowy 1920

teusza pokazanych kilka tygodni wcześniej na scenie katowickiej świątyni Terpsychory i Melpomeny. Choreografię opracował Jan Ciepliński, młody warszawski gwiazdor sceny baletowej tańczący partię tytułowego bohatera. Panie spierały się o nie do końca dające się rozpoznać jasełkowe osoby z III. aktu Betlejem polskiego. Nam także nie udało się dotrzeć do scenopisu i wyjaśnić czy wystąpił tam W. Korfanty i J. Piłsudski. Wśród sfer aspirujących do artystycznych, dominowały ploteczki i ciekawostki na temat gwiazd wielkiego świata filmu i muzyki.

W Katowicach przy sylwestrowych stołach u schyłku anno domini 1922 zupełnie frapujące okazały się sekrety włoskiego lirycznego tenora Enrico Caruso związane z jego noworocznymi przesadami. W kręgu najbliższych gości chętnie je odsłaniał dyrektor Wierzbicki, który przez kilka sezonów śpiewał w mediolańskiej „La Scali”.

Wieczory sylwestrowe Caruso spędzał wyłącznie w towarzystwie niebieskookich blondynów i blondynek. Obsesyjnie dbał o to by tego dnia nie zasiedli przy jego stole bruneci. Był pewien, że ich bliskość przyniesie mu pecha w nadchodzącym roku. Po raz pierwszy takie fatum spotkało go po Sylwestrze roku 1888, kiedy to na polecenie swego ojca i wbrew osobistym marzeniom musiał rozpocząć naukę ślusarstwa. Poprzedzający to wieczór noworoczny upłynął mu wyłącznie wśród takich jak on klasycznych brunetów. w kilka tygodni po sylwestrowym wieczorze 1893 roku spędzonym w asyście jasnowłosych i błękitnokoch przyjaciół otrzymał swój pierwszy angaż artystyczny w Neapolu. 5 lat później witał nowy rok w towarzystwie 10 pań i panów o przynoszącej

szczęście barwie owłosienia i tęczówek, a wkrótce potem został zaproszony do neapolitańskiego Teatro Lirico i ten występ zapoczątkował jego błyskotliwą karierę na scenach całego świata.

W krótkich intermezzach, na parkiet wbiegali młodzi i piękni tancerze z zespołu baletowego mistrza Jana Cieplińskiego i prezentowali popisowe etiudy budzące zachwyt oczarowanej publiczności.

Po kilku toastach, co śmielsi gawędziarze przypominali sobie salonowy calem-bourg pradziadków i ostrożnie cedzili kalamurki z przyzwoitej, cienkiej rurki. Najpierw zastanawiali się nad zasadniczą różnicą pomiędzy idealistką a naturalistką.

– Co to jest idealistka i naturalistka i jakie między nimi zachodzą różnice? – przepijał Kuba do Jakuba a zapytany odpowiadał:

– Obie są kobietami – a tem się różnią, że pierwszą interesuje idea a drugą natura listka... figowego.

Z tego dylematu najgłośniejsz śmiały się sufrażystki wtórujące statecznym dąmom promieniejącym na widok zwinnych i żwawych tancerzy katowickiego corps de ballet, którzy rytmicznie poruszali się w takt bębenków, piszczałek i cymbałów. Po północy towarzystwo coraz swobodniej zaczęło grać na półsłówkach. Duszę się w puchu mówił inż. Bizoń a ja czuję, że trzeszczy wrzos, ripostowała jego żona Marta. Rubaszny jak zwykle, jaśnie pan hrabia ER., z namysłem cedził absynt przez cukier na ażurowej łyżeczce, moczył wargi w kieliszku mętnego, zielonego płynu, konfidencjonalnie mru-gał okiem i bez żenady prał przy saniach sypiąc cytatami z Chaty wuja Toma.

Gdy przebrzmiał ostatni z noworocznych toastów maestro Wierzbicki głę-bokim basem zaśpiewał arię Stolnika

z „Halki” a kiedy artystyczne emocje sięgnęły zenitu na bis zagrzmiał jako Mefisto z „Fausta”. W międzyczasie wystąpili profesjonalści z pokazem scenek baletowych natomiast amatorzy dreptali w coraz to bardziej dowolnych wariacjach przypominających po trosze modne tańce afroamerykańskie a po trosze, parodie rodzimych hołubców.

Nad ranem wszystkie 3 orkiestry zagrały białego mazura a potem nobliwi dżentelmeni w eleganckich automobilach, powozach lub saniach, swoje urocze partnerki translokowali do przytulnych kącioków w pobliżu domowego ogniska. W drodze na bal i potem, gdy już przy gwiazdach i księżycu, w towarzystwie wybrańców wracały do domów wtulały się w czarne, popielate lub brązowe brajtszwance z wypoków azjatyckich owiec. Z podobnego karakułowego futerka z krótkimi loczkami miały też kołnierze do innych zimowych płaszczy oraz legendarne mufki – niezapomniane rekwizyty naszych prababek.

W pamiętnikarskim pokłosiu sylwestrowego balu w Teatrze Polskim przechowała się niewinna ploteczka. O pewnym eleganckim i wymagającym poruczniku z katowickiego sztabu generala Horoszkiewiczza koleżdy opowiadały matrymonialną anegdotkę

Przekonawszy się że jego partnerka źle tańczy, jak najprędzej chciał skończyć kurtuazyjną rozmowę o krajobrazie i zapytał:

A Pani gdzie siedzi?

– Ja? Nad Czeremoszem – brzmiała odpowiedź

Zbity z tropu porucznik nie wiedząc jak sparować błyskotliwą ripostę inteligentnej paniutki tańczył dalej. Przeszali pisać na parkietach a w jakiś czas potem zatrzymali się na ślubnym ko-biercu.

1. Pamiętam batony kouku-rouku i naklejki, które się zbierało do książeczki-albumu. Nigdy nie udało mi się zebrać wszystkich, skończyłam jak większość koleżanek z powtarzającymi się naklejkami, a brakowało nam pozostałych.

2. Pamiętam olejek waniliowy używany przez moją mamę do ciast, który miał niezbyt przyjemny zapach. Były zresztą i inne olejki, mama miała cały ich pojemnik, pamiętam też migdałowy i o zapachu skórki pomarańczowej.

3. Pamiętam cukier waniliowy, który po latach po dokładniejszym przyglądnięciu się okazał się cukrem wanilinowym.

4. Pamiętam piosenkę „Dmuchawce, latawce, wiatr”.

5. Pamiętam „Józek, nie daruję Ci tej nocy” Bajmu.

6. Pamiętam Maanam i Korę.

7. Pamiętam, że łapanie stacji w telewizorze wymagało dwóch osób, jedna próbowała ustawić odpowiednio antenę na balkonie, a druga mówiła czy coś widać, czy niestety wciąż śnieży. Dodatkowy problem pojawiał się przy próbie przymocowania anteny w znalezionej pozycji.

8. Pamiętam wieszane na kaloryferach ceramiczne kamionki napelniane wodą, która to od ciepła grzejników miała parując nawilżać powietrze.

9. Pamiętam, że wiadra na śmieci wykladało się starymi gazetami, które były zbierane do najróżniejszych celów i że po wyrzuceniu śmieci namoknięte papiery przyklejały się i trzeba je było odklejać. Pamiętam, że było to wyjątkowo nieprzyjemne.

10. Pamiętam, że to mój brat, a nie ja zazwyczaj musiał wyrzucać śmieci i odklejać te gazety.

11. Pamiętam viboviti i saturali i że najsmaczniejsze były wyjadane na sucho językiem prosto z opakowania.

12. Pamiętam obowiązkowe szczepienia w szkołach i charakterystyczne znamię, które zostawało na ramieniu po jednym z nich.

13. Pamiętam, jak w niedzielę całą rodziną oglądaliśmy „Doktor Quinn”.

14. Pamiętam w telewizji popularną reklamę proszku do prania z hasłem, które powtarzał cały kraj: „Ojciec, prac? Prac, ale tylko w Pollena 2000”.

15. Pamiętam dezodoranty Fa i Bac, a także piosenkę śpiewaną przez Marka Kondrata „Mydełko Fa”.

16. Pamiętam wodę toaletową Pani Walewska.

17. Pamiętam kulki naftalinowe, które umieszczano w szafach przeciwko molom, a którymi później śmierdziały wszystkie ubrania.

18. Pamiętam, jak przyjeżdżała do mnie na ferie zimowe babcia i wszystkie jej ubrania było czuć naftaliną i że moje koleżanki bardzo się z tego śmiały.

19. Pamiętam teleranek.

20. Pamiętam gazety „Miś”, „Świerszczyk”, „Świat młodych” i późniejsze „Popcorn” i „Cosmopolitan”.

21. Pamiętam, że brat mojej koleżanki kupował jej „Cosmopolitan’a” bo podobała mu się nazwa tej gazety.

22. Pamiętam lalki bobasy będące naturalnych rozmiarów podobiznami małych dzieci.

23. Pamiętam lalki „Fleur” i „Barbie” i to jak bardzo marzyłam o posiadaniu jednej z nich. Fleur miała większą głowę a Barbie była bardziej pożądana.

24. Pamiętam „Akademię Pana Kleksa”.

25. Pamiętam dobranocki „Reksia”, „Bolka i Lolka”, „Misia Uszatka”, „Misia Kolargola”.

26. Pamiętam układanie puzzli i że najgorsze do ułożenia było zawsze niebo.

Małgorzata Fabrycy

Pamiętam (fragment)



„Niebo”, Agnieszka Korusiewicz



Wiersze wigilijne Tadeusza Kijonki

KS. JERZY SZYMIK

Ostatnia kropla krwi w poświęceniu świtu
Spłynęła w ciszy mlecznej – śladu rany,
Lecz cztery rąbki bieli rozchylone
Na strony świata wszystkie...
Gloria, gloria

(T. Kijonka, *Łaska*, fragment)

30 czerwca. Ten dzień wybrałem od wielu tygodni na napisanie rozważań o *Wierszach wigilijnych* Tadeusza Kijonki. Ryzykując, że mogę nie dać rady, że pióro nie przebijie ściany bólu. Ale też wiedząc, że pod wieczór tego ostatniego dnia czerwca będę odprawiał Mszę świętą w katowickiej Katedrze pw. Chrystusa Króla w Jego intencji, w pierwszą rocznicę Jego śmierci. O niebo dla Niego, o nadzieję dla nas, żywych. I wierząc, że to Chrystus jest Królem i Panem całej historii, także Jego historii.

Bo odszedł od nas dokładnie przed rokiem, w piątek, rano. Dzisiaj, po roku, jest sobota. W ciągu ostatnich lat licznym swoim przyjaciółom, w tym mnie, czytał nieraz, przez telefon, swoje wiersze, skupione na tajemnicy Bożego Narodzenia. Wiersze te pisał, kończył, zbierał z dawnych notatek, cyzelował. Prosił o radę, był ciekaw opinii, pierwszego wrażenia wywołanego frazą, skojarzeniem, obrazem, werblem rytmu, zgrzytem zderzonych metafor. Ale nie zdążył nadać skończonego kształtu niektórym utworom i kompozycji całego tomu. Kilkanaście wierszy pozostało w rękopisach w nie do końca jednoznacznej wersji. Więc przez ostatnich dwanaście miesięcy pracowaliśmy nad tym dziełem, z najlepszą wolą i intencją: by książka była taka jaką chciałby widzieć Tadeusz... Kończymy ją za Niego, dla Niego (ogromnie Mu zależało na jej publi-



kacji), dla nas, w poczuciu długu, wdzięczności, z zapartym tchem.

Szesnaście lat temu, latem 2002 roku namawiał mnie przez kilka miesięcy, bym napisał coś w rodzaju osobistego (intymnego wręcz, tak chciał) *Dziennika pszowskiego* (zaproponował taki właśnie tytuł). Wiedziałem już wtedy, że Tadeusza warto słuchać i posłuchać (nie tylko w ściśle literackich sprawach), więc napisałem *Dziennik pszowski. 33 kartki o ludziach i miejscach, Ślą-*

sku i tęsknocie. Tadeusz rzecz wydrukował w grudniowym numerze „Śląska” z 2002 roku (s. 54-62). Dwa lata później tekst ten (poszerzony: 44 kartki...) opublikowała katowicka Księgarnia św. Jacka w formie książki. I teraz najciekawsze i bardzo na temat: otóż ze wszystkich 33/44 kart mojego pszowskiego dziennika Tadeuszowi najdroższa była (kilkakrotnie mi o tym mówił) kartka czwarta, która szła tak:

„Święta w Pszowie, w moim rodzinnym domu. Zapachy: choinki w nagrzanym kachlokiem »trzeciej izbie«; książek – prezentów pachnących świeżym drukiem, czytanych w świąteczny poranek; maku, pomarańcz, moczki, skwierczących na patelni ryb; znoszonych ze strychu figurek szopki, stajenki. Zapachy bezpieczne jak cały tamten dziecięcy świat.

Obrazy: czapy śniegu na żywotnikach w ogrodzie; błyskanie i wielobarwność choinkowych lampek; uśmiechnięte twarze wokół. Emocje, uroczysta tajemniczość.

Dźwięki: kolęd śpiewanych po wieczry; głosów moich bliskich wypowiadających życzenia przy oplatku; pomrukiwań zwierząt odwiedzanych nocą w obejściu (a nuż się odezwą ludzkim głosem?); orkiestry gómiczej podczas pasterki z chóru pszowskiego kościoła. Potem bywało różnie: dwie Wigilie bolesne ze sparalizowanym tatą w fotelu; któraś z Wigilii wikariuszowskich, potwornie samotna, groźna. Ale też niesłychana radość dzielona z tymi, którym przebaczył Bóg w przedświąteczne dni za sprawą mojej posługi w konfesjonale. Radość nieporównywalna z niczym, radość sprawowanej w Święta Eucharystii, w czasie której za każdym razem uświadamiam sobie, że oto spełnia się z nadatkiem moja prośba dorastającego chłopaka, prośba-modlitwa z mojego wiersza sprzed dwudziestu kilku lat: »obyś się w dłoniach moich rodziców».

Rozumiem dziś bardziej niż kiedykolwiek, że całe to piękno i serdeczność Świąt mają swoje źródło w Bogu. Że to, co stało się dwadzieścia wieków temu, za cesarza Augusta, wielkorządcy Syrii Kwiryniusza, w Betlejem, kiedy to „porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie” [Łk 2,7], ma jedną jedyną przyczynę: Bóg miłuje nas bezgranicznie. Staje się człowiekiem, bym mógł stopić swoje życie z Nim. „W-ciela się”, stąd „cielesność” mojego życia – zapachy, obrazy, dźwięki – jest w równym stopniu moja i Jego.

I z tej prawdy, ze wspomnień dzieciństwa, z kapłańskiej dorosłości wyprowadzam wnioski, który próbuję nazwać i wyrazić jako największy bodaj dar, ja-

ki mnie w życiu spotkał: byłem i jestem kochany”.

Dlaczego właśnie ta kartka, nie inne, oryginalniejsze i lepsze (literacko, nie tylko moim zdaniem)? Sądzę, że z tej samej przyczyny, która stoi za tajemnicą *Wierszy wigilijnych*. Owszem, bliski był Mu mój Pszów (sąsiadujący z Jego Radlinem) i jego mitologia (krewna radlińskiej mitologii Tadeusza, z rzeczką Leśnicą i nieśmiertelnymi obrazami radlińskiego dzieciństwa). Ale to coś – co próbuję nazwać – jest większe niż Pszów, Radlin i uwznioślające nasze życie i cierpienia mity. Chodzi o tajemnicę Wcielenia, o cud Inkarnacji Boga, który wbity w naszą kulturę dogłębnie i (aż po rękojeść, chciałoby się rzec i chciałbym by tak było) i nieusuwalnie (mam nadzieję) oraz w osobiste doświadczenie egzystencjalne Tadeusza (doświadczenie religijne, domowe, kulturowe, dziejowe) stanowił dla Niego stałe źródło twórczej fascynacji. Tak to rozumiem.

Tu wtręt ściśle teologiczny. Chrześcijańskie pojmowanie Wcielenia nie jest mityczne ani metaforyczne, lecz rzeczywiste i historyczne. Jeśli obecne w wielu religijnych intuicjach ludzkości pragnienie „przyjścia Boga na ziemię” uznać za „archetypiczny mit” (przenoszący przez mroki tysiącleci kruchość płomienia ludzkiej nadziei), to w Wydarzeniu Jezusa Chrystusa stał się on „mitem zrealizowanym”, czyli samą rzeczywistością. Odwieczna prechrystologiczna tęsknota człowieka, znajdująca swój wyraz w tradycji judaistycznej i w prorockich księgach Starego Testamentu („obyś przyszedł i wybawił”; „Obyś rozdarł niebiosą i zstąpił”, Iz 63,19), doczekała się faktycznego spełnienia w rzeczywistej inkarnacji Bożego Syna. O „wcieleniu Bożego Syna” chrześcijaństwo mówi więc dosłownie, a nie przenośnie czy analogicznie (tak jak np. Szekspir pisze o Iago w *Otelli* jako „diabłu wcielonym” lub jak mówi się o człowieku czy zjawisku, że są „wcieleniem ducha” epoki itp.).

Pojęcie ‘wcielenia’ (greckie *sarkosis*, łacińskie *incarnatio*) wprawdzie nie występuje w Nowym Testamencie, a pierwszy użyje go Ireneusz z Lyonu w *Adversus haereses* (III, 18,3; 19,1-2), interpretując Prolog Ewangelii Jana, lecz jego sens (treść) oddaje biblijne wyrażenie „w ciełe” (greckie *en sarki*: 1 Tm 3,16; 1 J 4,2-3; 2 J 7; Kol 1,22; Ef 2,14; Rz 8,3) oraz słynny passus J 1,14: „Słowo stało się ciałem” (gr. *Logos sarks egeneto*, łac. *Verbum caro factum est*). „Ciało” jest tutaj synonimem człowieka postrzeganego w jego konkretności, w perspektywie przemijania,

czasowości, ubóstwa, ograniczeń i ziemskiej przypadkowości.

I właśnie takie zaplecze teologiczne mają wigilijne wiersze Tadeusza Kijonki. Bo takie jest też zaplecze białych polskich świąt – kulturę odżywia tu i formuje teologia. Siła rażenia tej poezji bierze się z prawdy i zrodzonego z niej obyczaj, z wiary i wcielonej (właśnie) w konkret naszej kultury tajemnicy obecności Boga w tym co najbardziej miłosne, bolesne, samotne, doświadczane jako arcyłudzkie. Stał się bowiem człowiekiem – we wszystkim do nas podobny, z wyjątkiem grzechu.

Rzecz jasna: moc i piękno tej poezji nie ostałyby się bez prawdziwej *poiesis* Kijonki, bez iskry Bożej – talentu Poety Tadeusza. Ja nie bardzo umiem o tych wierszach pisać, umiem i chcę je czytać, a czytając je słyszę, jak je czyta Tadeusz, wczesną nocą; Jego głos, już trafiony śmiertelną chorobą ciągle brzmi w słuchawce mojego telefonu... Ale napiszę

może chociaż to: te wiersze mają coś z najczystszej klasyki, coś z katastrofizmu zagarystów i wiary dziecka – zarażem. A wszystko to czarnośląskie, zło- tośląskie... Z estetyką, która każe całą lekturę przeżywać w stanie najwyższej uwagi: „Sine powrozy mrozu, zgrzebne srebra, szreń. / Zmurszałe wióry śniegu, lodu syпки gruz”. Kto tak dzisiaj jest w stanie pisać?

Kończy się czerwiec, zaczyna lipiec. Wchodzimy w drugi rok nieobecności Tadeusza Kijonki. Choć wielu z nas (ja na pewno) wierzy w *communio sanctorum*, obcowanie świętych, czyli w przekraczalność granicy między żywymi i umarłymi. Więc, Tadeuszu, przeczytam Ci na koniec wiersz (*Dios solo basta*, Katowice 30 czerwca 2010 r., z tomu *Hilasterion*), odwzajemniając tamte, czytane przez Ciebie do słuchawki. I dedykuję go Tobie, w ostatni dzień czerwca, dzień Twojej śmierci. A także Czytelnikom Twojej książki:

To zawsze było moje prywatne święto:
noc, kiedy czerwiec przechodził w lipiec.
Kiedyś były to dni głębokich już wakacji,
ostatnimi laty – ciężkiej pracy.

Ale zawsze pod rozgwieżdżonym niebem,
niedaleko morza, w ciepłym powietrzu,
z duchową bryzą.

Jeśli w którąś z tych nocy płakałem – nie pamiętam.

Co ja zrobię bez ciebie, moje ziemskie życie,
bez twoich zmysłów, olśnień,
nawet z bólem nie umiem się rozstać,
ciemnych chwil mi szkoda.

Wystarczyś sam, prawda?

Ani oko, ani ucho?

Zaufam i wtedy pojmem, zrozumiem?

Przejdę z życia w śmierć jak z czerwca w lipiec?

Boże mój, Boże:

poradzisz sobie ze mną?

Katowice, 30 czerwca 2018 r.

TADEUSZ KIJONKA

NIM STANIE SIĘ CIEMNOŚĆ

Ostała mi się tylko ta ostatnia gałka
Z choinek lat dziecięcych, co jeszcze pamięta
Moje pierwsze olśnienie pod świerczka lichtarzem.
Ja już siwy – i ona poszarzała, smętna,
Jak zasłuchana w sobie rzewna pastorałka
Co łza, gdy rok po roku żłobi rysy w twarzy.

Ileż spotkań i rozstań, falujących kołęd
I westchnień co opłatek pamięci skruszałej.
Kto jest, a kto nie siądzie przy domowym stole,
By słowa jak w dzieciństwie znów stały się ciałem.

Las choinek poza mną, a ile przede mną?
Może to już ostatnia –
Nim stanie się ciemność.

CO SERCE

Kołysz się, kołysz, co serce – kołyską.
Tej nocy świętej, gdy piszą się dzieje,
A pierwsza gwiazda nachyla się nisko,
Co dom i serce w ubogim Betlejem.

W sobie się kołysz, pokłon za pokłonem,
Kołysz, już gwiazda objawiona bieży
Na wprost, skąd zabrzmiały nawiedzone dzwony –
Wystarczy w słowa zwiastowane wierzyć.

Chwila a słowo znów ciałem się stanie.
Słyszysz, to dziecię narodzone kwili
W kołysce serca, by zdążył posłaniec
Z wielką nowiną dotrzeć w czas wigilii.

Kołysz, dopóki współbrzmiały echa kołęd,
Nim łza się stoczy spod powiek ukradkiem
Czas zasiąść razem przy domowym stole
I jak pamięcią dzielić się opłatkiem.

Będzie jak było od pierwszego słowa,
Blask łuny gwiazdy betlejemskiej blisko,
Gdy anioł Pański pasterzom zwiastował,
Kołysz się, kołysz, co serce – kołyską.

ARCHIPELAG

Po ilu latach wracasz do tego wiersza
Jak bezdomny do wigilijnego stołu,
Co to zatracił się w drodze.

Pozółkły papier kruszy się
Jak poruszona mumia.

Tak, rozpoznałem – to dukt mego pisma,
Choć litery wyblakły i trawi je kurz
A zacieki spęczniałe na lichym papierze
Są teraz jak zwietrzały archipelag łez.

Więc płakałem w ten wieczór wypatrując gwiazdy;
Lecz nie wiem dziś czy był to rdzawy odbłask Marsa,
A może krystaliczne tętno światła Węgi,
Pierwszej gwiazdy tej nocy,
Wtedy na wyciągnięcie ręki,
Najjaśniejszej w gwiazdozbiorze Lutni –
Co łśni u końca gryfu.

Tylko kiedy to było,
Kiedy to było –
I gdzie ten biały obrus
Kruchy od krochmalu?

Jak zapomniana kolęda dzieciństwa
Powraca ten czas, Mamo, gdy już nie odpowiesz
Na żadne pytanie.

PASTERKA

Przybieżeli do Betlejem,
 Nie wiedzieli, co się dzieje:
 Znak gwiazdy ni nowiny –
 Żłóbek w sznurach pajęczyny.
 Padli na twarz, zapłakali –
 Dokąd, po co i co dalej?
 Aż posnęli śród kamieni,
 Jak żołnierze opuszczeni.
 Jak narzędzia zbite, chrome,
 W lichej szopie porzucone.
 Wykruszone kłosa żyta,
 Pełni lęku, pustych pytań,
 Że się nigdy nic nie ziści,
 I do końca – liść za liściem...

Lecz o świcie każdy wrócił
 Tam, skąd przybył – jak w koronie,
 I kolędę skoczną nucił,
 Jakby gwiazdę chwycił w dłonie.
 Znasz-li...

Gdzie własnych wierszy boją się poeci,
 A książki myśli, gdzie bezbronny sprzeciw
 I żal po czasie jak napis na płycie,
 A ludzie ludziom patrzą w oczy skrycie
 I kładą palec na usta bezwiednie;
 Gdzie im kto godniej – kończy życie biedniej.
 Tam śnieg co roku powraca z zesłania,
 A zmarli żywym, gdy razem zasięda,
 W skomlące noce zadają pytania.
 I wiek za wiekiem kołysanki przędą
 Struchlałe matki; co głos – to chropawy,
 Tak bolą cięcia na policzku prawym.
 Bo wciąż na brukach ta krew zdeptana,
 I znów tułają się po oceanach
 Wygnańcy niby refren starej pieśni.
 Gdzie sen jest po to, by kto śpi – ten prześnił
 Co utracone, a się nie powtórzy,
 Bo nie powróci w zwycięskim mundurze.
 Gdzie nie ma w domach pamiątek rodzinnych
 Od dwu stuleci, ani tęsknot innych,
 Niż sięść do stołu razem – raz do roku
 W noc, gdy choinka opróżnia pokój,
 A na pieluszcze lnianej hostia śpi –

Znasz-li ten kraj –
 Znasz-li?

CICHA NOC

Ten, który idzie za mną z nakazu, by śledzić –
 Podsluchujący myśli mój cień opłacony,
 Przy stole wigilijnym nawet ze mną siedzi
 I łamie się opłatkiem z tej i z tamtej strony.

To bardzo ciężka służba, więc jak nie przebaczyć?
 Nie on – to będzie inny, póki tutaj będę.
 Czy nie dość mi, że w noc tę jak dziecko zapłacę,
 Gdy zapalam choinkę
 I śpiewam kolędy.



Grafika: Agnieszka Korusiewicz



MARTYNA KLESZCZ **Utracone smaki ziół**

Podobno wszystko zaczęło się od roślin. Tak przynajmniej przekonywała nas wystawa, którą mogliśmy zobaczyć jeszcze na początku tego roku w nowej siedzibie Muzeum Śląskiego w Katowicach. Ziarna – bo to one były bohaterkami ekspozycji – jeszcze nigdy nie zostały potraktowane w tak należyty im sposób i jeszcze nigdy nie mówiły nam tak wiele o historii ludzkości. Choć drobne i niepozorne, zawłaszczone – jakby wręcz zrabowane naturze, pomogły przetrwać nam czas niedostatku, głodu oraz wojen. Zebrane w jednym miejscu, wyeksponowane z niespodziewaną wrażliwością stały się nie tylko obiektem podziwu dla ludzkich oczu, ale świadectwem kulturowej więzi, jaka od wieków łączy człowieka z roślinami – więzi, o której tak łatwo zapomnieć w mieście z silnie zakorzenioną tradycją przemysłową.

I oto są przed nami – esencja natury w swojej najczystszej formie – w jednym z najnowocześniejszych budynków na Śląsku, w samym sercu największego regionu górniczego w Polsce. W miejscu, gdzie niegdyś wydobywano tony czarnego złota, gdzie o przeszłości wciąż przypomina pokopalniany szyb – strażnik przemysłowej przeszłości Śląska. W tym paradoksie tkwi jednak prawda o odwiecznej zależności człowieka od przyrody, a w szczególności roślin, nie tylko tych uprawnych i użytkowych, ale również tych dziko rosnących. I wydawać by się mogło, że te ostatnie odzyskują dziś swoje utracone, zapomniane pokoleniowo znaczenie. Wystarczy spojrzeć na półki w księgarniach, aby przekonać się, ja-

kie cuda kulinarne można stworzyć z zióła macierzanki, bulwy topinamburu, kwiatów stokrotki czy liści ślazu. W śląskich miastach coraz częściej możemy natrafić na sklepy zielarskie proponujące udział w warsztatach i wykładach z zakresu stosowania ziół w celach zdrowotnych. W Warszawie z kolei powstała niedawno pijalnia ziół, w której można napić się kawy konopnej, soku z czosnku niedźwiedziego lub oczyszczającej herbaty z pięciornikiem oraz kłączem perzu. Dzięki takim działaniom powoli przypominamy sobie zapomniane przez dziesięciolecia smaki ziół.

Przewodnicy po dzikim świecie roślin

Tymczasem, w tle wciąż rosnącej popularności ziół i pojawiania kolejnych mód ziołowych słychać echa ekologii, ruchu slow life, wegetarianizmu i zero waste. W całym tym chaosie idei, trendów, diet i teorii trudno jednak znaleźć pogłębione refleksje o kulturowych czy społecznych uwarunkowaniach jedzenia, w tym także stosowania w kuchni ziół. Niewiele wśród nich obiektywnych głosów sięgających do bogactwa tradycji i pamięci dawnych pokoleń. Wyjątkiem jest głos Łukasza Łuczaja, pioniera w popularyzacji dzikich roślin – etnobotanika, badacza i podróżnika jednocześnie. Sam opisuje siebie po prostu jako miłośnika kwiatów i roślin, choć wiedzy z zakresu zawartości substancji odżywczych w ziołach oraz historii ich stosowania pozazdrościłoby mu wielu doświad-

czonych naukowców. W napisanych przez niego książkach oraz artykułach można wyczytać nie tylko ciekawostki o podagryczniku, losach lebiody na przestrzeni wieków (inaczej komosy białej) czy diecie zbieraczy-łowców. Między wierszami jego tekstów – między niezwykłymi opowieściami o zachowanej tradycji stosowania ziół na Bałkanach, opisaniami bukietów i wianków święconych w dzień Matki Boskiej Zielnej i historiami o jadalnych kwiatkach dostępnych na azjatyckich targach – kryje się pokora oraz ogromny szacunek wobec przyrody. Niezależnie bowiem od tego, czy pan Łuczaj pisze o wodorostobranium w Szkocji czy liściach roślin, z których niegdyś przygotowywano gołąbki, w jego słowach pasja łączy się z mądrością i naukowym spokojem. Nikt inny nie mógłby przekonać nas, że z chwastów rosnących w dzikich ogrodach można przygotowywać smaczne i pożywne dania, a zioła takie jak pokrzywa, bluszczyk kurdybanek czy podagrycznik można pić codziennie, bez obawy o swoje zdrowie. I choć pan Łukasz przełamał panującą przez lata niechęć i strach przed wykorzystywaniem ziół w kuchni, wciąż jest w Polsce jednym z niewielu propagatorów *foragingu*, czyli mody propagującej wykorzystywanie w kuchni tego, co znaleźć można w lesie i na łące. A kryją się tam niezliczone cuda: owoce, grzyby, mchy, drzewa i wreszcie niepozorne zioła. Liście, kory, bulwy – całe bogactwo składników odżywczych, smaków i zapachów.

To z dziko rosnących ziół pan Łuczaj tworzy przepyszne i proste w przygotowaniu posiłki, których przepisy znalazły się między innymi w książce *Dzika kuchnia*, będącej jednocześnie opowieścią o fascynacjach autora. To z niej dowiemy się, że owoce głogu mogą wyśmienicie smakować z ugotowanymi burakami, że ziele jasnoty idealnie nada się na pożywną zupę-krem, a niepozorny krwawnik – niezwykle cenione w medycynie naturalnej zioło, stanowiące ważny składnik zdrowotnych mieszanek ziołowych – może być dodatkiem do prostej, porannej jajecznicy. Równie oryginalnych ziołowych dań można doszukać się w kuchni Maksymiliana Przybylskiego, profesjonalnego kucharza pochodzącego i działającego w Kielcach. Na prowadzonej przez niego stronie *Max gotuje z Natury* znajdują się przepisy, w których dziko rosnące zioła odgrywają znaczącą rolę, stanowiąc nie tylko dodatek podkreślający smak innych składników, ale podstawowy element dania.

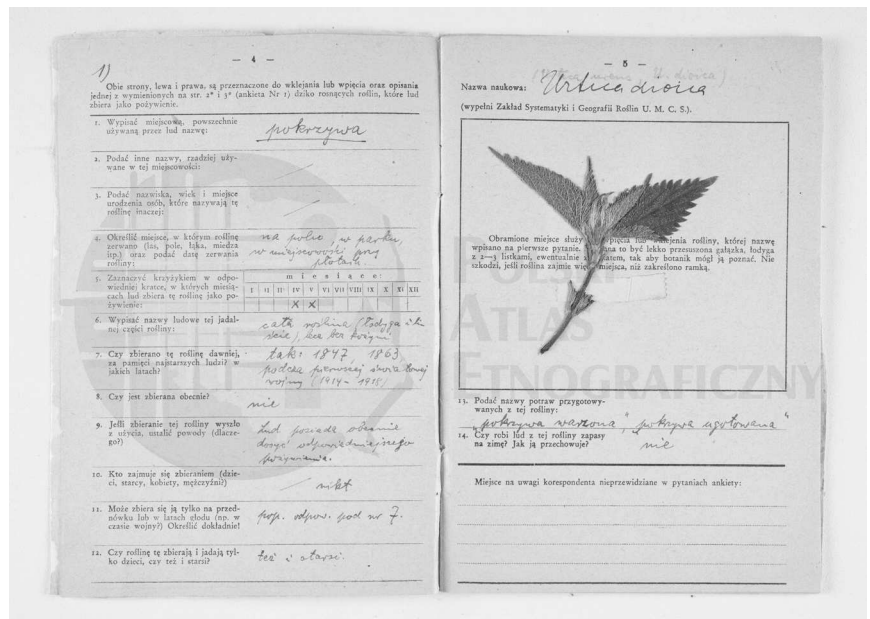
Poza ziołami pan Maksymilian korzysta jednak jeszcze z innych darów, jakie oferuje mu natura; z grzybów znalezionych w świętokrzyskich lasach, z serów dostarczonych od lokalnych wytwórców czy świeżych owoców, z których wytwarza octy winne. Kwiaty z czarnego bzu w cieście na zakwasie chlebowym? A może sałatka z bobu, kwiatów wiesiołka i z miętowym sosem? Choć niektóre z tych przepisów brzmią nieco egzo-

tycznie, paradoksalnie wszystkie z nich bazują na składnikach, które można znaleźć w pobliskim lesie, na łące lub zwykłej polanie. I jak twierdzi pan Maksymilian, do przygotowywania swoich potraw inspirowane go sama natura: „Tak naprawdę nie wymyślam potraw, tylko czytam je z przyrody. Podam prosty przykład. Będąc na Bałkanach obserwowałem, jak kozy z maniakalną wytrzymałością objadały dzikie róże z ich płatków. Kiedy róże im się znudziły, zabrały się za tymianek. Po powrocie do domu zrobiłem sałatkę z kozim serem, płatkami róży i macierzanką, która jest podobna do tymianku. To był strzał w dziesiątkę! Natura podpowiedziała mi, co połączyć. Wystarczy tylko umieć to zobaczyć i jej wysłuchać. [...] Poza tym, że jestem kucharzem, jestem też przyrodnikiem, więc zioła dla mnie to przede wszystkim dary natury, z których staram się korzystać i którymi się bawię. Warto też podkreślić, że w tym wszystkim bardzo zakorzeniona jest sezonowość, czyli życie i gotowanie w zgodzie z cyklem pór, okresów, wegetacji i zmian, które jako przyrodnik staram się obserwować”.

Zarówno pan Łukasz, jak i pan Maksymilian korzystają z bogactwa przyrody, która otacza i stanowi dla nich naturalny, znany im od dawna ekosystem. Obaj panowie – może nieco nieświadomie – wpisali się w modę „Zdrowo, lokalnie, sezonowo”. Ich kulinarne działania – które śmiało można określić rekonstrukcją – to wyraz zamiłowania wobec tradycji oraz otaczającej ich natury. Wystarczy przytoczyć słowa pana Maksymiliana, który zapytany o to, co najbardziej go pociąga w gotowaniu, odpowiedział: „Kręci mnie najbardziej polska kuchnia i próby dociekania jej historii, zapomnianych smaków czy regionalistów. Często wyobrażam sobie, że na przykład zamiast dzisiejszych przypraw ludzie używali dzikich roślin i tak wymyślam potrawy niby klasyczne dla polskiej kuchni, jednak z dzikim twistem”.

Historia kulinarna i kwaśne polewki ziołowe

To właśnie historia polskiej kuchni jest najbardziej wiarygodnym świadkiem mogącym potwierdzić, jak wiele zawdzięczamy dzikim roślinom jadalnym, szczególnie w okresach niedoborów żywności oraz biedy. To one chroniły nas wówczas nie tylko przed dolegliwościami zdrowotnymi oraz ciężkimi chorobami, ale również przed samą śmiercią. W czasie głodu oraz wojen mieszkańcy polskich wsi sięgali po dziko rosnące zioła, aby móc zapewnić sobie oraz swoim rodzinom przetrwanie. Zbierano w tym czasie liście szczawiu, pokrzywy czy barszczu zwyczajnego i przygotowywano z nich tradycyjne danie słowiańskie zwane *polewką*. Dorzucano do nich również korzenie roślin, a także różnego rodzaju kasze, tłuszcze lub ziemniaki, jeśli były one dostępne. Zapewne zwoleńnikom fermentacji oraz kiszienia spodoba się



Cyfrowe Archiwum Polskiego Atlasu Etnograficznego, <http://pae.us.edu.pl/items/show/12309>, data dostępu: 29.II.2018. Ankieta PAE dotycząca zbieractwa roślin dziko rosnących (nr inw. PAE/A1/20.32. XVI/02) z miejscowości Miechowice (ok. Bytomia)

informacja o przygotowywaniu kwaśnych polewek z kiszzonego podagrycznika (zwanego na Kresach *śnitką* lub *śnitką*) lub kiszzonej kapusty. Przepisy na słowiańskie *polewki* można dziś znaleźć między innymi w książce *Kuchnia Słowian* autorstwa Hanny i Pawła Lis.

Na Górnym Śląsku z kolei, wśród prostych i gotowanych na co dzień polewek, znajdowała się – znana również i dziś – *wodzianka*, zupa składająca się z wody, kawałka chleba, czosnku, a czasem z dodatkiem tłuszczu zwierzęcego. Mniej popularną dzisiaj zupą śląską – choć przygotowywaną niegdyś rzadziej, bo tylko na Wigilię – była *siemieniatka*. Tą prostą i niezwykle pożywną polewkę wytwarzano z siemienia konopnego: „[...] a w tym celu, warzy się siemię, aż skorupa na nim popęka, po czym wysypuje się je do cebrzyka i mniej tłuczkiem, aż wyciągnie się ciecz mleczną, którą się gotuje”. Dziś niewiele już osób pamięta o *siemieniatce*, choć wzmianka o niej znajduje się między innymi w notatkach Adama Fischera, zebranych i opracowanych w książce *Rośliny w wierzeniach i zwyczajach ludowych. Słownik Adama Fischera* – jednej z najbardziej wartościowych naukowo publikacji z zakresu stosowania w Polsce ziół oraz tradycji ludowych im towarzyszących.

Do ziół głodowych, wykorzystywanych w różnych regionach Polski, należała także znana nam dzisiaj pokrzywa czy bluszczyk kurdybanek, o którym przeczytać można w wielu współczesnych zielnikach. W grupie tej znalazły się jednak rośliny, o których słyszeli obecnie głównie botanicy i miłośnicy przyrody; ostrożeń zwany w tradycji ludowej po prostu *ostem* czy *czyściec błotny* określane inaczej *kucmerką*. Korzeń tego ostatniego używano zarówno w formie surowej, jak i w formie sproszkowanej – jako dodatek do popularnych w Polsce podplomyków oraz zup. Ostrożeń z kolei, nie-

gdyś ważne i często dodawane do *polewek* zioło, dostarczał cennych substancji odżywczych (liście) i był naturalnym probiotykiem (korzenie). Z niego też gorale zamieszkujący Podhale przygotowywali *warmuz*, potrawę składającą się z posiekanych ziół, zarobionych mąką owsianą lub ziemniakami.

Wśród głodowych pokarmów polskiej wsi znalazł się również chleb, do którego starano się dodawać składniki zwiększające jego objętość: zmieloną korę brzozy, nasiona wyki czy popularne w dawnej kuchni żołądzie. Mówiąc o tradycji wypiekania chlebow, nie sposób nie wspomnieć o tradycji podkładania pod nie liści takich roślin jak klon, jawor czy tatarak. Metoda ta nie tylko pozwalała zapobiec przypaleniu chleba, ale nadawała mu również niezwyklej aromatu. Dziś wielu piekarzy wraca do tej niezwyklej tradycji.

W materiałach badawczych Józefa Rostańskiego z kolei, botanika żyjącego i działającego na przełomie XIX i XX wieku, można odnaleźć ankiety o stosowaniu roślin, takich jak szczawik zajęczy, liście lipy czy kłącza perzu. Wśród zgromadzonych przez badacza informacji znajdują się również ciekawe wzmianki o zastosowaniu innych składników zbieranych przez lud wiejski na łąkach, polach i w lasach oraz o potrawach z nich przygotowywanych. Można przeczytać w nich między innymi o mięcie zalewanej gorącym mlekiem czy gołąbkach z kaszą jaglaną i kukurydzą zawijanych liśćmi podbiału. Ponadto, jeśli pozwalała na to okoliczna przyroda, zbierano dawniej nasioną manny jadalnej, owoce (borówka czernica, jarzębina, dzika czarna porzeczka) i surowe warzywa takie jak chociażby rzeżucha.

Poza okresami niedoborów żywieniowych znalezione na łąkach i pastwiskach rośliny służyły także do urozmaicenia monotonnej diety, która w dużej mierze

opierała się na roślinach uprawnych takich jak kukurydza czy pszenica. Jak przypomina nam Łukasz Łuczaj, powołując się jednocześnie na postać profesora Adama Maurizia, autora niezwyklej książki *Pożywienie roślinne w rozwoju dziejowym*: „Jednym z głównych czynników, który zmniejszył zainteresowanie użytkowaniem dzikich roślin jadalnych w Europie było rozprzestrzenienie się uprawy ziemniaka jako łatwego i wydajnego źródła kalorii. Paradoksalnie to właśnie wybuch zarazy ziemniaczanej w połowie XIX w. spowodował okresowy nawrót do używania jako pokarmu takich roślin jak perz, gorczyca czy ostrożeń („oseł”), których jedzenie miało na dobre zniknąć w XX w.”. Zjawisko powrotu do ziół głodowych świadczy o tym, jak ważne w słowiańskiej diecie były rośliny dostępne w bliskiej okolicy. Co więcej, w sytuacjach granicznych stanowiły one jedyny sposób na przetrwanie, choć nierzadko powodowały również problemy zdrowotne. Złe przygotowanie i łapczywie spożywanie szkodziły również mocno, co sam głód, o czym pisał wspomniany wcześniej Adam Maurizio, nawiązując do konieczności jedzenia suchej trawy oraz otrąb podczas głodu w 1817 r.

Stosowanie dziko rosnących ziół w kuchni zależało więc od dostępności innych pokarmów, w tym roślin uprawnych. Wraz z zakończeniem okresów nieurodzaju i stopniowym wzrostem poziomu życia wiejskiego w Polsce popularność takich ziół jak kurdybanek czy lebidka malała. Rośliny użytkowe stawały się głównym składnikiem codziennych posiłków. Łatwe w hodowli i w rozpoznaniu były głównym źródłem energii, tak potrzebnej do pracy na roli oraz w gospodarstwie. Wraz z jeszcze większym rozwojem cywilizacji i stopniowym wzrostem znaczenia aglomeracji miejskich całkowicie zapomnieliśmy o roślinach, które niegdyś pozwalały nam uniknąć śmierci. Za przyczynę stopniowego odejścia od stosowania ziół podaje się często łączenie ich z doświadczeniami okresów nieurodzaju i głodu. Jak podkreślił Łukasz Łuczaj podczas swojego wystąpienia na konferencji *Dziko rośliny jadalne: zapomniany potencjał przyrody*, nieobecność roślin we współczesnych polskich daniach, a w szczególności ich liści, wynika ze skojarzeń z biedą, która stanowiła nieodłączny element polskiej wsi. Za sprawą negatywnego wydzźwięku, jaki niosły ze sobą rośliny głodowe, straciliśmy możliwość poznania i korzystania z bogatej i niezwykle cennej dla polskiej kultury tradycji stosowania ziół.

Magiczna i lecznicza moc ziół

Dziko rosnące zioła nie stanowiły jednak wyłącznie pokarmu pomagającego przetrwać okresy głodu czy lata nieurodzaju. Nie były również tylko dodatkiem urozmaicającym codzienne posiłki, składające się często z tych samych składników. Nierzadko służyły bowiem jako ma-

teriał budowlany lub surowiec do wyrobu odzieży oraz tkanin (konopie czy pokrzywa). Stanowiły również środek wspomagający walkę z różnego rodzaju dolegliwościami zdrowotnymi oraz przewlekłymi chorobami. Wierzono także, że wiele z nich posiada magiczną moc, co z kolei znajdowało odzwierciedlenie w licznych obrzędach, podczas których wykorzystywano określone zwyczajowo zioła. Publikacja *Rośliny w wierzeniach i zwyczajach ludowych. Słownik Adama Fischera* daje najlepsze świadectwo użyteczności i przywiązania nie tylko do poszczególnych roślin zielarskich, ale przede wszystkim wiary w ich działanie, zarówno zdrowotne, jak i magiczne. To z niej chociażby możemy dowiedzieć się, że brzoza – której korę w okresach głodu dodawano do chleba, *polewek* lub po prostu zjadano po upieczeniu – dostarczała mieszkańcom wsi gałązki odstraszające złe duchy oraz czarownice. Gałęzie te zapowiadały tym samym szczęście i powodzenie, dlatego tak często zdobiono nimi domy oraz kościoły. Do dziś w wielu miejscach w Polsce stanowią one element ziołowych bukietów tworzonych na dzień Matki Boskiej Zielnej. Dzisiaj brzoza słynie przede wszystkim z cennego dla zdrowia soku, zwanego *oskołą*. Od kilku lat moda na pozyskiwanie go z kory drzewa rośnie, a sam płyn zdobywa sobie coraz więcej sprzymierzeńców. Picie *oskoły* to jednak zwyczaj znany ludowi polskiemu od bardzo dawna. Jak wspomina Adam Fischer: „Przed wszystkim stosuje się ją na różne choroby dróg oddechowych. Lud w Małopolsce pije sok z pokrzywy przeciw suchotom, kaszlowi silnemu i dychawicy. W Bocheńskim brzozowe listki wiosenne gotuje się i używa do kąpieli dla chorych na gruźlicę. W Kieleckim na ból gardła piją odwar z brzeziny, która zdołała ołtarze w oktawę Bożego Ciała”.

W całe spektrum zwyczajowych znaczeń oraz wartości przypisywanych ziołom, które odnotowywał Adam Fischer, wpisywały się zresztą nie tylko działania prozdrowotne roślin oraz wierzenia magiczne im towarzyszące, ale również pisana twórczość ludowa, ich zastosowanie weterynaryjne czy lokalne nazewnictwo, dając szeroki i jakże bogaty obraz współistnienia od zależności ludu polskiego i otaczającej go roślinności. Wykorzystanie brzozy, przytoczone powyżej, ukazuje jednak w sposób wyraźny, jak silny jest związek łączący wierzenia i zwyczaj ludowe dotyczące ziół z ich zastosowaniem leczniczym. Ową korelację dostrzegamy również w innych źródłach naukowych z zakresu etnobotaniki, takich jak chociażby Polski Atlas Etnograficzny, zawierający między innymi unikatowe ankiety dotyczące zbierania oraz stosowania dziko rosnących roślin, z których część zawiera zachowane po dziś dzień zielniki. Każda z ankiet, zarówno tych dotyczących ziół, jak i innych dziedzin życia ludu wiejskiego, to wynik przeprowadzonych tuż po II wojnie światowej badań, które miały na celu zebranie oraz dokumentację wie-

dzę z zakresu kultury polskiej wsi. W efekcie owych działań badawczych prowadzonych w różnych częściach Polski powstały zielniki stanowiące dziś niepowtarzalne na skalę Europy dziedzictwo kulturowe. Opisują one bardzo szczegółowo miejsca oraz czas zbioru danego zioła, wskazują ludowe nazwy mu przypisywane, a także pokarmy, które z niego przygotowywano. Ankiety określają także sposób przechowywania roślin jadalnych oraz czy były one jadane podczas okresów głodu. Zebrane w nich informacje o użytkowaniu ziół to nie tylko wiarygodny materiał badawczo-naukowy, to również świetna lektura dla wszystkich osób, które interesują się zbieraniem ziół czy też ziołolecznictwem.

O leczniczym działaniu dziko rosnących roślin możemy dowiedzieć się również z wielu dostępnych obecnie książek pochodzących z różnych okresów XX wieku. Do najbardziej wiarygodnych z nich należą pozycje autorstwa zielarzy oraz farmaceutów zajmujących się fitoterapią naukową. Jedną z nich jest książka *Rośliny lecznicze i ich praktyczne zastosowanie* Aleksandra Ożarowskiego i Wacława Jaroniewskiego. Ogromnym autorytetem cieszy się również postać Jana Muszyńskiego, botanika, farmaceuty, oraz propagatora ziołolecznictwa. Jego autorskie książki z dziedziny historii stosowania ziół oraz farmakognozji to prawdziwe skarbnice wiedzy o roślinach leczniczych oraz substancjach czynnych w nich zawartych. Niezaprzeczalnie, wśród polskich zielarzy stosujących dawne przepisy mieszanek ziołowych największym uznaniem cieszy się spuścizna pozostawiona przez Ojca Czesława Klimuszkę oraz innego franciszkanina Grzegorza Srokę. Sporządzone przez nich receptury ziołowe, łącznie ze ściśle określonymi proporcjami poszczególnych ziół, zachowały się dzięki działalności oraz zaangażowaniu zakonów oraz zakonników zajmujących się uprawą oraz stosowaniem surowców zielarskich. Klasztor Braci Mniejszych Franciszkanów znajdujący się w Katowicach to współczesny i niezwykle trafny przykład klasztoru pielęgnującego wielowiekową tradycję fitoterapii. Tylko dzięki działalności jednostek podobnych do niego, osobom takim jak Łukasz Łuczaj, a także wyjątkowo cennym źródłom etnograficznym możemy odtworzyć zapomniane smaki ziół.

Źródła:

A. Maurizio, *Pożywienie roślinne i rolnictwo w rozwoju dziejowym*, Warszawa 1926.

A. Fischer, *Rośliny w wierzeniach i zwyczajach ludowych. Słownik Adama Fischera*, red. M. Kujawska, Ł. Łuczaj, J. Sosnowska, P. Klepacki, Wrocław 2016.

Ł. Łuczaj, *Dziko rosnące rośliny jadalne użytkowane w Polsce od połowy XIX w. do czasów współczesnych*, Etnobiologia Polska, 2011.

Ł. Łuczaj, *Dziko rosnące rośliny jadalne w ankiecie Józefa Rostańskiego z roku 1883*, Wiadomości Botaniczne 2008, nr. 52 (1/2).



MIASTO Z PORCELANY

Widoki Tarnowskich Gór na Serwisie Carnalla

Rudolph von Carnall – urzędnik i dyrektor szkoły górniczej w Tarnowskich Górach – otrzymał słynny serwis w 1844 r. od swoich uczniów, kiedy po blisko 20 latach pracy na Górnym Śląsku przeprowadził się do Zagłębia Ruhry.

Na 12 filiżankach, które stanowią komplet wraz z dzbankiem na herbatę, mlecznikiem i misą, znalazły się barwne miniatury z widokami obiektów związanych z tarnogórnym górnictwem. To budynki urzędu górniczego i szkoły górniczej, dom Carnalla, okoliczne kopalnie rud ołowiu oraz cynku,



a także związane z nimi zakłady przerobcze. Wizerunki te miały przypominać Carnallowi miejsca i osoby, z którymi był zawodowo związany. Dziś przypominają wszystkim o przodującej roli Tarnowskich Gór w procesie industrializacji regionu.

Rudolph von Carnall (1804–1874) pruski inżynier, geolog, nauczyciel oraz inicjator budowy wielu ważnych obiektów przemysłowych na Górnym Śląsku. Do Tarnowskich Gór został skierowany w 1825 r. Pracował w Królewskim Górnośląskim Urzędzie Górnictwem (Königliche Oberschlesische Bergamt), nadzorował m.in. budowę Głębokiej Sztolni Fryderyk (Tiefer Friedrichstollen) oraz założył centralną płuczkę rud kopalni Fryderyk (Friedrichsgrube). Dzięki niemu w 1839 r. odrodziła się tutejsza Górnośląska Szkoła Górnicza (Oberschlesische Bergschule), która wykształciła wielu górnośląskich urzędników kopalnianych.

W 1844 r. Carnall otrzymał awans i został przeniesiony do pracy w Bonn, a później do Berlina. W latach 1856–1861 Carnall pełnił urząd dyrektora Wyższego Urzędu Górniczego (Oberbergamt) we Wrocławiu. Był autorem wielu opracowań i map dotyczących górnictwa i geologii. W uznaniu jego zasług, jeden z minerałów – karnalit – nazwano od jego nazwiska.



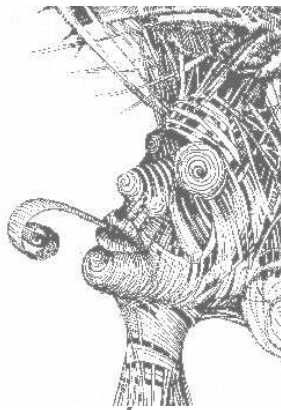
W zbiorach Muzeum w Tarnowskich Górach znajduje się opracowana przez Carnalla mapa geognostyczna (geologiczna) Tarnowskich Gór i Bytomia, wydana w 1854 r.

Po 140 latach podarowany mu serwis trafił do Niemieckiego Muzeum Górnictwa w Bochum (Deutsches Bergbau-Museum Bochum). Od końca września 2018 roku do marca 2019 roku można oglądać go w Muzeum w Tarnowskich Górach. Dziś część z nich to obiekty światowego dziedzictwa z Listy UNESCO. To pierwsza prezentacja Serwisu Carnalla w Polsce.

Wystawie towarzyszy katalog opracowany przez Sebastiana Rosenbauma: *Miasto z porcelany. Widoki Tarnowskich Gór na Serwisie Carnalla*.

Redakcja miesięcznika dziękuje Dyrekcji Muzeum w Tarnowskich Górach za udostępnienie fotografii tego cennego zabytku.





ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Szczedrzykowice – Szczodre, Jezierzany – Jeziorany

Tak się składa, że na jednym z najczęstszych moich szlaków dolnośląskich znajdują się podlegnickie *Szczedrzykowice*. Ilekroć przez nie przejeżdżam, tylekroć z rozbawieniem wyobrażam sobie takiego czy innego cudzoziemca usiłującego wymówić piekielny polski ciąg spółgłoskowy „sz – cz – drz”. Ale też nieodmiennie jako historyk języka kojarzę *Szczedrzykowice* z nazwą miejscowości *Szczodre* – niedaleko Wrocławia, w gminie Długołęka.

Obie te formy bowiem związane są znaczeniowo z przymiotnikiem *szciodry* – „hojny”, dawniej też „obfity, bogaty”, z tym że ta pierwsza z jego pierwotnym brzmieniem *szciedry* („Szczerdze dawaj”, „Wypłyńie szczerdze” – można przeczytać w Biblii królowej Zofii z roku 1455). Od niego wywodzi się imię osobowe *Szczedrzyk*, a *Szczedrzykowicy*, późniejsze *Szczedrzykowice*, to typowa nazwa miejscowa patronimiczna (odojcowska), etymologicznie znacząca tyle, co „potomkowie, ludzie Szczedrzyka”.

W języku czeskim mamy postać *sztedy*, w rosyjskim *szciedryj* (por. nazwisko *Szczedrin*), a wszystkie te formy są kontynuacją prasłowiańskiego brzmienia *szciedr*, zapewne spokrewnionego – jak informuje prof. Wiesław Boryś w swym „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 2005 – z łotewskim *skederns* „kawałek drewna, drzazga”, angielskim *scatter* „rozrzucić, rozsypać, rozproszyć”, greckim *skedannymi* „rozsypany, rozpraszam” – od praindoeuropejskiego *sked-* „rozszczać,

rozrywać”. Przymuszczalnie zatem pierwotne znaczenie „taki, który rozrywa, dzieli, rozdziela (swoją majątek)” wyewoluowało w stronę „taki, który daje, nie skąpi, wielkoduszny, hojny”.

A dlaczego prymarna postać *szciedry* zmieniła się w formę *szciodry*, związaną z nazwą miejscową *Szczodre*? – Nie po raz pierwszy musimy sobie uświadomić działanie archaicznego procesu fonetycznego, który zaszedł tylko w naszym języku i dlatego lingwiści określają go mianem przegłosu polskiego. Oto jeśli w takim czy innym wyrazie samogłoska „e” po spółgłosce miękkiej znalazła się przed którąś ze spółgłosek „t”, „d”, „s”, „z”, „n”, „r”, „l”, zmieniała się w „o” lub „a”: *żena* przekształciła się w *żonę, mied* – w *miod* (późniejszy *miód*), *cies* – w *cios*, *wiesna* – w *wiosnę, biedro* – w *biodro*, *miera* – w *miarę, les* – w *las*, *leto* – w *lato*, *kwiet* – w *kwiat*, *niewiesta* – w *niewiastę, gwiezda* – w *gwiazdę* itp. Przed spółgłoskami miękkimi jednak to pierwotne „e” zachowane jest na ogół do dziś, stąd formy *żeński, żenić się, cieśla*, nazwisko *Cieślik*, *miedjed* (dzisiejszy *niedźwiedź*), *mierzyc*, nazwa miejscowa *Rozmierz* koło Strzelec Opolskich, *biedrzny* (dziś już tylko *biodrowy*), *w lesie, leśny, leśnik, w lecie, letni, letnik, kwiecień, kwiecisty, kwietnik, niewieście, gwieździe, gwieździć się*.

Z tego właśnie powodu przed miękkim historycznie połączeniem głoskowym „drz” utrzymało się prymarne „e” w nazwie *Szczedrzykowice*, w *Szczodrem* natomiast mamy już

wtórne „o” po przegłosie polskim – takie jak w wyrazie pospolitym *szciodry*.

Koło starego śląskiego grodu *Legnicy* położone są także *Jezierzany*. I w tej postaci nazewniczej – jak w *Szczedrzykowicach* – zachowane jest przed historycznie miękkim „rz” (przypominam: dawnym miękkim „r”) pierwotne „e” – jak w *pojezierzu* (przedrostek „po” – znaczy tu tyle, co „wzdłuż”). Bo też było to prymarne prasłowiańskie *ezero*, późniejsze nasze *jezero* (czeskie *jezero*, rosyjskie *ozero*), które – zgodnie z fonetycznym prawem przegłosu polskiego – musiało się zmienić we wtórne *jeziro*, bo „e” znajdowało się po miękkim „ż”, a przed twardym „r”.

Prymarne „e” mamy również w dość popularnym nazwisku *Jeziński*, choć funkcjonuje też wariant *Jeziorski* z wtórnym „o” – takim jak w wyrazie pospolitym *jeziro*, w nazwie miejscowej i w nazwisku *Jeziro* czy w nazwie miejscowej *Jeziorany*.

A skoro w dzisiejszym odcinku parę razy pojawiła się *Legnica*, nie mogę na koniec nie wspomnieć, że po 1945 roku rywalizował z nią wariant *Lignica*, fonetycznie nawiązujący do niemieckiego substytutu nazewniczego *Liognitz* (czyt. „Lignic”). Polski rdzeń *leg* (ten sam co w wyrazie *rozległy*) jest jednak tak oczywisty i udokumentowany tak starymi zapisami (od XII wieku), że ostatecznie zwyciężyła *Legnica* – nazwa topograficzna o etymologicznym znaczeniu „rozległe, równinne pole”.



rok olimpijski

Złoty za płody

RYSZARD JASNORZEWSKI

Jedyny raz w dziejach sportu polskiego – i narodowej literatury – był to medal złoty za płody poetyckie. Zdarzyło się to Kazimierzowi Wierzyńskiemu, który zwyciężył w konkursie literatury podczas Igrzysk Olimpijskich w Amsterdamie, w 1928 roku. Ozłoco to tomik *Laur olimpijski*, uchodzący po dziś dzień za jedno z najważniejszych świadectw godzenia zwyczajów z lirycznym opisem wysiłku ciała i wyścigów atletów. Poeta wzorcowo wypełnił idealistyczną intencję Pierre'a de Coubertina, twórcy nowożytnych igrzysk, który podczas Konferencji Konsultacyjnej z przedstawicielami sztuk, literatury i sportów w Paryżu – w 1906 roku – postulował: „chodź (...) o połączenie legalnym związkiem małżeńskim dwu rozwiedzionych od dawna stron: Mięśni i Ducha”. Małżeństwo dobrze rokowało, ale trwało stanowczo za krótko. Wierzyński nic o tym nie wiedział i pisał swoje – w Skamandrytów manierze reportaży z wesela poezji i sportu.

W Amsterdamie uhonorowano Wierzyńskiego najważniejszą olimpijską nagrodą po zakończeniu maratonu, najbardziej wyczerpującego i najwyższej cenionego biegu na długich dystansach. W *Defiladzie atletów* ze złotego tomiku pisał o sercu, „co maratoński wytrzymuje bieg”, zdolne jest sprostać cierpieniom, przełamać słabości, nie poddać się, dobiec do mety. Mimowolnie, profetycznie, przeczuł własny los i tułaczę koleje serca. Tego jednak w 1928 roku nikt nie mógł wiedzieć.

W piłkę nożną grano już za pieniądze, ale tylko w dumnej i stanowiącej własne sportowe prawa Brytanii, a jedyną areną, na której rywalizowały drużyny z całego świata, był stadion olimpijski. Nie taki stadion jednak przywołuje Wierzyński w wierszu *Match footballowy*. Może to liryczne opisanie meczu rozegranego między drużynami Barcelony i Moskwy, ale tak naprawdę na „największym Colosseum świata”, na największym sportowym teatrum, nie żaden piłkarski pojedynek, a „tajemny sens wiąże i entuzjazm brata / Milion ludzi na wielkiej rozsiadłych widowni”. Jest ich wielu i zbyt wielu, jest ich przesadnie za dużo, aby pomieścić człowiecze mrowie zbudowane gdziekolwiek stadion. Może więc część kibicuje z nieba, spogląda ukradkiem zza chmur albo duchami zstąpili i niewidocznie rozmnożyli publiczność. Może raz jeszcze pragnęli być tam, gdzie rytm życia, gdzie życie samo „bije najwymowniej”.

Tak bogowie przeżywali boje śmiertelne Achajów i Trojan i często sami na stadion wbiegali, by boskim męstwem wspierać ludzkie włócznie, miecze i strzały. Dzisiaj każdy z widzów – a z ludźmi nie jeden z bogów – „Śledzi kulę świetlistą, prującą powietrze”. Ale ze wszystkich na stadion zwołanych, jeden tylko, strażnik świątyni, bramkarz, godny jest, aby lot kuli powstrzymać, to on ją „Trzyma w oczach i więzi, a gdy kula spada, / Jak pająk się nad dziuplą rozcapierza”, / Jak krzak wystrzela w niebo, człowiek – barykada”.

Barykada ludzka, mit i bohater. Tylko jeden tak kulę łapie i z nią wygrywa. El Di-

vino – Boski – święty, najświętszy, Hiszpan Ricardo Zamora Martínez. Jak słusznie zauważył Wierzyński, który nazwisko piłkarza pisał jako „Zamorra”, nie bramkarz, lecz „dumny król”. I to taki, który nie tylko panuje, ale uwodzi, rozkochuje w sobie, jest obiektem westchnień – w swoim obcisłym swetrze wydaje się być „Piękniejszy niż Don Juan”.

Od bramkarza oczekuje się więcej – bramkarz oczekuje więcej od siebie. Vladimir Nabokov wyznał, że „miał bziaka na punkcie grania na bramce”. W zawodniku strzegącym bramki widział herosa: „Jest samotnym orłem, enigmatyczną postacią, ostatnim obrońcą”. Ostatni obrońca jest istotą najmniej ruchliwą na boisku – więcej niż inni skoncentrowaną na sobie. Samo sformułowanie „gra na bramce” nie tylko określa miejsce przydzielone do gry, ale jest także synonimem sztuki – gra na bramce bywa czymś bliskim grze na fortepianie, skrzypcach lub wiolonczeli. Wirtuoz skupia się na sobie, na swojej szczególnej roli, jest gwiazdą w zespole. To jemu wszyscy biją brawo, a niekiedy wręcz: „Trybuny tracą oddech, cały stadion kona”. Zdobywa aplauz łatwo, lekko, obdarzono go – jak każde bóstwo – nadprzyrodzoną siłą: „Za Atlantyk wybija piłkę jednym ciosem!”.

Ale to nie jest cała prawda o losie bramkarza. Widzimy w nim wirtuoza, toreadora, akrobatę i kaskadera, ale równocześnie zwierzyńcę łowną, na którą zawzięcie polują zawodnicy przeciwnej drużyny. Dziewięćdziesiąt minut meczu, który można przegrać lub wygrać, to figura czasu zamkniętego, skończonego, wyczerpującego wszystkie możliwości – czasu popisu lub klęski. Istotą gry w piłkę będzie zawsze zdobywanie bramek i pokonywanie bramkarza. Mecz bez bramek uznaje się za nudny – bo życie bez żadnych zdobyczy także jest nudne.

Jonathan Wilson, autor książki o bramkarzu jako outsiderze, pisał, że strażnik bramki był „kozłem ofiarnym, pozostającym zawsze pod ręką, gdy reszta drużyny potrzebowała zrzucić na kogoś winę”. Kozioł ofiarny może być bierny, może bez protestu pogodzić się z rolą w widowisku – może jednak mediować między porządkiem a chaosem, może funkcjonować

na granicy, z całym przekonaniem uczestnicząc w rytuale, a jednocześnie nie ulegając mu i nad nim górując. Zamora w wierszu Wierzyńskiego jest piękny i wspaniały, a gdy podnosi obronioną piłkę na wysokość ramion, zda się publice, że to nie piłka, a monstrancja – „Widownia oszalała, krzyczy, bije brawo, / Półkole trybun płonie niczym aureola”. Podnosi piłkę na wysokość ramion, jest zwycięski, boski i samotny. Gra mecz życia, gra przeciwko światu: „Tętni okrzyk stadionu: gola, gola, gola!”.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

MATCH FOOTBALLOWY

Oto tu jest największe Colosseum świata,
Tu serce żądz i życia bije najwymowniej,
Tu tajemny sens wiąże i entuzjazm brata
Milion ludzi na wielkiej rozsiadłych widowni.

Zamorra wsparty w bramce o szczyt Pirenejów,
Piękniejszy niż Don Juan, obcisnięty w swetrze,
Jak dumny król, w chaosie center i wolejów,
Śledzi kulę świetlistą, prującą powietrze.

Z Uralu w bój posłaną, jak z lufy moździerza,
Trzyma w oczach i więzi, a gdy kula spada,
Jak pająk się nad dziuplą bramki rozcapierza,
Jak krzak wystrzela w niebo, człowiek – barykada.

Pocisk skacze kozłami od miasta do miasta,
Z jednej strony jest Moskwa, z drugiej Barcelona,
Już steruje ku siatce, już spod stóp wyrasta,
Trybuny tracą oddech, cały stadion kona.

I pokażcie mi teraz – gdzie, w jakich teatrach
Milion widzów wystrzeli takim wielkim głosem:
Zamorra, lecąc w górę, jak żagiel na wiatrach,
Za Atlantyk wybija piłkę jednym ciosem!

Widownia oszalała, krzyczy, bije brawo,
Półkole trybun płonie niczym aureola,
I jak wielka tęsknota za zwycięską sławą
Tętni okrzyk stadionu: gola, gola, gola!



Obchody stulecia niepodległości u-tonęły wręcz w potokach dźwięków. Koncerty wielkie, średnie i małe, spektakle, audycje, składanki, dla wybranych, dla rodzin, dla wszystkich... Szedł za tym jednoznaczny przekaz: jesteśmy narodem kochającym muzykę. Przez ubiegłe sto lat chroniliśmy troskliwie muzyczne dziedzictwo narodowe, daliśmy mu oparcie w postaci ludzkiego potencjału i prężnych instytucji. Bogactwo propozycji i świetny poziom realizacji tegorocznych rocznicowych imprez muzycznych kuszą do podsumowań i porównań. Jak daleko posunęliśmy się na przykład w stosunku do stanu z listopada 1918 roku? Moment odzyskania niepodległości także obrodził w koncerty, jakże jednak było wtedy biednie w branży muzycznej... Zerknijmy na to, co działo się w Warszawie. Gazety z 10 listopada podały, iż nazajutrz w operze zostanie wykonana *Żydówka* Halèvy'ego. Załoga operowa dowodzona przez Janinę Korolewicz-Waydową stanęła jednak na wysokości zadania, dając w pamiętnym dniu 11 listopada narodową relikwię – *Halkę*. Następnego dnia dyrektorka zrezygnowała z prowadzenia operowego interesu, przewidując trafnie nadchodzącą materialną katastrofę. Operę przejął magistrat. Z trudem łatany budżet i fale strajków pracowników stały się codziennością instytucji. W ciągu kolejnych dwóch lat wycofano z repertuaru prawie wszystkie opery polskie, wprowadzone na scenę w okresie dyrekcji Korolewicz-Waydowej. Frekwencję ratowano włoską klasyką i operami Czajkowskiego. Impas przełamała dopiero premiera baletu *Pan Twardowski* Różyckiego (maj 1921). Utwór ten z powodzeniem zastąpił *Halkę* i inne opery Moniuszki w roli reprezentatywnego dzieła narodowego. W tym okresie pracował już w Warszawie Emil Młynarski. Po powrocie z Rosji objął aż trzy posady: szefa artystycznego opery, filharmonii oraz dyrektora konserwatorium. Z dwóch ostatnich szybko zrezygnował, pozostawiając sobie operę. Z początku kierowana przez niego placówka udzielała się intensywnie w organizacji oficjalnych spektakli uświetniających rozmaite obchody patriotyczne: rocznice powstań narodowych, ustanowienie konstytucji, odzyskanie dostępu do morza, czy też imieniny Naczelnika Państwa. Entu-

Między nutami



MAGDALENA DZIADEK

100 lat muzyki polskiej

zjazm organizatorów owych świąt szybko się jednak wyczerpał – od połowy 1921 roku zaczęto stopniowo wycofywać się z uroczystych spektakli, gdyż polityczne elity, do których były adresowane, poczuły się zmęczone muzyką. Poza tym opera musiała zacząć na siebie zarabiać, a to oznaczało potrzebę przyciągnięcia zwykłej publiczności. Liczono na polską inteligencję, lecz cóż – ogromna bieda dotycząca tę warstwę uniemożliwiła jej udział w biletowanych imprezach. Na widowni operowej, podobnie jak w filharmonii, zasiedli wzbogaceni po wojnie „paskarze”, zaś inteligentką biedotę zapraszano do sali konserwatorium na tanie bądź darmowe koncerty finansowane przez magistrat. Tak zaczęła się opieka państwa nad muzyką w Polsce, równoznaczna z opieką nad muzyką polską, gdyż programy koncertów inteligentkich zwykle wypełniały utwory swojskiego pióra. Utworzone zaraz po wojnie Ministerjum Sztuki i Kultury – jedno z dwóch takich mini-

sterstw, które istniały wówczas w Europie (drugie było we Francji) wystąpiło z kilku innymi inicjatywami mającymi na celu promowanie muzyki narodowej. Wysunięto m.in. projekt koncertów dla ludu wiejskiego, próbowano umuzykalniać żołnierzy, wchodzono z koncertami do szkół. W tle tych akcji narastał nacisk zawodowych muzyków na władze. Grupa ta, dość liczna, gdyż uzupełniona po wojnie przez rzeszę przybyszów z Rosji, miała bardzo ograniczone możliwości zarobkowania. Muzycy orkiestrowi dorabiali w kinach, garstka szczęśliwców pracowała na etatach w prywatnych szkołach muzycznych oraz w konserwatorium, które od 1916 roku było instytucją miejską. W 1919 roku rozpoczęto starania o upaństwowienie placówki, z myślą o prawnym zabezpieczeniu warunków pracy profesorów oraz emerytur, trwało to jednak dobre kilka lat. Od szarej codzienności odstawał los wybrańców – wirtuozów, którzy wyjeżdżali z koncertami za granicę. Władze kulturalne dość szybko uregulowały warunki owych wyjazdów. Zagraniczną „propagandę artystyczną” mianowano ważnym czynnikiem urabiania opinii o Polsce w świecie i nie żałowano na nią pieniędzy. Pomoc stypendialną oferowano także młodym muzykom, którzy chcieli się kształcić za granicą. Nie najgorzej wiodło się tuż po wojnie polskim kompozytorom – to oni przecież byli dostarczycielami dziedzictwa narodowego. Rola ta jednym odpowiadała bardziej, innym mniej. Już we wczesnych latach 20. Zainicjowano dyskusję nad programem rozwoju muzyki polskiej. Jedni – jak Ludomir Różycki – optowali za obowiązkowym unarodowieniem twórczości i udzieleniem takiej jej postaci uprzywilejowanego, czy wręcz wyłącznego stanowiska w krajowej kulturze muzycznej, drudzy – jak Karol Szymanowski, byli za wpisaniem się w nurt europejski oraz za absolutną wolnością twórczą. Zwyciężyła druga opcja – tuż przed przewrotem majowym opiniotwórcza krytyka sformułowała po raz pierwszy zasady wolnego rynku sztuki muzycznej. To właśnie te zasady – kilkakrotnie odwoływane – przesądziły o spektakularnym rozkwicie polskiej kultury muzycznej w następnych dekadach.

Między ciszą a hałasem

Zmartwychwstanie Polski i bożonarodzeniowe świętowanie

 MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Przed stu laty nasi przodkowie po raz pierwszy świętowali, od owego tragicznego 1795 roku, okres przepięknych religijnych świąt grudniowych; czyli refleksyjnego, pełnego zadumy Adwentu, i tajemniczej, mistycznej Wigilii, oraz czasu bożonarodzeniowego – już w wolnym kraju. Ale tak było tylko na części ziem polskich; bowiem upragniona wolność nie ogarnęła jeszcze całości Polski, w tym przecież i naszej ziemi – owej „najstarszej oderwy od Korony”. I właśnie wtedy niezawodny Wernyhora Śląski, Wawrzyniec Hajda wieścił, że już niedługo „Polska Zmartwychwstanie wspólnie ze Śląskiem”. Ale myślał tylko o jego części wschodniej. Nie przeżywali tego szczęścia wolności także mieszkańcy choćby kresów wschodnich. Także w owym okresie dziadek polskiego poety Juliusza Aładowicza – rodem z Rudnika na Litwie – wieścił iż „Polska niedługo przyjdzie za sprawą Matki Boskiej Ostrobramskiej do Wilna”. Obaj mieli rację. Polska nastała bowiem w 1922 roku, i tu na Górnym Śląsku, i tam na Wileńszczyźnie. Szkoda tylko że owego niezwykłego nastroju ówczesnych lat nie odnotowano szerzej w polskiej nauce; w historii, etnologii, czy antropologii. Refleksje na ten temat są nader ubogie. Zauważmy też, że przez owe zasygnalizowane sto lat polskie świętowanie czasu narodzin Jezusa, upatrywanego w maleństwie leżącym w żłobku pod tradycyjną choinką czy podłaźniczką obchodziliśmy nader różnie. Nie z tego powodu, że zmieniała się diametralnie kultura religijna, wiara czy pobożność, nasza kultura, system wartości, czy ludowe wierzenia, obrzędy, zwyczaje. A dalej przykładowo folklor, a więc podania opowieści czy pieśniczki. Zarazem jednak przecież kołędy i zwyczajowe kantyczki śpiewały ustawicznie to samo; wyrażały wyraziście sens wiary, system aksjologiczny, wyjaśniały istotę systemu zachowań. Zmiany następowały z innego powodu, bo przecież historia uparcie przynosiła nam – jak to niegdyś mówiono – „wiele klęsk i katastrof”. Przywołajmy więc – ku refleksji, a nie przypomnieniu – że po latach trwania II Rzeczypospolitej nastąpił czas nocy i dramatu obu okupacji, okrutna gehenna narodu, a potem schyłek wojny, powojenna zmiana polskich granic, i exodus wypędzonych z kresów. No i później czas nowej „ludowej” Polski, dramatyczna sowietyzacja, i dalsze specyficzne zniewolenie, niszczenie polskiej tradycji i kultury, także religii. Lecz był też czas polskich zrywów. Ustawicznych, bo w 1956 roku, w 1968 roku, w 1970 roku, i w 1976 roku. Potem nastał czas „Solidarności”. I nim nastała wolność – ta w 1989 roku – był

jeszcze czas stanu wojennego, który wywołał wiele spustoszeń; w naszych umysłach i sercach. Pomyślmy zatem. Ile w owym okresie 100 lat od Zmartwychwstania Polski w 1918 roku było lat spokojnych, kiedy to świętowanie mogło być tylko świętowaniem? Świętowaniem bez odczuwania traumy, bez obaw, bez potrzeby namysłu, bez buntu, bez odczuwania tego, że tworzymy tylko wspólnotę religijną, duchową, prawdziwie rodzinną. Ale przecież wielokrotnie to dawne świętowanie było nasycone czymś więcej. Bo i treściami społecznymi, politycznymi, ideologicznymi czy patriotycznymi. W efekcie stół świąteczny był nie tylko zwykłym meblem. Zawsze łączył tych, którzy przy nim zasiedli. I to niezależnie od potencjalnych odmienności poglądów, przeżyć, emocji. Obowiązywał przy nim konwenans tylko prawdziwej zgody i życzliwości; poszanowania, przezywania sacrum. Obowiązywał szacunek do starszych. Oni byli wszakże depozytariuszami pamięci, nosicielami tego, jak było drzewiej, ale i wskazań dla terażniejszości. A to było nader ważne. Bo tradycja była otaczana szacunkiem; jak i pamięć. Wszak i Marszałek powiedział: „Naród, który traci pamięć przestaje być Narodem – staje się jedynie zbiorem ludzi, czasowo zajmujących dane terytorium”. Był też stół przestrzenią szczególnej mediacji uczestników biesiady, ale i mediacji żyjących ze zmarłymi; wreszcie swoistej mediacji z wspomnianymi tradycją i pamięcią. Czymże jest zatem dziś ów

stół świąteczny? Czy jest nadal stołem świątecznym, przy którym zasiada się z pobudek religijnych, czy owa wartość ma nadal dla nas wszystkich istotne znaczenie? Na pewno już to dawne podłoże nie jest dla wszystkich ważne. Przecież dziś żyjemy w świecie różnych konkurencyjnych systemów wartości, prądów intelektualnych, ale i zmieniających pozornie atrakcyjnych – bo modnych – orientacji poznawczych. Coraz silniejsza jest też laicyzacja, czy świeckość obleczone w modne nie zawsze zasadne nurty poznawcze negujące wszelkie formy duchowości. W efekcie żyjemy nie tak jak chcemy, lecz jak potrafimy. W efekcie stół wigilijny i okresu bożonarodzeniowego jest coraz częściej stołem, który zatracą dawne cechy religijnego świętowania. Ci którzy przy nim zasiadają coraz częściej stanowią jedynie wspólnotę biesiadną, tyle i aż tyle. Wartości religijne ulegają zatraceniu, ale nie oszukujmy się, że także te rodzinne, i szerzej humanistyczne. Stół staje się bowiem często przestrzenią konfrontacji, niesnasek, nawet kłótni. A młodzi w tym nie uczestniczą bo wolą rozwiązania alternatywne, choćby więc „świąteczny” wyjazd w polskie góry, czy ciepłe piaski Afryki. Może więc dziś najgroźniejszy jest nihilizm, co nie jest tylko rodzimą przypadłością. Może zatem mają rację ci, którzy mówią, że przed tą zmurą może tylko uchronić współdziałanie „sił” sacrum i profanum.



Profesor Paweł Majerski

MARIAN KISIEL

Dorobek Pawła Majerskiego imponuje swoim rozmiarem i rozmachem. Badacz od ćwierćwiecza bierze czynnie udział w dyskusjach naukowych i krytycznoliterackich. Jest autorem sześciu książek własnych, redaktorem naukowym blisko trzydziestu zbiorów szkiców, słowników i antologii, kilkudziesięciu ważniejszych rozpraw i studiów historycznoliterackich, a także ponad stu drobniejszych rzeczy krytycznych (szkiców, przeglądów, recenzji, na not). Już to proste wyliczenie pokazuje nie tylko ambicje poznawcze badacza, ale i jego wybitną pracowitość. Ale to nie wszystko. Redaguje serię *Górny Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie: Historia – Kultura – Codziennosc* (dotąd ukazały się 3 tomy), a jako kierownik Pracowni Życia Literackiego na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim, działającej w Instytucie Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego w latach 2003-2013, intensywnie współdziałał w organizowaniu sesji o literaturze i kulturze Górnego Śląska (10 edycji) i Zagłębia Dąbrowskiego (10 edycji). Z tych konferencji ukazały się ważne nie tylko środowiskowo publikacje sumujące. Naukowe zainteresowania Pawła Majerskiego sytuują się zatem – zasadniczo – na trzech literaturoznawczych obszarach. Są to: 1. tradycja i kontynuacje poezji awangardowej XX wieku, 2. literatura na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim w XX wieku, 3. najnowsza poezja polska. Na każdym z tych pól uczony wyraźnie zaznaczył swoją obecność. Wszystkie książki poświęcił dziedzictwu awangardowemu w polskiej poezji, prawie wszystkie prace redakcyjne – regionalistyczne, refleksję nad najnowszą poezją polską zawarł w zbiorze *Lektury w czasie* (2018) i w rozproszonym urobku krytycznoliterackim.

Debiutem naukowym Pawła Majerskiego była monografia *Jerzy Jankowski* (1994), która wcześniej została obroniona jako teza magisterska. Była to pierwsza w polskim piśmiennictwie naukowym osobna praca na temat Jana Chrzciciela polskiego futurysty. Młody badacz w bardzo sumiennym historycznoliterackim wykładzie pokazał drogę Jankowskiego od symbolizmu do futurysty,

a jednocześnie znakomicie zinterpretował jego wiersze. Warto zaznaczyć, że książka ta do dzisiaj pozostaje jedynym – tak gruntownym – kompendium wiedzy o Jankowskim.

Majerski przeszedł niespiesznie przez utwory autora *Battlesongu*, przeczytał uważnie tekst po tekście, zadał pytania, na które odpowiedzi szukał nie tylko u poety, ale także w całym uniwersum literatury przełomu awangardowego. Skoro Jankowski jest poetą **przejściowym**, w tym znaczeniu, że wyrastając z Młodej Polski antycypuje nową jakość estetyczną, Majerski zapytał o **model przejścia** jednej fazy literatury w fazę inną. Tylko w taki sposób można ujawnić to, co konwencjonalne i co nowatorskie w propozycji „tragicznego zwiastuna” polskiego futurysty. Krytyk napisał: „Sformułujmy tezę, która przy [...] oznakach ewidentnie paseistycznej poetyki może wydawać się kontrowersyjną: już w *Złotyach trosach*, których najwcześniejsze wiersze pochodzą z roku 1906, Jerzy Jankowski wypowiada walkę symbolistycznej konwencji, próbując dokonać dekonstrukcji i degradacji młodopolskiego symbolu. W tych wczesnych utworach poeta prezentuje bowiem »prefuturystyczną« świadomość przynależności słowa do »empirycznie pojmowanego świata« oraz niechęć do konwencjonalnych znaków, powielanych przez poezję schyłku XX stulecia”.

Twórczość Jankowskiego Majerski rozpatruje w kilku wymiarach. Wychodzi najpierw od zastrzeżeń natury formalnej, które sobie tutaj darujemy, bo dotyczą one dalszego planu monografii. Dalej kreśli wizerunek artystyczny poety na tle jego życia, co o tyle jest warte pochwały, gdyż o Jankowskim wiemy wciąż bardzo mało. Krytyk dokładnie omawia strategię działania literackiego autora *Tramu w popszek ulicy*, która – począwszy od almanachu *Żórawce* (1910) – mieściła się w ramach świadomego zamierzonego buntarstwa, skandalu, prowokacji legendotwórczych. W trzech częściach zbioru, powiada badacz, a więc w *Rytmach miasta*, *Złotyach trosach* oraz *Skrutach prozy*, zbiegają się trzy ważne dla fu-

turystycznej poetyki elementy: miasto – poezja – gazeta.

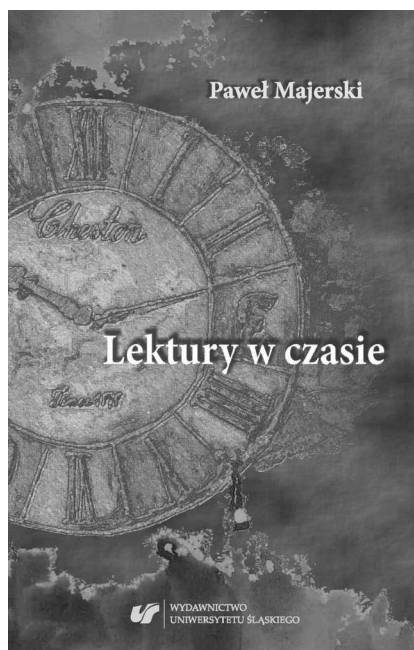
Majerski przekonująco dowodzi, że wczesna twórczość futurystyczna w Polsce (a jej synonimem jest właśnie Jerzy Jankowski) rozwijała się „w punkcie przecięcia dokonań Włochów i Rosjan”, głównie jednak odpowiadała na wezwania Marinettiego. Utwory Jankowskiego – czytamy w książce – „przyswajały polskiej poezji tematykę i problematykę związaną z najnowszymi osiągnięciami technicznymi, przestającymi pełnić rolę przypadkowych rekwizytów. Publicystyka oraz późna liryka Jankowskiego niosły ładunek semantyczny dużej mocy i zapowiadały futurystyczną »erupcję« początku lat dwudziestych. Pierwiastki nowej sztuki wchodziły tu jednak w obręb konstrukcji opartej na elementach minionego okresu, które nie chciały poddać się formalno-semantycznym przekształceniom. Dlatego w przypadku *Tramu w popszek ulicy* widać szczególnie wyraźnie współzawodniczące ze sobą konwencje, a właściwie – określając zagadnienie precyzyjnie – zderzenie konwencji symbolistycznej z kodem nowej estetyki”.

Problemowi „symbolistycznej auto-destrukcji” poświęcony jest świetny rozdział trzeci, w którym autor zasadnie twierdzi, że *Złote trosy* – mieszcząc się w aktywistycznym nurcie modernistycznego symbolizmu – równocześnie go dekonstruuje, przybliżając poezji nowy kod estetyczny. Ale najciekawszy wydaje się rozdział czwarty o *Skrutach prozy*, gdzie Paweł Majerski pokazuje zmieszanie różnych pokładów wypowiedzi w celu zbudowania nowej jakości. Felietony Jankowskiego, bo o nich mowa (choć badacz twierdzi, że są to formy pośrednie między felietonem i esejem), są zarówno utworami parafabularnymi jak również dosyć szczególnymi komentarzami do aktualnej sytuacji społecznej i politycznej, moralnej i mentalnej. Autor monografii ukazuje zabiegi jakie czynił Jankowski, aby pozbawić swoje teksty stygmatu dorażności, pisze o ich retoryczności i żywiole fikcjonalnym obecnym w ich strukturze. W konkluzji stwierdza: „Obecność zbioru felietonów w po-

etyckim tomie wyrażać miała futurystyczne przekonanie o zmianie statusu współczesnej sztuki. Miasto wypowiedało się przeciw językiem artykułów prasowych, dostarczało materiału dziennikarskim komunikatom o wydarzeniach politycznych, kronice wypadków, »gorącym« reportażom. Dzieła literackie miały zbliżyć się do ideału prasowej notatki – zwięzłej, schematycznej, realizującej postulat »łatwego czytania«. Na marginesie dodajmy, że podobny cel przyświecał później Peiperowi, zwłaszcza w tak radykalnym poemacie jak *Kronika dnia*, nie mówiąc już o poetach codzienności z lat trzydziestych, np. Marianie Czuchnowskim.

Książka o Jankowskim wprowadzała Pawła Majerskiego w krąg badaczy szeroko rozumianej Awangardy. W tym samym czasie, tj. około roku 1995, młody uczony koncentrował się na poznawaniu i opisie tradycji wczesnej awangardy. Doktorat – obroniony w roku 1999 – poświęcił poezji Anatola Sterna, jednego z najważniejszych polskich futurystów, choć dzisiaj o pozycji już nieco osłabionej. Książka *Anarchia i formuły. Problemy twórczości poetyckiej Anatola Sterna* (2001), będąca pokłosiem doktoratu, pokazuje Sterna jako „obywatela modernistycznej Utopii”, wiernego awangardowemu posłannictwu, wierzącego w możliwości przebudowy świata dla dobra wspólnego. Badacz napisał: „Pisarz, który uczestniczył w jednej z najbarwniejszych przygód polskiej awangardy, współtwórca i propagator idei nowej sztuki, oddany mitowi radykalnego eksperymentu oraz permanentnego nowatorstwa, równocześnie jest owego mitu konsekwentnym kreatorem... Tak można by, pragnąc pokusić się o syntetyzujące uogólnienie, określić postać i postawę twórczą Anatola Sterna”.

Warto docenić tę monografię po latach. Anatol Stern, jeden z nielicznych twórców futurystycznych mających krytyczną edycję swoich wierszy, może być wciąż inspiracją dla badaczy literatury XX wieku. Paweł Majerski zobaczył go w kilku wymiarach: 1. językowym i genologicznym (w kontekście eksperymentów w obrębie wiersza rytmizowanego i wolnego), 2. egzotycznym i biologicznym (świetnie to zostało pokazane jako reguła futurystycznej metodologii poetyckiej), 3. rozdarcia światopoglądowego i manifestacji ideowej, 4. zwrotu na lewo, 5. stereotypizacji przedstawień, 6. próbie odnowienia znaczeń futurystycznych po 1956 roku, a wreszcie 7. ukazania „poetyki redukcji” Sterna w kontekście szerszej rozumianej problematyki eschatologicznej. „Oto więc Anatol Stern – czytamy w monografii – godny honorowego tytułu obywatel modernistycznej Utopii, do końca przekonany o awangardowym posłannictwie, piszący wciąż z nadzieją na przebudowę świata. Zmierzył modernistycznej formacji, do której należał, przepłatającej katastroficzne obrazy (przezuwane i doznawane) z optymistyczną wizją konstrukcji



i re-konstrukcji, jest końcem burzliwej epoki. Barwnej i tragicznej zarazem”.

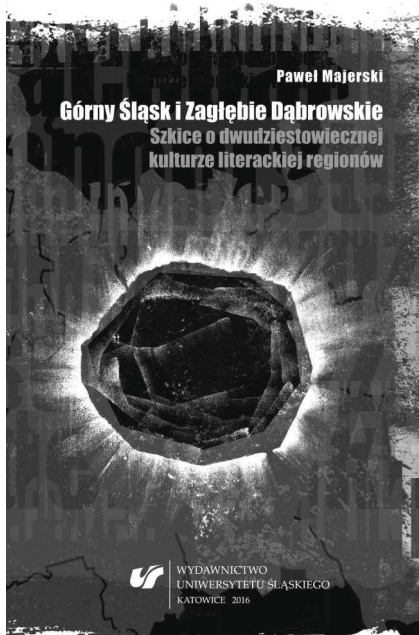
Monografia o Sternie została napisana krystalicznie czystym językiem strukturalistycznej historii literatury. Autor obficie zaczerpnął ze źródeł, w poszukiwaniu twórcy *Biegu do biegun* przewertował wszystkie dostępne czasopisma, książki krytyczne i wspomnieniowe, ale ten cały trud miał potwierdzić jedno: że poetę da się zobaczyć jako rewelatora formy poetyckiej, nieuchronnie także gubiącego się w poszukiwaniu nowych sensów. Być może najważniejszą konstatacją tej świetnej, błyskotliwej i precyzyjnie wykonanej książki jest smutek, że można trudzić się po to, by ostatecznie sobie zaprzeczyć. Anatol Stern, poeta wojujący, ale także gotowy do kompromisu, pozostaje wciąż twórcą usytuowanym „pomiędzy”. Jest nowatorski i konwencjonalny, rewolucyjny i zachowawczy. Gubi się w antynomiach.

Równoległe z monografią o poezji Sterna, Paweł Majerski opublikował zbiór studiów i szkiców o doświadczeniach i dziedzictwie polskiej awangardy literackiej. *Odmiany Awangardy* (2001) zawierają osiem szkiców, w których, poniekąd retrospektywnie, uwaga koncentruje się na linii nowatorstwa, więc konstruowania niespotykanej dotąd wersji poezji. Od Jankowskiego przez Sterna (w poezji), przez Jasińskiego i Brzękowskiego (w prozie), przez polemiki o kształt poezji nowoczesnej (Stern vs Słonimski, Kontekst vs Nowa Fala; neofuturyzm w obiegu alternatywnym lat 1990.), wreszcie na Różewiczu kończąc, badacz pyta o sens i formę poetyckiej rewolty. Pyta dlatego, że dostrzega *iunctim* między poetyckim powołaniem a takąż koniecznością. Jeżeli awangarda jest (zawsze, a nie tylko w przeszłości) sprzeciwem wobec naśladownictwa, a hołdem złożonym tworzeniu, to spięcie, polemika i unieważnienie stają się gestem uwyrażenia egzystencjalnej potrzeby zmiany. Poczynając od jej optymistycz-

nej wersji (Jankowski), kończąc zaś na jej wersji pesymistycznej (Różewicz), poprzez wszystkie stadia pośrednie, awangarda odnajduje swój sens w buncie wobec przeszłości. Jedenasta teza o Feuerbachu Karola Marksa staje się więc dla awangardy (różnych awangard) artystyczną dyrektywą: nie chodzi tylko o interpretowanie świata, chodzi także o jego zmianę. Albowiem awangardyzm, jeśli dobrze czytam Majerskiego, jest konsekwentną próbą wyznaczania dróg na przyszłość. Te drogi mogą być kręte, mogą nie prowadzić do celu, lecz zawsze dają nadzieję, że powiodą gdzieś dalej. Dalej, więc lepiej. Dalej, choć niekoniecznie łatwiej.

Być może jest to także – ogólny – sens studium Pawła Majerskiego *Hybrydy. O „młodej poezji” z lat sześćdziesiątych* (2011). Badacz zechciał przywrócić w niej należną rangę twórczości „pokolenia wyklętego”. Właściwie nie wiadomo, dlaczego stało się tak, jak się stało. Orientacja Poetycka „Hybrydy” nie była jakoś szczególnie serwilistyczna wobec polityki kulturalnej PRL. W każdym razie nie na tyle, iżby ją dezawuować w stylu, jaki przetrwał do naszych czasów. „Tak, Hybrydy zostały skutecznie zmarginalizowane, a dowodem rzeczywiście stał się brak cząstkowych realizacji badawczych, analiz i interpretacji (wyjątkiem pozostaje twórczość Edwarda Stachury, w mniejszym stopniu Ryszarda Milczewskiego-Bruno)”. Autor zatem postanowił spojrzeć na dorobek poetów „z lat sześćdziesiątych”, „kręgu Orientacji” w dwóch niejako wymiarach: 1. w kontekście artykułowanej poetycko i krytycznie świadomości zbiorowej, programu kolektywnego (jeżeli on w ogóle istniał), 2. w perspektywie poezji samej, zawartego w niej doświadczenia egzystencjalnego i estetycznego. Wymiar pierwszy ma charakter ogólny, inny wszakże od tego, do jakiego się przyzwyczailiśmy w recepcji krytycznej; wymiar drugi koncentruje się na pojedynczych wierszach (czasami programach poetyckich).

Część pierwsza monografii jest próbą spojrzenia na Orientację poza kontekstem istniejących już wariantów programowych. Najpierw zatem jest spojrzeniem na rodowód awangardowy Hybrydzian (a jest on niezaprzeczalny), następnie na cztery zasadnicze programy pokoleniowe („kreacjonizmu” i „trzeciego człowieka” Krzysztofa Gąsiorowskiego, „formulizmu” Andrzeja K. Waśkiewicza, „poezji wzoru” Janusza Żernickiego i „egzystencjalnej dialogiczności” Mieczysława Kucnera), potem na to, co zawsze będzie punktem sporu: na zaangażowanie generacyjne (a w tle zawsze pojawi się zarzut politycznego serwilizmu), a na końcu na dyskusję (dzisiaj wiadać, że ideologicznie sterowaną) między Nową Falą a Hybrydami. Na wszystkich tych obszarach badacz ujawnia swoją kompetencję historycznoliteracką. Nie ulega żadnym podstępom skołowanego umysłu, że bunt nowofalowy jest ważnej-



szy od insideryzmu Orientacji, nie przyjmuje też obiegowej opinii o wyższości nowofalowego etyzmu nad estetyzmem Orientacji. W ujęciu Pawła Majerskiego kwestie te wzajemnie się przenikają, a etykietowanie Orientacji przez Nową Falę wzięło się z odmiennego stosunku do przedmiotu estetycznego. Debiutanci z początku siódmej dekady stawiali na poetykę przedstawień, debiutanci z końca dekady chcieli zobaczyć świat z perspektywy całości kultury. Porozumienia taktycznym być zatem nie mogło, jakkolwiek i jednym, i drugim chodziło o przywrócenie – jak zauważył Tadeusz Nyczek – „sztuki do życia”.

W drugiej części monografii Paweł Majerski pokazuje to w interpretacjach wierszy wybitnych przedstawicieli generacji Orientacji. Sięga zatem do wierszy Janusza Żernickiego, Zbigniewa Jerzyny, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Wojciecha Kawińskiego, Andrzeja K. Waśkiewicza, Edwarda Stachury i Stanisława Dróżdza. Wybór jest tutaj jednocześnie kanonizowaniem. Z legionu poetów badacz wybrał tych najwybitniejszych, ustalił hierarchię, pokazał najważniejsze poetyki kręgu Orientacji. Wielką zaletą interpretacji Pawła Majerskiego jest ich historycznoliteracki charakter. Każda z nich jest głęboko osadzona w nie tylko recepcji krytycznej, ale także w porządku drogi pisarskiej i na tle generacyjnym. Żaden z czytanych wierszy poetów kręgu Orientacji nie stanowi dla badacza tajemnicy. A przecież są one odmiennie nie tylko od strony poetyki indywidualnej, ale także – gatunkowej, stylistycznej, problemowej. Wirtuozeria odczytań Pawła Majerskiego polega na tym, że odnajduje w tych utworach to, co stanowi o ich osobniczym pięknie, sile ekspresji poetyckiej, urodzie języka i głębi artystycznego przesłania. Czytając pojedyncze wiersze, badacz rozpoznaje wszakże konkretne poetyki całościowo, jakby w zgodzie z przekonaniem Peipera, że „zawsze poznajemy przedmiot całością-

mi, primo; całościami coraz bardziej szczegółowymi, secundo”. Błyskotliwość interpretatora łączy się więc nierozdzielnie z erudycją historyka literatury. Bez tej drugiej właściwości, pierwszej by nie było.

O czym piszą poeci z lat sześćdziesiątych? Zdaniem badacza, zawsze chodzi o kwestie tożsamości. U Janusza Żernickiego będą to „ucieczki” od egzystencji („nie przeżywać życia, lecz przedumierać”); u Zbigniewa Jerzyny świat będzie widziany w ujęciach onirycznych, ale także poprzez pamięć i liryczne konwencje („między dychotomią »namacalności« i »sprawdzalności« świata”); u Krzysztofa Gąsiorowskiego podmiot będzie zawsze doświadczał historii i zderzał ją z „kosmosem wewnętrznym”; u Wojciecha Kawińskiego mierzenie się z własną sztuką będzie znakiem poszukiwania tej prawdziwej twarzy; u Andrzeja K. Waśkiewicza rozrachunki egzystencjalne chyba najmocniej będą związane z doświadczeniem rozsyпки świata; drogę ku śmierci jako znak wybawienia ujrzymy u Edwarda Stachury; Stanisław Dróżdź objawi się jako poeta „konkretu”, gdzie znak ma swoją „egzystencję”. Tak dotąd nikt nie przeczytał poetów z Orientacji, Paweł Majerski jest pierwszym w naszym piśmiennictwie krytyczno-historycznoliterackim badaczem, który zaproponował tak spójną koncepcję poezji generacyjnej, gdzie pojedyncze poetyki wzmacniają zbiorową świadomość urodzonych na przełomie czwartej i piątej dekady.

Badania regionalistyczne Paweł Majerski przedstawił w zbiorze *Górny Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie. Szkice o dwudziestowiecznej kulturze literackiej regionów* (2016). Książka została przygotowana na ówczesny debiut krytyczno-naukowy i gromadzi szkice, które wiążą ich autora z miejscem serdecznym, małą ojczyzną. Jednocześnie, jak pisze badacz, książka ta jest „zaproszeniem do debaty o perspektywach regionalistyki, strategiach badań, instytucjonalnej systematyzacji naukowych planów. Po prostu o potrzebach, możliwościach i konsekwencji w rozsądnym myśleniu o regionie”. Niemalże rówieśnik Majerskiego – Krzysztof Uniłowski napisał kiedyś w swoim zbiorze *Skądinąd* (1998) takie zdania: „dom, zamiast miejscem bycia, zawsze będzie miejscem pobytu, miejscem, które nawiedzamy, Nigdy nie jesteśmy (w tym lub w każdym innym miejscu), lecz zawsze przychodzimy (skądinąd). A »korzeń« (czykolwiek by był: tradycją, genealogią, kulturą) pozwala nam jedynie o tym zapomnieć”. Majerski na takie stanowisko by nie przystał: okazjonalność nie jest sensem istnienia. Dlatego, mając świadomość wybiórczości postawy interpretacyjnej, pisząc o literaturze regionu (ludziach i dziełach), zanotował: „skierowałem uwagę na poetykę tekstu, także [na] to, w jakiej mierze obecność w regionie (a przecież biografie prezentowanych twórców są świadectwem albo zakorzenieniem, obec-



ności »totalnej«, albo obecności chwilowej, »niepełnej«) wpływa na wyraz lokalnego patriotyzmu, tudzież gesty obywateli świata poszukujących swojego miejsca”. W zbiorze znalazły się szkice poświęcone – w porządku historycznoliterackim – Lechowi Piwovarowi, Stanisławowi Wygodzkiemu i Waławowi Stacherskiemu, a także – w porządku krytycznym – niektórym poetom debiutującym po 1956 (Stanisław Krawczyk, Grzegorz Słobodnik) i 1989 roku (w tym: następcy grupy „Na Dziko”). Są również w zbiorze szkice o Janie Pierzchale, ruchu wydawniczym i krytycznoliterackim w III RP, a także noty okolicznościowe. Owo regionalistyczne *mixtum compositum* dobrze świadczy o zbiorze. Przypomnijmy więc raz jeszcze, że tytuł jest powtórzeniem serii *Górny Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie: Historia – Kultura – Codziennosc*, którą Paweł Majerski redagował i przerwał. Może swoją książką chciał ów „gest przerwania” jakoś usprawiedliwić?

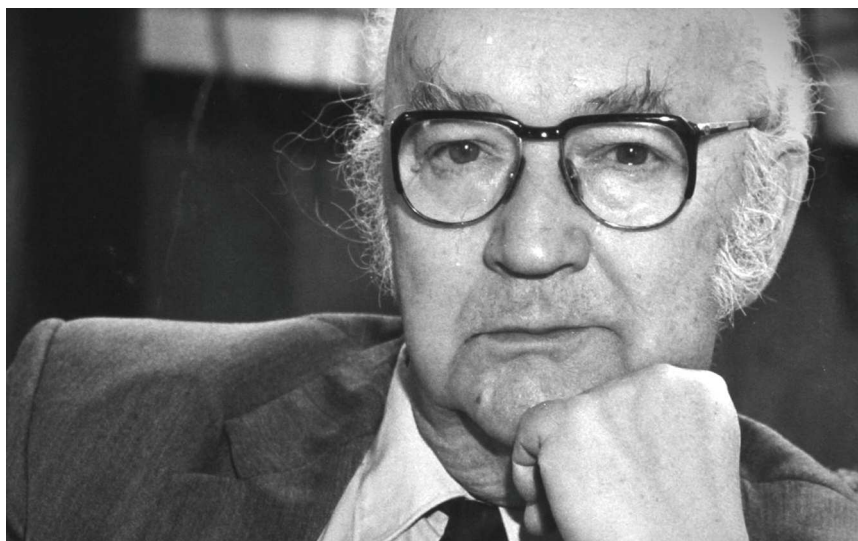
Ostatnią książką uczonego są *Lektury w czasie* – wybór jego recenzji i przeglądów krytycznych przygotowanych na pięćdziesięciolecie urodzin. Będziemy o tej książce pisać na łamach „Śląska”. Tutaj zaznaczymy tylko, że również w bogatej działalności krytycznoliterackiej – różnorodnej: analitycznej i syntetycznej – ujawniła się jego wielka osobowość. Recenzje są właściwie nie tyle literackie, ile naukowe, ponieważ za każdym wypowiedzianym sądem ukryty jest przypis do innego artykułu, innej recenzji czy książki. Erudycyjność tych małych fragmentów jest właśnie taka – nieujawniana, aby „lektura” nie stała się zbyt ciężka w odbiorze, a potencjalny jej czytelnik nie czuł się przytłoczony nadmiarem odniesień – tyleż pomagających, co przeszkadzających w „lekturze” właśnie.



Hałda będąca świadkiem trudnego utrwania człowieka, obserwująca w ciszy i skupieniu jego zmagania z niesprawiedliwością egzystencji i historii, na jakie został skazany, odgrywa jedną z najważniejszych ról w wydanym w 1938 roku epicko-lirycznym poemacie *Hanys*. Tadeusz Kłak, poddając szczegółowej analizie ten utwór, pisał: „Szewczyk skupił swoją uwagę nie tyle na pracy górnika, co na jego ludzkim losie, na walce o własną egzystencję. Hanys chce pracować, ale – wskutek kalectwa – musi opuścić kopalnię i pozostaje bezrobotnym. Jest ofiarą wypadku i jednocześnie – ofiarą gospodarczego kryzysu, jaki wówczas jeszcze przeżywał Śląsk. Pozostawiony bez środków do życia – próbuje zarabiać wydobywaniem węgla w biedaszybie, ale i to zostało przez władze udaremnione. Gdy zawodzą próby utrzymania się na powierzchni życia, Hanys ratuje się dramatyczną ucieczką: najpierw w obłąd, a następnie w śmierć”. Podobnie Zdzisław Hierowski nie przeszedł obojętnie obok debiutu Szewczyka. Spoglądając nieco z innej perspektywy, zanotował: „*Hanys* jest poematem pracy. Tu praca jest jedyną, najistotniejszą treścią życia, ona wypełnia myśli i serce, od niej zależy wszystko dobre i złe. Hanys walczył o wolność i Polskę, ale nie walczył o korzyści materialne w perspektywie zwycięstwa i nie dyskutował swych zasług. Gdy spadło na niego inwalidztwo i bezrobocie, walczy nie tyle o chleb, co o pracę, która daje przede wszystkim człowiekowi miejsce na ziemi, czyni życie jego elementem składowym wielkiej, powszechnej całości, czyni go potrzebnym, a tym samym daje mu podstawy egzystencji, utrwala jego byt. Dla Hanysa jest praca pierwszą wartością, którą pragnie zdobyć, i ona dopiero rodzi wartości dalsze, materialne”.

Hałdy jako częsty motyw przywoływany w *Hanysie* nie stanowią tylko elementów pejzażu, na których tle są przedstawione losy konkretnej jednostki, ale zostają w sposób bezpośredni i czynny zaangażowane w rozgrywaną się w poemacie wydarzenia, uwieńczone tragedią. Śląski krajobraz towarzyszący człowiekowi w jego istnieniu nie staje się też dla niego arkadyjską przystanią, w której mógłby się schronić, nie przynosi mu pomimo mozołów pracy upragnionej ulgi i wytchnienia. Przeciwnie – w dniu, w którym tytułowy Hanys nie wraca z kopalni, a jego żona zamiast cieszyć się razem z nim narodzeniem dziecka, przepełniona jest tylko lękiem o los męża: „Pełno [...] jest słońca w zielonych łąkach drzew, / [...] / Ciepło żenie ulicą. Od hałd bucha żar. Błady jedwab powietrza w dłoniach wnet zaszuszczy [...]”. Nasłoneczniony, wypełniony spiekotą krajobraz najbliższej okolicy odzwierciedla panują-

O poemacie Wilhelma Szewczyka



Hanys i hałda

KATARZYNA NIESPOREK

ca w tym samym czasie wysoką temperaturę w kopalni – „na dole” – gdzie doszło do wypadku z udziałem Hanysa, jak również ukazuje gorącą atmosferę, jaka w tym dramatycznym momencie zapanała w rezultacie zaistniałych okoliczności w jego domu. Obraz hałd, z których akurat w tym dniu gwałtowniej niż zwykle wydobywa się na całą osadę dym, potęguje ludzki niepokój, zwiastuje nieszczęście. W tym kontekście hałdy, będące w jedności zarówno z kopalnią, jak i z człowiekiem, stają się pierwszym przekazicielem złych wieści. Dym, który się z nich wydobywa jest znakiem ich solidarności z niełatwym losem mieszkańców osady. „Buchający żar” nade wszystko stanowi jednak uporczywą, toksyczną substancję, która nie tylko zanieczyszcza powietrze, lecz także dodaje dniowi uciążliwego skwaru.

Po tym obrazie poeta, zastosowawszy parentezę, odbiera głos narratorowi poematu i przekazuje go sobie. Przerzywa na moment akcję utworu. Jako ten, który sam ma górniczy rodowód, wtrąca się, współczując swoim bohaterom i utożsamiając się z nimi. Zaklina opisany w *Hanysie* pejzaż: „(spalcie się moje hałdy, spal się świecie, spal, / niech się na pola słońce pożarem opuści. / Tyle nędzy w domach i tyle obłądu, / co palce nam zakrzywia i zaciska

pięści – – / – – kiedy w słońcu nam twarze jak liście powiędną, / relikwie ich popiołów przyniosą nam szczęście)”. Autor *Posągów*, zwracając się w apostrofie do hałd i świata jako przestrzeni, namawia je do samozniszczenia przez spalenie – hałdy od tłączonego się w nich żaru, świat pod wpływem ciepła od doskwierającego wszystkim słońca. Powodem jego apelu jest obserwowany wokół trudny los człowieka oraz otaczające go zewsząd ludzka bieda i cierpienie. Takie realia w bezradnej jednostce wzmagają tylko złość i wzburzenie, doprowadzając ją do krańcowości. Ale hałdy, chociaż są symbolem doskwierającej rzeczywistości, określił Szewczyk zaimkiem „moje”. Pomimo że nieustannie przypominają o trudzie pracy, niedostatku, ubóstwie, pozostają nadal tym, co podtrzymuje przy życiu, co podmiotowe i prywatne – bliskie. Są znakiem tożsamości, ikoną małej ojczyzny zarówno poety, jak i bohatera poematu.

Po opisie dramatycznej sceny, w której z kopalnianej windy wychodzi jako jeden z ostatnich odnaleziony Hanys, wlokący „nogę za sobą z chrzęstem jak wielki łańcuch”, Szewczyk napisał: „Daleko rosna myśli. Bliskość przeraża, straszy, / Świat jest nam taki mały, kończy się już za hałdą”. Zwał wyznacza granice istnienia bohaterów po-

ematu. Poza ciasnym obszarem ze zwalami w tle nie ma dla nich innego światła. Autor *Ptaka z węgla* wskazywał: „Wszystkie dane, zawarte w poemacie, świadczą, iż zdarzenia usytuowane zostały nie w wielkoprzemysłowym pejzażu, lecz w niewielkiej osadzie górniczej, otoczonej zewsząd krajobrazem jeszcze naturalnym”. Najbliższa okolica zamyka się więc w przestrzeni, w której znajdują się tylko śląskie wzgórza i skrawki ziemi wokół nich. Tu toczy się życie. I chociaż terytorialnie to niewielki obszar, nie zapewnia on jego mieszkańcom poczucia bezpieczeństwa. Wspólnota bowiem zawiązuje się wskutek biedy, a nie dzięki ludzkim więzom. Tylko takie doświadczenie bliskości jest znane bohaterom poematu. Łączą ich praca w kopalni i nędza. Dlatego – jak napisał Szewczyk – ta „bliskość przeraża, straszy”. Mieszkańcy osady do takich realiów mimo wszystko przyzwyczaili się i nie ludzą się już zmianą swojego położenia. Autor *Nocy* skomentował: „Wschody-zachody. Życie. Czy tak trudno patrzeć / Na zakopcone hałdy, na dyszące szczyby?”. Krajobraz w dymie, choć doskwierający, stał się nieodłączną częścią codzienności bohaterów poematu. Mieszkańcy osady wrośli weń. Gdyby został im odebrany, mimo wszelkich trudności, jakich im przysparza, nie mogliby bez niego normalnie funkcjonować.

Wypadek w kopalni z udziałem Hanysa, mimo że kończy się dla niego szczęśliwie, pociąga za sobą kolejne pasmo niepowodzeń. Na skutek kontuzji nogi zostaje orzeczoną jego niezdolność do dalszej pracy: „Nie odjęli mu nogi. Nosi ją czule z sobą. / Nie wzięli go do pracy; został emerytem. / Dwadzieścia cztery złote – więcej mu dać nie mogą”. Szewczyk, po tym krótkim opisie kolejnego dramatu Hanysa, powtórnie udziela sobie głosu. W wypowiedzi wtrąconej w nawias, wyłączonej z toku narracyjnego, jako ten, który bardzo dobrze zna śląskie realia, dopowiada z ironią: „(Myśli, że po co więcej, wszak astry zakwitły, / starczy dwadzieścia złotych, astrów całe naręcza, / astrów całe naręcza, zerwane gdzieś z tronów. / Czasem o świecie w astrach Bóg na hałdach kłęczy, / czasem nabrzmiewa nimi gwarna pąc zagonów... / więc po co myśleć ciągle, że źle, że jest trudno, / w nocy na pewno lkały w astrach białe anioły; / astry w rannej ucieczce zmierzniały, schudły, / gdy słońce wyszło drobne jak z aptecznego słoja)”. Wielokrotnie powracające w tej wypowiedzi kwitnące astry zostały przedstawione jako te, które mają stanowić źródło dochodu, utrzymania rodziny Hanysa. Występują one w dwóch znaczeniach – odmiany ziemniaków: „nabrzmiewa nimi gwarna pąc zagonów”,

„w rannej ucieczce zmierzniały, schudły”, oraz dzikich kwiatów, których nasiona rozsiane przez wiatr zakwitają w różnych miejscach. Pierwsze cieszą człowieka, stając się w biedzie jego jedynym pożywieniem; drugie mają zachwycać pięknem, ożywiając przestrzeń. Stają się również ozdobą hałdy. W ich otoczeniu objawia się Bóg i płaczące niebiańskie istoty – „białe anioły”. Hałda kształtem i wysokością pozwala im z góry spoglądać na ludzki los. Absolut przyjmuje postawę kłęzącą, jakby chciał pochylić się w ten sposób nad ludzką biedą i ubóstwem. Sama hałda staje się natomiast miejscem epifanii, które przemienia ją z nieużytecznego zwału w ziemię – *sacrum*. Astry zostały umieszczone na przeciwległych biegunach: z jednej strony okalają to, co święte, z drugiej – służą człowiekowi w walce o byt i zaspokajają jego głód. Pokazują jak dalekie jest święte od tego, co ziemskie, jak daleko – pomimo współczucia – jest Bóg od człowieka.

Wilhelm Szewczyk w swoim poemacie porusza także tematy społeczno-patriotyczne. Tadeusz Klak zwracał uwagę: „Wypowiedzi narratora, komentujące sens wydarzeń, próbowały szukać też rozwiązania dramatycznego splotu rzeczywistości, w tym miejscu sprawy jednostki zyskiwały wymiar społeczny, a zagadnienia śląskie stawały się problemami narodowymi. Tragiczność losu Hanysa pogłębia bowiem to, iż był on uczestnikiem wszystkich powstań śląskich. Wielkość nadziei i oczekiwań zderzyła się wkrótce z brutalną realnością”.

Autor *Posągów*, opisując niewłaściwe postępowanie władzy względem Hanysa, wyrzucając nielojalność i niesprawiedliwość państwa wobec jego dramatycznego losu, ponownie wraca do opisu postawy, jaką w czasie mobilizacji przyjmują Ślązacy. Podkreśla ich oddanie i wytrwałość w walce o wspólne sprawy: „Wierni Tobie jesteśmy, nas wiatry nie złamią, / ale o nas nie wolno, Polsko, zapominać. W nas tkwią ziarna zwycięstwa, Słuchaj, dumna Warszawo! / Co dzień hałdą zwątpienia rośnie w niebo Śląsk: / tak daleko jest Polska, szkoda patrzeć na prawo, / nie nam Polską jak gruszą w czas owocu trząść!”. Tragedia Hanysa pozwoliła dostrzec, że Śląsk nadal jest traktowany jako przestrzeń peryferyjna, mało znacząca dla centrum. Szewczyk czyni Polskę adresatywnym „ty” swojej wypowiedzi. W emocjonalnych frazach przestrzega ją przed niepamięcią o śląskiej społeczności i o każdym Ślązaku, który walczył o wolność kraju. Bolesław Lubosz wskazywał: „Główny bohater prowadzi ustawiczny dialog nie tylko ze swoim rozczarowaniem, ze swoją przegraną sprawą, ale również z racjami wyższego rzędu,

jak patriotyzm, wolność, niepodległość, jak lojalność wobec ludzkich pryncypiów”. Dramat, który dotyczy Hanysa, nie sprowadza się bowiem tylko do jego dramatu. Bohater poematu jest tu postacią jedynie symboliczną, „jego los ma charakter przykładowy, może on być każdym, jednostka pojawia się tutaj zamiast i w imię całości” – wyjaśniał Tadeusz Klak. Szewczyk, obserwując egzystencję Ślązaków odzwierciedlającą życie Hanysa, wypowiada wreszcie znamienne słowa: „Co dzień hałdą zwątpienia rośnie w niebo Śląsk”. Coraz wyżej usypywany przez górników nieużyteczny zwał staje się tutaj symbolem ich mozolnej pracy. Hałda powstaje w trudach i spiekocie codzienności. Jej wzrastanie nie idzie jednak w parze z polepszaniem się ludzkiego bytu. Człowiek, pracując, zmagając się z samym sobą, często przestaje wierzyć w sens własnego działania. W tym kontekście zwał staje się pomnikiem ludzkiego zwątpienia. Usypywany jednak coraz wyżej w jedność pracujących w kopalni i prowadzących egzystencję pod hałdą, staje się świadectwem siły i potęgi Śląska i Ślązaków. Są oni przykładem dla Polski, jak pomimo trudnego trwania tworzyć wspólnotę działających we wspólnym interesie, pielęgnować pragnienia skierowane w tę samą stronę. Wspólnie usypiana hałda jest świadectwem i pomnikiem tej wspólnoty.

Hanys jako człowiek pracy z krwi i kości początkowo, pomimo doznanej krzywdy, nie poddaje się. Działając na własną rękę, postanawia poszukać szczęścia gdzie indziej. Nadziei na lepszy byt upatruje w miejscu położonym nieco dalej od kopalni: „Za hałdami – dalekość. Daleko odpływ pól. / Stamtąd przyleć jako wiosną pierwsze, śmigłe ptaki”. Przestrzeń „za hałdami” to dla bohaterów poematu jak dotąd przestrzeń nieznaną. Ich życie bowiem zamykało się głównie w granicach ściśle wyznaczonych przez śląskie wzgórza. Miejsce wykraczające poza punkt odniesienia mieszkańców osady było mityzowane – ukazywane jako obszar oddalony od kopalni i nieużytecznych zwałów; jako rzeczywistość lepszego trwania, w której azyl znajdują zarówno ludzie, jak i zwierzęta. Dominowało też przekonanie, że życie po każdej ze stron usypanego zwału jest inne. Hałda pełni funkcję tej, która oddziela różne światy; która pozwala na złudzenia o istnieniu szczęśliwego życia; która wreszcie przynosi nadzieję, tak jak Hanysowi. Osobisty dramat – bieda, nędza, bezrobocie – dają mu szansę na poznanie tego, co dotąd przysłańiała hałda, zweryfikowanie jego wcześniejszych wyobrażeń o nieznanym: „Za hałdą brak tchu polom. W popłochu. Szary kurz. / Za hałdą można rąbać, węgiel jest

całkiem blisko. [...] // Za hałdą pełno ludzi. Wózki, dzweczyny, dzieci. / Hanys samotnie kopie. Pięć, siedem metrów – szyb – – / – Odnalazł – znowu – węgiel, odnalazł znowu życie, / błogosławiona praca i robotniczy chleb!”. Okazuje się, że rzeczywistość po drugiej stronie hałdy niewiele różni się od tej, która od lat jest bliska Hanysowi. Jedyne, co odnajduje tu innego, to intensywniej toczące się życie oraz zastępujące mu kopalnię miejsce pracy, które najpierw sam dla siebie musiał przygotować. Ale powrót pod ziemię oraz pierwszy po długiej przerwie odnaleziony węgiel przywracają mu zapomniane radość i siłę do dalszej egzystencji. Ewa Bartos interpretowała: „Hałda, miejsce oparów i zabijającego smrodu, daje Hanysowi chwilowy zarobek. Czynność wydobywania węgla spaja człowieka z przyrodą, sprawiając, że byłby górnik, dumny hałdziarz staje się częścią większego mechanizmu. Czuje, że sam jest ziemią i w nią wrasta”. Hanys doświadcza dobroczynności hałdy. Otwiera się ona na odrzuconego przez wszystkich człowieka, przyjmuje go i staje się nie tylko jego miejscem schronienia i karmicielką. Nie chcąc narazić bohatera utworu na kłopoty, swoimi kształtami zasłania nielegalnie wykopany dziki szyb, stanowi ochronę mienia.

Radość Hanysa nie trwa jednak długo. Wkrótce „dół”, który pozwalał mu utrzymać rodzinę („nie dał im Bóg za wiele, lecz nie dał też za mało”), uległ zniszczeniu wskutek wysadzenia dynamitem ziemi znajdującej się wokół hałdy. Kolejny dramat bohatera poematu zapowiadał już prezentujący się nie tak, jak zwykle, pejzaż, który objawił się oczom Hanysa i jego rodziny, zanim wyszedł do pracy „za hałdy”: „Patrz: niebo coraz niższe, jak balon, na konary / dzień się gramoli z przykop, hałdy dziś jak wydmy, / szybom dziś nie czas szumieć, patrz: dech im zaparło”. Fragment ten przypomina obraz zawarty w *Nowej pieśni o Śląsku* Wilhelma Szewczyka, w której poeta przewidywał „Niebo hałdami spłynie na drogę”. W *Hanysie* „niebo [jest – K. N.] coraz niższe”. Charakterystyczne dla poezji Szewczyka obniżające się sklepienie zwiastuje katastrofę. Ponadto rzeczywistość za dnia jest przedstawiona w mroku: „dzień się gramoli z przykop”. Hałdy zostały natomiast porównane do wym. Przedstawiają się tak, kiedy władzę nad nimi przejmują silny wiatr. Wówczas osadzone na nich pył i ziemia, poruszane wichurą, przypominają drobinki piasku. Z dalszej części poematu dowiadujemy się również o śnieżycy, która w dniu wypełniającego się nieszczęścia ogarnęła otaczający śląską osadę pejzaż: „Do kolan pełno zimna. Śnieg chlustami walił. / Z basem po sieniach chodził wiatr – zi-

mowy pieśniarz”. Kiedy Hanys wyszedł z domu do pracy w biedaszybie w towarzystwie rozpościerającego się wokół niespokojnego krajobrazu, próbując zrozumieć panujący wokół niepokój, postanowił wspinać się na jeden z nieużytecznych zwałów: „Na hałdach – grom. / Na hałdach nie było wcale ciszy – / – nie może przewiać ciszą, gdzie się opuszcza grom. / Hanys chciał być dziś blisko, samego Boga, bliżej, / więc się po czworonóg śniegiem na wyład hałdy wspiał”. Hanys na hałdzie poszukuje zaspokojenia swych pragnień – ciszy oraz bliskości Boga. Nie odnajduje ani jednego, ani drugiego. Z pątnicznym trudem – w śniegu i po czworakach (po kolanach) – próbuje dostać się na zwał jak na wzgórze święte. Wspinając się w górę, ku niebu, ma przekonanie o odczuwanej obecności Absolutu na hałdzie. Ale im wyżej ziemi się znajduje, tym bardziej, zgodnie z prawem natury, nasila się wiatr i wydawany przezeń szelest. Dostęp do tego, co święte, staje się coraz bardziej utrudniony. Na hałdzie potęguje się niesprzyjająca aura. Autor *Nocy* warunki tu panujące kumuluje w jednym słowie – „grom”. Z jednej strony odzwierciedla on nieprzewidywalność pogody, która swoje apogeum osiąga na hałdzie; z drugiej – jest metonimią głosu rozgniewanego Boga. Grom (grzmot, piorun) stanowi wówczas ostrzeżenie, zapomnienie człowieka. Ale hałda dla wspinającego się na nią Hanysa staje się także punktem widokowym, z którego można dostrzec jego biedaszyb. Kiedy kieruje swój wzrok w dół, dowiaduje się o kolejnym nieszczęściu: „Pod nim – zabrakło – pola – – – / Pod nim – zabrakło – szybów – – – –”. Okazuje się, że jedyne źródło dobrobytu Hanysa uległo zniszczeniu. Poeta, zaznaczając pauzami stosowne dla tej sytuacji napięcie, odzwierciedla w utworze ogromny wymiar tragedii bohatera. Hanys, uświadamiając sobie dramat własnej egzystencji, myśląc o naznaczonym cierpieniem losie, traci przytomność i spada z hałdy: „Hanys na ludzi opadł jak flak przeżegnany. Osłabł. / [...] / Hanys się ciągnął w śniegu, padał w ramiona wyrw, / nad nimi chodzili ludzie, szukali słów utraconych. / Czasem jest dobrze w śniegu, zwłaszcza gdy w ustach krew; / o! śniegi, o! szybiska, wyszarpane zagony!... / Długo przeleżał w śniegu. Nad nim huczała cisza”. Ruch, jaki wykonuje Hanys – z dołu do góry i odwrotnie – ma także charakter symboliczny. Bohater, wspinając się w stronę nieba, zmierza ku temu, co sakralne, co może przynieść mu upragnione wytchnienie i odpoczynek. Sam moment zderzenia bohatera z ziemią zostaje poprzedzony doświadczeniem lotu w powietrzu. Hałda jest tą, która lot umożliwia, która po-

zwala Hanysowi na chwilowe doznanie wolności. Upadek stanowi natomiast powrót do *profanum*, będącym właściwym i jedynym przeznaczeniem Hanysa, od którego uciec nie może. Jego ciało odrywa się od ziemi (powierzchni hałdy), by do ziemi powrócić. Rządzi tu zasada, na którą zwracał uwagę Gaston Bachelard w *Wyobraźni poetyckiej*: „Wszystko, co się wznosi, budzi się ku bytowi, ma udział w bycie. Odwrotnie zaś, wszystko, co opada, rozplywa się jak czece cienie, ma udział w nicości”. Wraz z runięciem bohatera poematu w dół zawałiła się również cała otaczająca go rzeczywistość. Podobna sytuacja, z nieco innym finałem, powtórzy się pod koniec utworu. Bohater, nie widząc już dla siebie żadnego ratunku, wspina się na komin kopalni, zastępując nim hałdę. Ewa Bartos pisała: „Mężczyzna, wspinając się na komin, paradoksalnie zbliża się coraz bardziej ku ziemi. Spadając z komina, powraca do właściwej mu przestrzeni. To ziemia przypisana jest egzystencji człowieka, a Boga Hanys może ujrzeć tylko podczas szaleńczej wspinaczki w górę. Człowiek powstały z ziemi, musi do niej powrócić”.

Odmienny stan umysłu pozwala Hanysowi spoglądać na świat z zupełnie innej perspektywy. Towarzyszący mu obłęd sprawia, że w chwili wspinaczki kumulują się w nim wszystkie możliwe siły: „Dopiero on – Zwycięski, on – Wielki on – Hanys, / podniesie w rękach szyby, co nigdy nie runą – / zasieje zbożem hałdy śnieżyste, zawiąne, / na jego słowa serca jak wici zapłona”. Hanys, odchodząc od zmysłów, podąża w górę, jakby chciał zostać wybawicielem świata, w który wrósł. Trwając w obłędzie, pragnie odwrócić dotychczasowy bieg wydarzeń, przywrócić do świetności to, co uległo zniszczeniu, uczynić wszystko trwałym i nieśmiertelnym. W swojej wizji znalazł ratunek dla ludzkiego losu naznaczonego ubóstwem, nędzą, głodem. Kopalniane hałdy nadal mają pozostać w niej głównymi żywicielkami człowieka. Hanys przedstawia jednak ich odrealniony obraz. Chciałby, aby nie były one tylko nieużytecznymi zwałami, „kupą kamieni pustych”, których szczyty są miejscem jedynie dla wiatru i zalegającego śniegu. W wyobrażeniu Hanysa mają być przede wszystkim ziemią przeznaczoną pod uprawę zbóż, stającą się dobrodziejstwem człowieka. To marzenie zarówno bohatera poematu, jak i zapewne samego poety. Razem z tymi pragnieniami: „Runął Hanys – w ziemię – wilijny grom”.

Fragment większej całości

Thad Rutkowski Pan Tadeusz

tłumaczył z angielskiego

HENRYK CIERNIAK

Tego ranka odwoził mnie do szkoły mój ojciec, ponieważ nie zdążyłem na autobus. Nie zdążyłem, ponieważ ojciec ze mną rozmawiał.

– Jest mi obojętne, czy ty chodzisz do szkoły – mówił ojciec, trzymając ręce na kierownicy.

– Nie chcę, żebyś się przyjaźnił z amerykańskimi dziećmi. Kiedy ja chodziłem do szkoły, nie miałem kolegów. Dlatego mówili na mnie *The Brain*.

– Ja mówię: do diabła z tym ich systemem edukacyjnym – kontynuował. – Ty będziesz się uczył tego, co muszą wiedzieć uczniowie w Polsce. Będziesz czytał poemat epicki Adama Mickiewicza *Pan Tadeusz*. Rozpoczniesz, ucząc się na pamięć sto linijek. Potem mi je wyrecytujesz.

Gdy jechaliśmy, chłodne powietrze przedostawało się do środka w miejscach składających przez wąty dach kabrioletu. Ranki przynosiły zimne powietrze do tej części Appalachów.

– Czy ty wiesz kto to był Mickiewicz? Mickey był poetą i bohaterem! Pomniki Mickiewicza są w całej Polsce!

Spojrzałem na wskaźnik zużycia paliwa. Jego igła usiadła już niemal w pozycji: „Pusty.” – Czy nie czas już zatankować? – zapytałem.

– Nie przerywaj mi! – odpowiedział mi ojciec. – Będziesz uczył się o Litwie – kraju, który utraciliśmy – i zamieszkujących go rodzinach szlacheckich. Od razu nabierzesz lepszych manier, bylebyś tylko nie załapał po drodze czegoś niedobrego od innych.

*

Kiedy opowiedziałem mojej matce o zadaniu, jakie wyznaczył mi mój ojciec, odrzekła: – To są polskie metody. Ja się w ogóle na tym nie znam. Ja mam swoje własne metody, stosowane przez Chińczyków. Ale jeśli chcesz być częścią tej rodziny, musisz robić to, co robią Polacy.

– A ty? – zapytałem. – Musiałas się dostosować?

– Ja nauczyłam się gotować jak Polka, od mojej teściowej. Kiedy poznałam twojego ojca – tutaj, w szkole średniej – powiedział, że tylko pod takim warunkiem mogę wejść do jego rodziny.

*

Zacząłem czytać *Pana Tadeusza*. Poemat miał postać niewielkiej książki w twardej oprawie w czerwonym kolorze. Nie umiałem pojąć, dlaczego pewien obieżyświat o imieniu Thaddeus przybył na farmę, że przed oczami mignęła mu postać kobiety o łabędziej szyi i spożywał posiłki z mieszkańcami owego majątku. Ci ludzie wiele czasu spędzali polując na zające i zwożąc żyto z pola.

Odłożyłem na bok książkę, założyłem na nogi buciory i udałem się w odwiedziny do przyjaciela, który był Amiszem. Parę mil jechałem rowerem, dalej poszedłem piechotą na przełaj przez pola. Na otwartej przestrzeni zostałem zauważony przez byka. Ten ruszył od razu do ataku na mnie, poprzedzając go głośnym ryknięciem. Zwierzę miało spiłowane rogi, ale ich brak – wydawało się – tylko wzmógł jego wściekłość. Kiedy jeszcze bardziej zbliżył się do mnie, byk zaczął kopać w ziemię kopytami przednich kończyn. Z jego nozdrzy cisnęły się na zewnątrz obłoki skroplonej pary.

Przeskoczyłem przez płot i dobiegłem do domu. Zastukałem na boczne drzwi, zaglądając jednocześnie do pogrążonego w mroku wnętrza. Widziałem psa śpiącego na wyścielanym krześle i kobietę w chuście na głowie, siedzącą obok żeliwnego pieca.

W drzwiach pojawił się mój przyjaciel.

– Chciałbym pójść nad twój staw – powiedziałem.

– Przejdę się z tobą – odpowiedział.

I tak we dwójkę powędrowaliśmy przez pola aż znaleźliśmy się przy wgłębieniu w ziemi wypełnionym wodą. – Staw już prawie całkiem wysechł – tłumaczył mi kolega – ale twój ojciec przyniósł taką rurę odpływową, żeby to naprawić.

Popatrzyłem na wodę i zobaczyłem na końcu stawu grubą, metalową rurę, która zbierała wodę, która uciekła na zewnątrz, do grobli.

– Wsadziliśmy tę rurę do ziemi – mówił dalej – i woda się podniosła, ale większość ryb i tak wyzdychała.

Z oddali widoczna była stodoła rodziny Amiszów. Wyglądała na porządnie zbudowaną i była świeżo pomalowana. – Paradnie wygląda ta wasza stodoła – powiedziałem.

– Stara się spaliła, ktoś podłożył ogień – odparł kolega.

– Kto to zrobił?

– To się stało podczas naszego snu. Widzieliśmy odjeżdżającą ciężarówkę, ale nie potrafiliśmy zobaczyć jej numerów rejestracyjnych. Nasza to była czwarta stodoła, która spaliła się tutaj w dolinie.

– Dlaczego to zrobili?

– Lubią patrzeć jak coś się pali.

W drodze powrotnej znad stawu przyjaciel zaprowadził mnie do kurnika. – Czy widziałeś kiedyś zielone jajko? – zapytał mnie.

Nacisnął na klamkę rozchwierutanych drzwi i pociągnął mnie do środka. Przed sobą na podłodze zobaczyłem coś, co swoim kształtem przypominało ptaka, leżało



na grzbiecie, z rozłożonymi skrzydłami, zwróconymi końcami ku górze. – Czy to jest zdechłe kurczę? – zapytałem.

– Tak.

– Dlaczego ono jest na podłodze?

– Nikt jeszcze go nie uprzytnął.

Rozejrzałem się wokół po małym pomieszczeniu, gdzie było gorąco, chcąc zobaczyć zielone jajka.

– Wiesz – zaczął mój przyjaciel – czasem myślę o odejściu od wiary. Chciałbym mieć auto zamiast konia, a może i telefon. Chciałbym zapalić papierosa.

*

Tamtej nocy zwróciłem uwagę na to, że moja matka nie podała do stołu polskiego jedzenia. Zamiast tego uraczyła nas kombinacją ryżu i pekińskiej kapusty. Użyliśmy do zjedzenia tego posiłku – ja, mój brat i siostra – amerykańskich przyborów kuchennych. Ojca nie było; domyśliłem się, że siedział w pobliskim barze.

Potem złapałem za parę chińskich pałeczek i uczyłem się od matki, jak się nimi posługiwać. Ale mój brat i siostra nie poszli za moim przykładem.

*

Kiedy ponownie znaleźliśmy się razem w samochodzie, ojciec zabrał się do sprawdzania mojej znajomości *Pana Tadeusza*.

– Co oznacza ten tytuł? – zapytał.

– Sir Thaddeus – odpowiedziałem.

– To prawda. A teraz recytuj.

Siedziałem cicho.

Ojciec wcisnął pedał gazu i strumień powietrza zaczął gwizdać w składaniach winylowego dachu kabrioletu.

– Rozumiem, że wolisz się wydurniać niż słuchać starego człowieka.

– Poszedłem spotkać się z kolegą – tłumaczyłem się.

– Ja jestem sędzią – odpowiedział na to mój ojciec. – Ty jesteś chłopem. W poemacie to sędzia decyduje o dalszym losie chłopów.

Silnik samochodu załomotał parę razy, potem zgasł. – Skończyła się nam benzyna – stwierdził ojciec.

Czekałem w samochodzie, podczas gdy mój ojciec poszedł na stację benzynową. Długo go nie było. Kiedy wrócił, w ręku trzymał duży kanister zakończony esowatą szyjką.



Pejzaż II ryc. Bogdan Topor



Pejzaż I ryc. Bogdan Topor

Ojciec wysunął korek wlewu paliwa usytuowany na tylnym zderzaku i wlał paliwo do otwartego wlotu. Kiedy jednak przekręcił kluczyk, silnik odezwał się, ale nie chciał załapać. Ojciec ponawiał próby, ale samochód nie chciał zapalić.

Wreszcie jakiś kierowca zatrzymał się i doradził: – Musi pan najpierw zalać gaźnik.

Ojciec podniósł maskę, odczepił metalową pokrywę i wlał niewielką ilość benzyny do otworu w silniku. Kiedy ponownie przekręcił kluczyk w stacyjce, nastąpił niewielki wystrzał. Potem usłyszeliśmy odgłos cylindrów silnika. Po chwili silnik kręcił się jak bączek.

W drodze powrotnej do domu ojciec zatrzymał się obok przydrożnego baru. Usiadłem z nim przy stoliku z blatem z formiki. On zamówił sobie bourbona i piwo, a dla mnie wziął gazowany napój z imbirem. – Pójdziesz do swojego pokoju – oznajmił mi – i nie ruszysz się stamtąd póki się nie nauczysz na pamięć stu linijek.

*

Kiedy znalazłem się w swoim pokoju, nie miałem zamiaru zaprzatać sobie głowy polską epopeją. Zapaliłem kadzidelko i obserwowałem żarzący się czubek patyczka. Potem podпалиłem własnoręcznie ukręconego papierosa i całego wypaliłem. Wyjrzałem za okno i wyobraziłem sobie, że jest jeszcze inny kraj, po drugiej stronie najbliższej góry. Wspiąłem się aż ponad jej krawędź, żeby móc znaleźć się w innej rzeczywistości. Nie zatrzymałyby mnie ruchome kamienie, którymi usłany był jej szczyt. Spojrzałem z góry i w dole zobaczyłbym miasto. Zszedłbym na dół i przed oczami ukazałaby mi się jakaś ulica. Ona zaprowadziłaby mnie do posterunku straży granicznej. Pokazałbym tam swoje dokumenty i krzyż.

Otworzyłem *Pana Tadeusza*. Sir Thaddeus opuszczał farmę. Żegnał się z kobietą o łabędziej szyi. Jego głowa i głowa tej kobiety zetknęły się ze sobą jak wierzchołki dwóch drzew podczas burzy.

Zamknąłem oczy i bezgłośnie wymawiałem wyrazy. Pomyślałem, że nie powinno mi zająć wiele czasu nauczenie się na pamięć stu linijek.



Historyczne zdjęcie zajezdni tramwajowej z roku 1929

MAREK SKWARA

Dialog

Stosunkowo niedawno pojawił się na elewacji lokalu przy ulicy Kościuszki 39 w Katowicach intrygujący, oświetlony zielonym neonem szyld „Promenada na południe”, anonsujący ulokowaną wewnątrz obiektu ekspozycję poświęconą historii tej ulicy. Oprócz artefaktów, dokumentów, zdjęć, opracowań historycznych dotyczących ulicy Kościuszki na przestrzeni stuleci, znalazły się tu „spacerowniki”, rodzaj przewodników opisujących scenariusze proponowanych spacerów po, i wokół dawnej ulicy Beatestrasse (bo tak pierwotnie nazywała się ulica Kościuszki). Dziesięć spacerowników, to dziesięć proponowanych tras spacerów opracowanych według różnych kluczy. Wśród nich „Droga do folwarku Brwinów”, „Winckler kontra Warzecha”, „Najwięksi deweloperzy Katowic”, „Organiczna przestrzeń miejska”, „Rezydencje w otoczeniu ogrodów”, „Dawna strefa kultury”, „Top 10 Kościuszki”, by wymienić kilka, ale też „Promenadenstrasse”. Spacerownik ten podąża śladami nieistniejących już obiektów ulokowanych wzdłuż promenady, jak kiedyś nazywano ulicę Kościuszki, choć nie do końca... Bowiemy omawiany w nim obiekt zajezdni tramwajowej co prawda nie istnieje w formie oryginalnej, ale działa w formie rozbudowanej z powodzeniem od ponad dwudziestu lat jako salon samochodowy Skody i z tego co słyszałem jest pokazywany w czasie organizowanych spacerów z przewodnikiem, jako przykład przeprowadzonej w tej okolicy z powodzeniem adaptacji historycznej przestrzeni na współczesną funkcję,

W praktyce projektowej zajmowanie się przebudowami, rozbudowami, adaptacjami, wnętrzami, ale także nowymi budynkami w historycznym kontekście, to dość poważny segment działalności, bo rzadko zdarzają się tematy bez, co najmniej, kontekstu historycznego. Dla projektantów z Atelier PS flirty z zastanym, dodawanie, ujmowanie, eksperymentowanie z nowym w starym, konwersacja nowego ze zużyтым, pokazywanie przemijania, zostawianie znaków czasu, śladów przeszłości, reagowanie na kontekst przede wszystkim „w” oraz „obok” to codzienna praktyka. Trzeba dodać, że obce jest tu kopiowanie starego. Nowe zawsze jest klarowne, szczerze pokazane, stare w swoich najlepszych przejawach zaakcentowane. Całe bogactwo bowiem i napięcie, zdaniem Atelier PS, wynika z owego spięcia nowego i starego, z zestawiania i wykorzystywania najlepszych aspektów zastanego i zaproponowanego. Wydaje się to działanie uprawomocnione nie tylko na Śląsku bogatym w świadectwa epoki industrialnej, które winny zaistnieć i pozostawić ślady w epoce postindustrialnej, w którą z wolna wkraczamy.

Tak więc, podróżując z Gdańska na granicę polsko-czeską w Cieszynie, z dużym prawdopodobieństwem kierowcy samochodu przejadą katowicką ulicą Kościuszki, po wyjeździe z centrum mijając po lewej przebudowaną zażytkową halę zajezdni tramwajowej wybudowaną oryginalnie w roku 1912 według projektu berlińskiego koncernu elektrotechnicznego AEG, na zlecenie spółki „Schlesische Kleinbahn A.G.” (Śląskie Kolejki Sp. Akc.). Jednak tramwaje

– 10 czteroosiowych wagonów – dla których była przeznaczona oryginalnie, nie parkuje tam już od kilkudziesięciu lat.

Przez chwilę znajdowała się tam baza zimowej akcji oczyszczania miasta, by potem przez kilka lat niszczyć w beużyteczności. Wtedy, na początku lat 90. ubiegłego wieku zagiął na nią parol pan Piotr Śliwka – katowicki dealer Skody.

Powstał projekt adaptacji hali na salon i stację serwisową Skody. Ciekawostką jest fakt, że w obiekcie funkcjonującego salonu jeszcze na początku XXI wieku działały archaiczne olejowe transformatory zasilające trakcje tramwajowe południowych Katowic. Finalnie jednak salon w swej części ekspozycyjnej i serwisowej wykorzystuje pełny wolumen historycznej hali. W strefie recepcyjno-biurowej salonu ulokowanej w środku rzutu wykonstruowana została antresola nanizana na tubus (do którego podłączone są media), mieszczący sanitariaty, aneksy kuchenne, główne tablice elektryczne. Dwupiętrowy magazyn części zamiennych i kotłownia z częścią socjalną znajdują się w zamkniętych kubaturach, natomiast biura, gabinet szefa, recepcje, salon i serwis stanowią optycznie połączoną multifunkcyjną przestrzeń wydzieloną jedynie szklanymi ekranami z indywidualnie projektowanymi mocowaniami. Stanowią jakby przestrzeń teatralną, bo są polem spektaklu. Kupowanie samochodu stanowi ciągle rodzaj święta i podlega niezmiennym rytuałom. Jego oglądanie, próbowanie, nabywanie i potem integralnie z nimi związane serwisy, naprawy, zakupy części i gadżetów, to elementy owego spektaklu. A, że proces ten najlepiej informuje i reklamuje istotę przedsięwzięcia, to frontowa elewacja zwrócona ku ulicy Kościuszki została w pełni przeszklona. Całe przedsięwzięcie, szczególnie wieczór w pełnej iluminacji światła, widoczne jest jak na dłoni z przejeżdżających samochodów, z podestów tramwajów i dla przechodniów spacerujących parkową promenadą.

Owo przeszklenie stanowiło rozwinięcie idei parę lat wcześniej zastosowanej w biurze ogłoszeń Gazety Wyborczej w Katowicach. Tu, ponad sześciometrowej wysokości w szczycie szklana membrana złożona była z dwóch maksymalnej wielkości tafli stojących jedna na drugiej, uchwyconych na dole i u góry, a stabilizowanych w połowie wysokości nierdzewnymi linami stalowymi (stosowanymi przez Szwajcarów do noszenia gondoli kolejek linowych) napiętymi pomiędzy wzmocnionymi murami oryginalnej hali, z obu stron szklanej membrany. Liny te połączone zostały ze sobą regulowanymi złączkami, które stabilizowały detal utrzymujący dolną i górną szybę bezpieczną składającą się z zaledwie dwóch czteromilimetrowych tafli sklejonych folią, w jednej płaszczyźnie. Te inżynierskie eksperymenty zdały egzamin w czasie intensywnych jesien-



Fot. Marek Skwara

Elewacja frontowa Salonu Skoda – dzień XXI wiek

nych wichur, a obawy związane z temiką budynku w zimie okazały się nie aż tak straszne dzięki solidnie docieplonemu dachowi. Jako, że z biegiem lat wymagania, standardy „corporate image” producenta samochodów zmieniają się, to oryginalna, „wisząca” szklana fasada kilka lat temu zastąpiona została nową, spełniającą wyśrubowane wymogi termiczne szklaną elewacją.

Ale wnętrze, podlegające przez lata jedynie makijażowym modyfikacjom, podąża za industrialnym klimatem oryginalnego obiektu przekrytego finyzycznymi nitowanymi skratowaniami stalowymi i charakterem nowej funkcji, schody i inne elementy wnętrza poddają się tej samej poetyce. Stopnie z aluminiowych blach ryflowanych podwieszane są do wygiętych w łuk ceowników stalowych niosących równocześnie poręcze. Stalowa konstrukcja nośna antresoli z żelbetową płytą (ukłon w stronę strażaków) najeżona jest też stalą i aluminium oraz szkłem, głównie na stykach ze starą strukturą. Z jednej strony zabieg ten stanowi zasygnalizowanie oddzielenia starego i nowego, unaocznienie dylatacji między oryginalnymi ścianami, a nowym „wrzuconym” podestem, z drugiej pozwala na penetrację wzrokową dołu z góry i odwrotnie. Transparentność ta pozwala szefowi obserwować każdy fragment salonu i przedpola zorganizowanego na kształt ekspozycji samochodów na wolnym powietrzu, z pokoju konferencyjnego i jego punktu dowodzenia. I nie tylko szefowi. Każdy klient obecny we

wnętrzu widzi prawie wszystko i prawie wszystkich. Widzi pracujących menedżerów i serwisantów zajmujących się pojazdami. Teatr otwarty – z widzami uczestniczącymi w spektaklu.

Rozwiązania, o których piszę ekspozycją swoją techniczność i stanowią o estetyce wnętrza, które wraz z zastanymi konstrukcjami więźarów dachowych, oryginalną podsufitką drewnianą obrazują dialog inżynierii początku i końca XX wieku. Osadzone w otwartej przestrzeni sąsiadującej z parkiem sta-

nowią dowód, że można restrukturyzować obiekty zachowując ślady śląskiej architektury industrialnej. Przywrócić je współczesności przez nadanie nowej treści i dodanie nowych form. I można to czynić nawet w otoczeniu przyrody. Jest to proces, przed którym nie uciekniemy. Zdekaptalizowane zakłady, kopalnie, huty... I problem to oczywiście nie tylko architektoniczny, ale nade wszystko społeczny. Warto więc próbować, bo jeden warunkuje drugi...



Fot. Marek Skwara

Lekkie schody wewnętrzne

Nomadyczny salon

GRZEGORZ STIASNY

Fasada została zredukowana do formy niemal niewidocznej membrany, konieczne stało się więc uchronienie klientów przed wjechaniem autem w szklaną ścianę.

Salony samochodowe są obiektami, w których trwałość nie jest najistotniejszą cechą architektury. W efemerycznym połączeniu ich na poły przemysłowego charakteru z walorami sklepu niełatwo odnaleźć poetycki potencjał. To raczej próżność przyciąga tu klienta, a nie uznawane wartości przestrzenne czy inne cnoty charakteryzujące architekturę. Niemniej, owo zwątpienie w klasyczne cechy architektury może być dobrym punktem wyjścia przy projektowaniu obiektów, które tak jak i powód ich powstawania – samochód, wyrażają dynamikę współczesnego życia, kultu nowości, indywidualizmu i optymistyczną wiarę w wolność jednostki.

Salon samochodowy w Katowicach powstał w wyniku przebudowy hali pochodzącej z roku 1912, która pierwotnie mieściła załadunek tramwajowy.

Ze starego budynku pozostały dwie boczne ściany nośne i oparty na systemie delikatnych stalowych dźwigarów dach. Obiekt zachował jednak charakter przemysłowy. Dodane elementy wpływają na zmianę zastanego układu, przecinając prostokątną halę skośnymi liniami nowych konstrukcji. Całość tworzy z zewnątrz architekturę przybudówek i przystawionych do zasadniczego zrębu budowli pawilonów, wiat i zadaszeń, charakterystycznych dla narastających żywoło, w miarę potrzeb użytkowników, budynków fabrycznych. W tym zbiorze brył stara hala jest tylko jednym z wielu równoważnych elementów. Tą nowo powstałą kubaturą nie rządzi raczej prawa kompozycji, lecz struktura oferowanych wewnątrz usług. Oto rozpruty i całkowicie przeszklony front dawnej hali, zwrócony w stronę ulicy stał się witryną wy-

stawową salonu. Ku przechodniom i kierowcom zwracają się najatrakcyjniejsze przestrzenne fragmenty – lekkie zadaszenie przypominające formę paralotni i widoczna za wystawianymi samochodami stalowa konstrukcja schodów i antresoli biurowej.

Tylną część starego budynku zaadaptowano na warsztat. Wjazd do hali poprowadzono poprzez boczną, trójkątną w planie przybudówkę. Tam też umieszczono wejście do punktu sprzedaży części zamiennych i biur. Z tej strony klienci wprowadzani są w typowy ciąg technologiczny warsztatu. Dzięki całkowicie przeszklonym ścianom mogą oni, nie tracąc z pola widzenia swego samochodu, załatwić wszelkie formalności i odczekać w wyznaczonym miejscu na jego odbiór. Przybudówki po drugiej stronie hali mieszczą zaplecze techniczne i socjalne dla pracowników. Sprzęgnięte w jedną, chaotyczną przestrzenną strukturę, stare i nowe bryły usytuowane są w kącie obszernego parkingu za spadkami terenu, ukształtowanymi w kierunku otaczających ulic, tak aby utworzyć zewnętrzną wystawę dla sprzedaży aut używanych.

Przypadkowość formy obiektu rekompensowana jest dynamizmem działania targowiska. **Zamierzona fragmentaryczność poszczególnych części nie we wszystkich miejscach przekłada się na dobre efekty przestrzenne, ale każdy z elementów jest, opracowanym z podziwu godną precyzją, autonomicznym projektem wewnątrz całościowej, chaotycznej struktury.** Tworzą one istną kaskadę wrażeń, a podłużny układ starej hali, przeciętany szklanymi przepierzeniami, pozwala na obserwację wnętrza. Im dalej w głąb

od frontowej witryny, tym bardziej przestrzeń rozprasza się pomiędzy ładami, witrynami i tafłami szkła. Wysoka hala, przecięta tu stalową antresolą, zamienia się na szereg przegródek, w których toczy się codzienna praca. Szklane tafle łamią hierarchię przestrzeni. Większość pracowników i klienci w drodze pomiędzy halą sprzedaży i halą serwisu są jak wędrowcy w szklanym labiryncie.

Poszczególne detale opracowano w sposób technicznie wyszukany, choć technologicznie zgodnymi z prostymi i nie wymagającymi wielkich nakładów pracy i kosztów metodami stosowanymi w warsztatach ślusarskich.

Finezyjnym, unikatowym w Polsce rozwiązaniem technicznym jest konstrukcja szklanej fasady salonu wystawowego, w której samonośne, umocowane bez użycia szprosów tafle szkła utrzymywane są w pionie poprzez dwie napięte liny z systemem przemyślnych rozporów stabilizujących. Fasada zredukowana została w ten sposób do formy niemal niewidocznej membrany – do tego stopnia, że konieczne stało się odgródenie jej z zewnątrz i od środka barierkami, zabezpieczającymi roz targnionych klientów przed wjechaniem nowym autem w szklaną ścianę. Wewnętrzne szklane przepierzenia także zostały uwidocznione poprzez zakropkowanie pasa szkła znajdującego się na wysokości wzroku. Dzięki maksymalnemu przeszkleniu wnętrza i ścian zewnętrznych z usytuowanego w centrum salonu, na antresoli, gabinetu prezesa kontrolować można wszystkie części budynku i otoczenia, włącznie z widokiem na wejście i recepcję, otwierającym się poprzez pas szklanej podłogi.

Smiałe rozwiązania dotyczące przegród szklanych są rozwinięciem doświadczeń wniesionych przez projektantów z ich poprzednich realizacji. Niemniej, zważywszy na poprawkę, że zaprojektowane elementy były wykonywane i montowane nie przez doświadczonych specjalistów pracujących z suwmiarką i dynamometrem, lecz przez ludzi, którzy część pracy wykonują „na oko” – oprócz doświadczenia ich realizacja wymagała od architektów odwagi i poniesienia wysokich kosztów własnej, zmuszanej pracy.

W architekturze obiektu oczywiste są doświadczenia dekonstrukcji. Brak tu jasnej hierarchii przestrzeni, a poszczególne części są autonomicznymi fragmentami, zestawianymi kolizyjnie.

Jednak w rozwiązaniach poszczególnych detali projektanci w bardzo indywidualny sposób adaptują idee wypracowane przez zaawansowane technologie budowlane krajów najbogatszych w zasoby i kulturę techniczną – takie jak samonośne szklane ściany, systemy wyszukanych konstrukcji stalowych, czy idee przezroczystości architektury. W widoczny sposób nie wzbraniają się też przed używaniem powszechnych w użyciu materiałów i oszczędnie dozowanych elementów wykończeniowych. Są to być może początki architektury nomadycznej – lekkiej, pięknej, użytecznej przez lat dziesięć, niezbyt kosztownej, szybkiej do zbudowania i łatwej do rozbiórki oraz utylizacji.

Tekst „Nomadyczny salon” był pierwotnie opublikowany w miesięczniku „Architektura-murator” nr 1/1998

PROJEKT:
ATELIER PS:
Miroslaw Polak, Marek Skwara
oraz Grzegorz Bednarczyk



Fot. Marek Skwara

Śląskie tajemnice cz. 12

Ostatnia Wigilia pałacu w Goszczu

JULIA MONTEWSKA

Goszcz to mała wieś położona w gminie Twardogóra. Na pierwszy rzut oka niczym szczególnym nie wyróżnia się spośród wielu małych wiosek Dolnego Śląska. Jednak od wielu lat Goszcz przyciąga pasjonatów zabytków, poszukiwaczy skarbów czy choćby wszystkich tych, którzy słyszeli o przepięknym założeniu pałacowym – a raczej tym, co do dnia dzisiejszego po nim zostało.

Zespół pałacowy był przepiękną, rokokową perłą architektury, która w okresie swej świetności mogła konkurować z podobnymi w Dreźnie i Poczdamie. Zbudowana w roku 1755, należała do rodu Reichenbach, a swym przepychem wewnątrz mogła poszczycić się do 1947 roku. Cały zespół pałacowo dworski został zbudowany na planie prostokątnego dziedzińca, do którego prowadziły trzy bramy wjazdowe, natomiast główną oś stanowił budynek pałacu. Ten oparł się burzliwym wydarzeniom rozgrywającym się na przestrzeni minionych wieków. Łaskawie też obeszła się z nim II wojna światowa.

Zabójcza dla pałacu okazała się legenda, a właściwie powtarzana przez miejscową ludność plotka o rzekomym skarbie, jaki to Reichenbach miał ukryć w swojej rezydencji. Opuszczony i splądrowany przez czerwonoarmistów pałac, w pierwszych powojennych latach grabiony był też przez różne grupy szabrowników, aż do wieczora 24 grudnia 1947 roku. O zmroku, gdy nowi mieszkańcy Goszcza zasiadali przy wigilijnych stołach lub wypatrywali pierwszego gwiazdy, zamiast niej dostrzegli ognistą łunę. Płonął pałac, podpalono go tylko po to, by zatrzeć ślady szabrowników. To nie było przypadkowe zaproszenie ognia, precyzyjnie wybrano moment, w którym prawdopodobieństwo szybkiego ugaszenia pożaru było najmniejsze. Nasuwa się też pytanie, co takiego, i w jakim miejscu pałacu zostało znalezione, że poszukiwacze zdecydowali się zatrzeć ślady swojej obecności w tak drastyczny sposób. Pałac nigdy nie został odbudowany i popadł w ruinę. W późniejszych latach był notorycznie grabiony, plądrowany przez kolejnych poszukiwaczy skarbów, którzy rozkuli nawet zabytkowe mury w poszukiwaniu cennych przedmiotów. Z biegiem czasu obiekt stał się urokliwą ruiną. Obecnie o dawnej świetności obiektu przypominają tylko kikuty zburzonych ścian. W miejscu wspaniałych komnat pałacowych i sal balowych króluje bujna roślinność, która powoli i z uporem przejmuje władanie nad pałacem, swymi korzeniami powolutku rozsadzając cegłę po cegle.

Obok pałacu znajduje się kościół ewangelicki, całość została pięknie wkomponowana w park krajobrazowy, stawy i oranżerie. Swój rozkwit obiekt ten zawdzięcza Henrykowi Leopoldowi von Reichenbach, który był najstarszym synem Henryka von Reichenbacha, Generalnego Poczmiistrza Śląska. Kościół został wybudowany w latach 1743-49 przez Reichenbachów i jest jednym z najstar-

szych istniejących kościołów ewangelickich w Polsce. Spoczęły w nim doczesne szczątki Henryka Leopolda, zmarłego w 1775 roku. Pochowany został w pięknym, bogato zdobionym rokokowym sarkofagu. Spoczął obok żony Fryderyki Charlotty hr. v. Schönaiach-Carolath, zmarłej w 1741. Jej ciało spoczęło w równie pięknym, kamiennym późnobarokowym sarkofagu. Najwyraźniej oboje zostali pochowani obok swoich przedwcześnie zmarłych dzieci, których sarkofagi znajdują się również w kościele.

Późnobarokowa budowla została porzucana w 1945 roku. Podobnie jak w pałacu, tak i tu wandalę odcisnęli swoje piętno. Dziś to miejsce pozostaje uporządkowane – jednak całkiem niedawno budziło grozę. Poprzewracane sarkofagi i jedna z trumien bestialsko wywleczona pod ambonę – takie widoki można było zobaczyć na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

W niedalekiej odległości od zabudowań pałacowych, pod lasem znajduje się cmentarz komunalny, a za nim, ukryty w leśnej gęstwinie, stary cmentarz ewangelicki. Zaniedbany i plądrowany przez dekady, obecnie przypomina on amazońską dżunglę. Jednak dawniej było to miejsce, na które w swojej ostatniej drodze trafiali członkowie rodu von Reichenbach. Przez lata ich doczesne szczątki składano we wzniesionym tu rodowym mauzoleum. Budowla ta powstała w 1886 w stylu późnego neoklasycyzmu z portalem neobarokowym, nad którym został umieszczony kartusz herbowy.

Obecnie portal wejściowy pozostaje zamurowany. Wnętrze mauzoleum to jedno pomieszczenie z podziemną kryptą, do której można zejść po schodach. Niestety przez wiele lat pochówki Reichenbachów były bezczeszczone. Pierwszych profanacji dokonały oddziały radzieckie, potem spokój zmarłym zakłócili szabrownicy, poszukujący kosztowności i cennych przedmiotów. Następne pokolenia skupiły się już na samej dewastacji nekropolii, rozbijano nagrobki, plądrowano grobowce, a mauzoleum stało się miejscem libacji alkoholowych. Pootwierane trumny i walające się wśród śmieci szczątki ludzkie najwyraźniej nikomu nie przeszkadzały aż do czasu, gdy potomkowie ro-

du Reichenbach, korzystając z upadku PRL i otwarcia się polskiej granicy, postanowili uporządkować groby swoich przodków.

Czternastego grudnia 1993 dokonano ponownego pochówku arystokratów. W ceremonii wzięli udział przybyli z Niemiec żyjący członkowie rodziny von Reichenbach. Był też i burmistrz Twardogóry, za spokój dusz modlili się i ksiądz katolicki, i pastor ewangelicki sprowadzony specjalnie na tę ceremonię z Sycowa. Jednak patrząc na obecny stan mauzoleum i nekropolii, dochodzę do wniosku, że tak na dobrą sprawę niewiele się zmieniło. Po ponownym pogrzebie mauzoleum zostało zamurowane, ponowny pochówek nie stał się jednak impulsem do uporządkowania cmentarza.

Minęło bowiem 25 lat, a cmentarz niszczy, kolejne pokolenia dewastują i niszczą groby pochowanych tu niegdyś mieszkańców. Spacerując wśród rozbitych płyt nagrobnych, próbuję odczytywać nagrobne inskrypcje. Leżąca niedaleko pomnika płyta należała do jednego z trojga braci poległych w I wojnie światowej, Conrada Heinricha Christoph'a. Trochę dalej pomnik upamiętniający śmierć hrabiów Heinricha, Fabiana Heinricha i wspomnianego Konrada Heinricha Christoph'a von Reichenbach, poległych w czasie I wojny światowej. Na nim napis „Oddali życie za króla i ojczyznę trzech bracia hrabiowie Reichenbach z domu Goschütz”.

Nekropolia zarosła. Puste grobowce, rozbite płyty nagrobne wchłania las. Powoli i sukcesywnie przyroda sama goi rany historii. Chowa w ziemi to, co w niej zostać powinno – wszak już raz tam zostało złożone. Ilekroć dane jest mi dokumentować takie miejsca nie mogę zrozumieć jak to się dzieje, iż ludzie tak bardzo dziczeją, zachowując się jak hieny cmentarne i bezmyślnie niszczą wspaniałe zabytki przeszłości.

Regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.

Historie pachnące betonem cz. 3

Fot. Dariusz Pietrucha



Wnętrze schronu dowodzenia

Schron dowodzenia otwarty przed Wigilią

DARIUSZ PIETRUCHA

– Wybudowano go w latach 1937-1938. Jest unikalny, bo jedyny w Polsce. Przed wybuchem wojny w żadnym innym miejscu II RP nie powstał obiekt sztabowy. Budowano obiekty bojowe, czasami mieszając ich funkcję z obiektem dowodzenia, ale tak dużego schronu sztabowego nigdzie nie zbudowano. Przez lata zapomniano o jego istnieniu. Nawet ludzie mieszkający nieopodal byli zdziwieni, gdy nagle ukazał się spod ziemi. A był to rok 2008...

Eksploracja

Było nas wtedy kilka osób. Wszyscy z Pro Fortalicium. Najpierw trzeba było ręcznie odrzucić sporo ziemi. Było niewygodnie, bo betonowe ściany korytarza (tzw. poterny) ograniczały ruchy. Ale na zmianę jakoś szło. Doszliśmy w końcu do pionowej, ceglanej ściany, blokującej nam drogę. Trzeba było wybić w niej sporych rozmiarów otwór, by dostać się do wewnątrz. Z minuty na minutę dziura się powiększała. Sprawdziliśmy powietrze. Było w porządku. Ktoś musiał się przepchać pierwszy, choć w środku, za wbitym otworem, niesamowicie śmierdziało. Padło na mnie. Wcisnąłem się w wykuty w ścianie otwór i spadłem po drugiej stronie, prosto na stertę gnijących śmieci.

Nie boję się takich miejsc. Chodzę po nich od dziecka. Nie boję się ciemności. Ona mnie uspokaja. Wiecie, betonowe ściany odcinają od świata zewnętrznego. Odgradzają od rzeczywistości. Lubię to uczucie. Pamiętam, że miałem jakąś niewielką latareczkę. Bardziej zabawkę, niż coś konkretnego. Ruszyłem wzdłuż ścian zawilgotniałego korytarza, najpierw wylażąc ze sterty śmieci.

Jedną ręką dotykałem ściany, czując jej chłód. Wiedziałem, że obiekt został zamurowany w 1992 r. Dlaczego? Podobno mieszkała w nim spora grupa bezdomnych. Często urządzali niezłe libacje. Było niebezpiecznie. Ludzie się skarżyli, więc ktoś w mieście postanowił – zamurować i zasypać. W ten sposób chorzowski schron dowodzenia wymazano z ludzkiej świadomości.

Z korytarza wszedłem do przedsionka. Wszystko było zawilgotniałe i ociekające wodą. Ostrożnie stawiałem kroki, bo przeżyłem już w schronach niejedną niespodziankę. Wiem, że trzeba bardzo uważać. Z korytarza zajrzałem do pierwszego pomieszczenia. No i stanąłem jak wryty. Zobaczyłem coś w rodzaju leżanki, a na niej coś brudnego, skołtuniałego i prawdopodobnie spalonego. Obok łóżka zauważyłem kilka słoików – chyba z jedzeniem, a także dwie pary butów. Chyba damskich. Nie zrobiłem żadnego ruchu. Przypomniało mi się to, co opowiadał mi o schronie. O eksmisji niechcianych mieszkańców, o pośpiechu w zamurowaniu wejścia. Przez moją głowę przemknęło kilka myśli. Czy na pewno wszystkich eksmisowano? Czy czasem nie zamurowano kogoś

żywcem? Czy ktoś nie chciał ukryć się przed eksmisją nie wiedząc, że zostanie odcięty od świata? Czy ktoś w akcie desperacji nie popełnił samobójstwa?

Za plecami słyszałem głosy kolegów. Pomału wciskali się do środka. Klęli, bo każdy z nich spadał na tę samą stertę śmieci, co ja. Słyszałem, że pomagają sobie nawzajem. A mnie jakoś opuściła odwaga. Doszedłem do wniosku, że chyba na nich zaczekam. Cofnąłem się nieco do tyłu. Oświetliłem miejsce, gdzie zbierali się do dalszej drogi. Dałem im znać, że na nich czekam. Gdy podszli bliżej, powiedziałem im, co widziałem w pierwszym pomieszczeniu. Zrobiło się cicho. Ruszyliśmy dalej. Tak rozpoczął się mój wieloletni związek ze schronem dowodzenia w Chorzowie.

Schron

W 1933 r. na Górnym Śląsku zaczęto budować pierwsze schrony, które z czasem miały przybrać formę Obszaru Warownego „Śląsk”. W pierwszych latach nie było jeszcze takiej potrzeby, ale w następnych stało się jasne, że potrzebny będzie obiekt dowodzenia. Serce całego obszaru warownego. Oddalone o kilka kilometrów od linii obronnej i przez to bezpieczne. Jego budowę rozpoczęto w 1937 r. Miejsce wybrano bardzo starannie. Góra Redena w Chorzowie (*niem. Redenberg*) – znane głównie jako miejsce spacerowe. No i oczywiście z powodu ulokowania tam w 1852 r. pomnika hrabiego Friedricha Wilhelma von Redena (1752-1815). Autorem był znany górnośląski rzeźbiarz Theodor Erdmann Kalide (1801-1863). Redenberg był porośnięty wielkimi drzewami, których korony skutecznie zasłaniały to, co znajdowało się pod nimi. Na szczycie wzniesienia nie było wielkiego betonowego zbiornika, który znajduje się tam dzisiaj. To wielki wodny zbiornik wyrównawczy, który wybudowano w latach 60. ub.r. Wtedy były tam jedynie drzewa...

Wybudowano duży, dwukondygnacyjny schron z charakterystycznym, nieco wysuniętym skrzydłem ściany tylnej. Obydwie kondygnacje są ze sobą połączone za pomocą klatki schodowej, a także dodatkowego zejścia z metalowymi klamrami. Wewnątrz obiektu ściany narażone na ostrzał, a także strop oddzielający obydwie kondygnacje zabezpieczono siatką przeciwodpryskową. Główny strop schronu zabezpieczono stalowymi szynami i płytami grubej blachy. Posadzki w niektórych pomieszczeniach wykonano z terakoty, czego nie spotkamy w żadnym innym obiekcie. To z kolei miało zapewnić pewien komfort użytkownika.

Energia elektryczna była dostarczana do schronu z sieci miejskiej, ale obiekt dodatkowo wyposażono w agregat prądotwórczy umiejscowiony w maszynowni, gdzie znajdowały się również zbiorniki paliwa, zbiorniki wody oraz akumulatory. Obiekt posiadał także pełną instalację elektryczną, jak również instalację wentylującą wszystkie pomieszczenia. Co ciekawe, schron ma aż trzy wyjścia ewakuacyjne. Rozwiązanie niespotykane nigdzie indziej. Dwa z nich można było jednocześnie używać jako strzelnice dla rkm-ów chroniących zapole obiektów. Trzecie przecina ścianę tylną schronu i biegnie na zewnątrz przez szyb z klamrami do wspinania się. Taka ilość wyjść ewaku-

acyjnych miała zapewnić bezpieczeństwo jego użytkownikom, gdyby w wyniku ostrzału lub zbombardowania schron został uszkodzony, a ewakuacja głównym wejściem byłaby niemożliwa.

Główne wejście, znajdujące się w ścianie czołowej obiektu było chronione kratą przeciwstrumową. Kolejne wejście znajdujące się za załamaniem korytarza było zamykane dwudzielnymi drzwiami pancernymi. Ani krata, ani drzwi pancerne nie zachowały się. Naprzeciw głównego wejścia znajduje się strzelnica obrony wejścia, w której dzisiaj groźnie sterczy lufa rkm-u. Dokładne pomiary obiektu pokazały, że jego powierzchnia zabudowy wynosi ok. 142 m². Jego podstawowe wymiary to długość 13,20 m, szerokość 12,40 m, a wysokość całkowita 6,5 m. W środku znajduje się 20 pomieszczeń. Schrony OWŚ przeważnie budowano zgodnie z tabelami odporności, określającymi normy wytrzymałości budowanych obiektów. Tabele te narzucały odpowiednią grubość ścian i stropów. Chorzowski schron wybudowano w kategorii D, co oznacza, że był odporny na pojedyncze trafienia pociskami kalibru 220 mm lub wielokrotne trafienia pociskami 155 mm. Strop nad górną kondygnacją ma grubość 1 m, strop nad dolną kondygnacją 60 cm, ściany działowe są o grubości 50 lub 100 cm. Ściana zewnętrzna od strony zapola ma grubość 1 m, a trzy pozostałe 175 cm. To niezwykle wielka i odporna na zniszczenie bryła betonu.

Schron był gazoszczelny. Posiadał rozbudowaną sieć podziemnych linii telefonicznych, których relikty zachowały się do dzisiaj. Wybudowano go z żelbetu i dodatkowo zabezpieczono kamiennym płaszczem okalającym jego ściany. Na górnej kondygnacji znajdowała się słuza przeciwgazowa, wartownia, pokój operacyjny, izba dowódcy i adiutantów, maszynownia i pokój filtrów. Natomiast na dolnej kondygnacji umieszczono izby żołnierskie i oficerskie, izbę łączności oraz magazyny.

Przeznaczenie

Obiekt wybudowano jako siedzibę sztabu pułku fortecznego, któremu podlegały oddziały poszczególnych schronów bojowych składających się na OWŚ. Dowódcą Grupy Fortecznej OWŚ był płk Waław Kłaczynski. Załogi forteczne wchodziły w skład 23 Dywizji Piechoty (sztab w Katowicach) i podzielonej na trzy pułki: 11pp (Tarnowskie Góry), 75pp (Chorzów) i 73pp (Katowice). 23DP wchodziła w skład Grupy Operacyjnej „Śląsk” dowodzonej przez gen. J. Sadowskiego. W dniu 31 sierpnia 1939 r. w skład tego sztabu wchodził płk Waław Kłaczynski, mjr dypl. Adam Szydłowski (szef sztabu), ppłk dypl. Władysław Ślawiczek (dowódca artylerii), ppłk Jerzy Sochocki (szef fortyfikacji), ppłk Stanisław Perko (dowódca saperów), kpt. dypl. Waław Dłużniewski (dowódca rezerwowej kompanii saperów), kpt. Bonifacy M.R. Waligórski (oficer operacyjny), kpt. dypl. Juliusz Maria Chodacki (kwaterymistrz), kpt. lekarz weterynarii Stanisław Górski (szef służby weterynaryjnej), kpt. Witold Fedak (dowódca łączności), kpt. Antoni Stanisław Dłużniewski (dowódca fortecznej kompanii łączności), kpt. Tadeusz Leciejewicz (szef sztabu artylerii), mjr audytor Franciszek Maniura (szef

sztabu polowego/służby sprawiedliwości), sędziowie kpt. audytor Stanisław Piątek i por. audytor Tadeusz Mehoffer, por. Eugeniusz Marek i por. Marian J. Niedzielski (oficerowie artylerii), kpt. Tadeusz Krupiński (oficer płatnik), mjr w st. sp. Władysław Sobol (komendant Kwatery Głównej Grupy) oraz nieznany z imienia i nazwiska szef służby zdrowia.

Załoga stała schronu składała się z 8 osób dowodzonych przez sierżanta lub chorążego. W skład załogi stałej wchodził dowódca schronu, maszynista z pomocnikiem, telefonista z pomocnikiem oraz sekcja gospodarcza w składzie 3 osób. Szacuje się, że w schronie mogło przebywać nawet ponad 30 osób. Jest to tzw. schron bierny, który nie pełnił roli obiektu bojowego. Jego uzbrojeniem były dwa ręczne karabiny maszynowe typu Browning wz. 28. Jeden mógł być zamontowany w strzelnicy obrony zapola i obsługiwany przez sekcję ochrony sztabu. Drugi znajdował się na wyposażeniu stałej załogi obiektu. Pozostałe pododdziały zapewniające funkcjonowanie i ochronę sztabu zostały rozlokowane w jego pobliżu. Poniżej schronu na stanowisku polowym stacjonowała kompania ochrony sztabu, kompania łączności oraz kompania gospodarcza.

Losy obiektu

Schron najprawdopodobniej był już obsadzony w pierwszej połowie 1939 r. Stąd dowodzone walkami z niemieckimi dywersantami, którzy jeszcze przed wybuchem wojny atakowali różne polskie punkty graniczne. W pierwszych dwóch dniach września stanowił centrum dowodzenia śląskich fortyfikacji. W dniu 2.09 o godz. 10.45 niemiecki samolot zrzucił dwie bomby w okolicy schronu. Niemcy doskonale wiedzieli o jego istnieniu i lokalizacji. Na rozkaz dowódcy Armii „Kraków” został ewakuowany – najprawdopodobniej w nocy z 2 na 3.09.1939 r. Dowódca – płk W. Kłaczynski, nie doczekał końca wojny. Zginął w nocy z 18 na 19.09 w rejonie dworca kolejowego Mazily na Roztoczu Południowym. Pośmiertnie został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy. Niedawno schron zwiedzali mieszkańcy Mazili i okolic. Mieli lzy w oczach. Doskonale znają mogiłę pułkownika ze swojego cmentarza. Teraz zobaczyli miejsce, gdzie dowodził i które musiał opuścić. Niemcy weszli do schronu dowodzenia 3 lub 4.09.1939 r. Pierwszy z nich wrzucił do korytarza granat. Do dzisiaj widać ślad po eksplozji...

A później? Niemcy najprawdopodobniej używali go jako schronu przeciwlotniczego dla ludności cywilnej. Jednakże pod koniec wojny coś tam kombinowali. Do ściany z wejściem głównym dobudowali korytarz. Zrobili to dość pośpiesznie i niechlujnie. W maszynowni skuli betonowy fundament silnika diesla. Podłogę wyrównali zaprawą betonową. Ktoś z nich odcisnął w niej ślad swojego buta. W ścianie wykuli otwór, przez który doprowadzono grubą wiązkę kabli telefonicznych. Obok schronu powstało jeszcze do podziemnego korytarza, którego jeszcze nie zbadaliśmy. Coś szykowali... Po wojnie schron przejęły polskie władze. Przez jakiś czas pełnił rolę schronu przeciwlotniczego (podobno samego gen. J. Ziętka). Schronem przeciwatomowym nie mógł być,

bo się do tego nie nadawał. Później służył Obronie Cywilnej. W 1989 r. został opuszczony. Wtedy zamieszkali w nim bezdomni, a obiekt został rozszabrowany z metalowych elementów. W 1992 r. zamurowano go. Aż do 2008 r. ...

Świąteczne otwarcie

W 2009 r. przystąpiono do rewitalizacji tego obiektu. Pomogły władze miasta Chorzów, a także Miejski Konserwator Zabytków H. Mercik. W pierwszym etapie wykonano roboty ziemne polegające na odkopaniu elewacji tylniej schronu wraz z poterną. W 2010 r. pod kierownictwem W. Sykosza (Pro Fortalicium) wykonano kolejny etap prac. Usunięto ze wszystkich pomieszczeń schronu olbrzymie ilości śmieci i gruzu, a z dolnej kondygnacji ogromne ilości wody, szlamu i mułu. W 2011 r. wykonano remont ścian i sufitów, a także zamontowano instalację elektryczną. Wtedy mogłem zacząć działać.

Od 2011 r. prowadziłem prace wewnątrz obiektu. Pamiętam, że był srogi okres zimy, a mnie było w schronie niezwykle ciepło. Tylko trzeba było pracować. Zazwyczaj byłem tam sam. Odnawiałem i wyposażałem pomieszczenie po pomieszczeniu. Wyobraziłem sobie, że górna kondygnacja ma być taka, jaka była. Pojawiły się więc proste meble, mapy, telefony polowe, a także oficerowie w mundurach z 1939 r. Oczywiście mowa o manekinach. Jest ich tam całkiem sporo, bo aż 10. Dziwnie się czułem wnosząc ich do środka, ubierając w mundury i stawiając na swoich miejscach. To tak, jakbym tych ludzi z powrotem ściągał w to samo miejsce, z którego kiedyś odeszli. Każdego z nich...

W 2012 r. prace nadal trwały. Byłem już na dolnej kondygnacji. Górna była praktycznie gotowa. Zamontowałem tam jeszcze urządzenie, które wydaje dźwięki pracującej radiostacji. Skoro sztab to sztab. Zazwyczaj pracowałem w ciszy, ale czasami prowadziłem rozmowy z pochylonymi nad stołami oficerami. Jakby ktoś to zobaczył... Dolna kondygnacja zaczęła nabierać kształtów. Tymczasem zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, które bardzo lubię. Pomyślałem sobie – tyle lat – bez świąt. Schron stał pusty. Niech mają. To dla nich. Dla tych, którzy nas wtedy bronili. Dla ich pamięci. Na krótko przed Wigilią w 2012 r. chorzowski schron dowodzenia został oficjalnie otwarty do zwiedzania. Zjawilo się mnóstwo ludzi, a ja byłem dumny. Zamarzyłem sobie i udało się. Schron wrócił do służby. Od tego czasu odwiedziło go blisko 10 tysięcy ludzi. Jeśli jeszcze go nie widzieliście, to zapraszam. Z chęcią Wam wszystko o nim opowiem...

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.

Przypowieść mariacka

GRZEGORZ WILCZEK

Ospała jutrznia w szokującym tempie przeistaczała się w rozbudzone przedpołudnie lata. Głowa słońca szczerze rozsypywała promieniste włosy, które zawijając się w ciepłe, drgające kędziory, wyścielały złotem szorstką powierzchnię Mariackiej i bajkowo rozjaśniały fasady przyległych kamienic. Wzbijając się jeszcze wyżej, powlekały oślepiającym światłem dostojną iglicę Kościoła Mariackiego w Katowicach.

Wytoczyłem się z moim przyjacielem Huhymcem z jednej z knajp wspomnianego deptaku. Knajpa ta z uwagi na obecność w swojej nazwie „meduza” i „lorneta” zasługiwała na klasyfikację tawerny, ale z powodu deficytu jodu i szmeru fal morskich od strony ul. Mariackiej Tylnej brakowało podstaw do takiej klasyfikacji. Owszem, jednymi z flagowych zakąsek lokalu były przeraźliwie słone śledzie z cebulą, ale przecież nie nazwiemy „Gajem Oliwnym” supermarketu, tylko dlatego że sprzedaje postrzępione oliwki w woreczku wypełnionym mętną cieczą.

Nasz chód w niczym nie przypominał gracji i wyważenia brytyjskich dżentelmenów wzmocnionych 5 o'clock tea. Posilenie nasze pochodziło od innego sprawcy; etanol ciepłymi falami pulsował w naszych tętnicach, rytmicznie rozbrzmiewał w naszych głowach i hojnie występował na czoło w postaci skrzęcych perełek potu. Owego poranka mój impulsywny (jak się później dowiemy) towarzysz Huhymec wyraźnie gorzej niż ja metabolizował tę podstępą substancję. Ja radziłem sobie zaskakująco dobrze – ożywiony i pełen „nieznośnej lekkości bytu” tanecznie i z fantazją stapałem po bruku.

Ubrani byliśmy, można by rzec, z zauważalną klasą. Ja w białej koszuli typu slim, wyciągniętej z dżinsowych spodni typu regular, z oswobodzonymi non-szalancko dwoma guzikami pod szyją i oswobodzonymi również dwoma guzikami mankietów. Huhymec w białych sztruksach i w czarnej, przylegającej koszuli z oswobodzonymi z kolei guzikami trzema, które wypuszczały gęstą wiecheć włosów spod podgardla. Od pasa w górę nasze sylwetki przypominały ying–yang. Byliśmy czarno–białi, chwiejni, rozmyci i secesyjni.

Jeszcze dobre pięć godzin wcześniej siedzieliśmy w „penthouse” Huhymca (jak z czułością nazywałem jego zapuszczoną garsonierę) znajdującym się na 10 piętrze bloku z wielkiej płyty. Nasza jedyna opalona i zażywna towarzyszyca nie siedziała, lecz stała wyprostowana jak struna, szybko pustosząc na stole. Miała na imię Łyskie, znała tylko irlandzki i choć nie zabierała bezpośrednio głosu w dyskusji, dodawała nam retorycznego animuszu. Rozmawialiśmy o tematach ważkich i szlachetnych. Omawialiśmy filozofię Schopenhauera i Fromma, z pasją analizowaliśmy wiersze wybrane Baudelaire’a i Rimbauda, płynnie przechodząc od zachwyty nad kobiecością do ostentacyjnej mizoginii:

A kiedy z kości moich wyssała szpik cały,
Ja zaś zwróciłem wreszcie ku niej wzrok omdłały –
Na jej miejscu ujrzałem tuż przy boku swoim
Jakiś bukłak oślizły, napelńiony gnojem!

Huhymec z namaszczeniem deklamował *Przemiany wampira* jednego z rzeczonych poetów, wstawał z sofy, czynił dwa długie kroki wykładowcy po living roomie o zawrotnej powierzchni 8 m² i rozdymając policzki i obliżując usta z rozbawieniem powtarzał „bukłak oślizły”, wywołując moją solidarną radość.

– Nie ma ładnych kobiet, są tylko dwa rodzaje: brzydkie i dobrze umalowane – krzyczał buntowniczo, rozdrapując rany po rozstaniu z długonogą Andżeliką. Znałem ten aforyzm Oscara Wilde’a bardzo dobrze. Znałem i nie ukrywałem poparcia dla tej mądrości. Zastanawiałem się tylko, czy skoro wyszła spod pióra pisarza homoseksualnego, to czy jej moc była tym większa, że nie zabarwiona osobistymi zawodami miłosnymi z kobietami, czy tym mniejsza, że przecież kobieta dla geja jest konkurentką, a więc deprecjonowanie jej jest zrozumiałe.

Siedziałem na niewygodnym i wytartym szezlongu, trzymając z pietyzmem w prawej dłoni papierosa (z pietyzmem, bo to był mój drugi szlug od trzech lat). Jasnoblękitna wstęga dymu jak wąż zygzakiem wspinała się pod sufit. Z lewej mojej dłoni prosto na twarz padała jasnoblękitna poświata ze smartphone’u. Z ogromnym zdziwieniem przeglądałem znany portal społecznościowy, na którym zawrotna ilość użytkowników w jednym czasie dzieliła się swoim przeżyciem typu „feeling goofy” nad talerzem makaronu lub hamburgerem.

Wraz z opróżnianiem zawartości wysokoprocentowego napoju, niechęć do płci przeciwnej ustępowała, rzecz jasna, jej ponownemu uwielbieniu. Uwielbienie to manifestowało się podwójną mocą, choć przybierało podwójnie mniej liryczne wyrażenie.

Na moment robiliśmy przerwę w tematyce miłosnej, aby w skrócie omówić aktualne zagadnienia polityczne. Na 25 minut stawaliśmy się niekwestiono-

wanymi ekspertami w każdej dziedzinie gospodarki i bankowości (ubolewając nad tym, że żadna z głównych, opiniotwórczych stacji telewizyjnych i rozgłośni radiowych jeszcze nas nie zaprosiła do studia, że nie wygrzewamy się w świetle jupiterów jako doradcy pana premiera i pana prezydenta). Przez kolejne 10 minut toczyliśmy spór o optymalny model państwa, Huhymec skręcał ideologicznie w lewo, ja brałem zdecydowany kurs w prawo. Im drastyczniej polaryzowały się nasze stanowiska i im bardziej nasiąkaliśmy naszą Irlandką, tym bardziej wnikliwy merytoryzm argumentów ustępował pierwszeństwa krwistej wiasze i pogardzie dla rozmówcy. Zawartość Lyskie stawała się już na tyle śladowa, że średniej wielkości mucha mogłaby stać na jej dnie i moczyć weń odwłok bez obawy utonięcia. My, zamiast osiągnąć kompromis w naszej ideologicznej dyspacie, porzuciliśmy ruchome piaski polityki i puściliśmy łagodzącą obyczajem muzykę. Wybór padł na koncert live Keitha Jarretta: „Last Solo” z Tokyo ‘84 Encore. Jarrett zdawał się rozumieć nasz rozgrzany stan jak nikt inny: szaleńczy maraton po klawiaturze, gra w porywającym transie, stawanie nad klawiaturą, i ekstatyczne skomlenie z zamkniętymi oczyma nad nakrywą instrumentu – wszystko to skłaniało nas do imitacji wielkiego wirtuoza nad fortepianem utkanym z powietrza.

Nagle czas zwariował i niemożliwie przyspieszył. Posypało się kilka skocznych i zdecydowanie mniej ambitnych hitów (doszliśmy do takiego wniosku na podstawie miliarda wyświetleń na znanym portalu z materiałami audiowizualnymi), wybiegliśmy z „penthouse’u”, zamówiliśmy dorożkę lub tuk-tuk (któż z nas pamięta, w jakiej części globu byliśmy, jaki to był pojazd, ile miał kół i czy to był w ogóle pojazd) i nie wiadomo jak, znaleźliśmy się we wspomnianym na początku naszej opowieści szynku.

Los nam sprzyjał. Skoro wychynęliśmy chwiejnie spoza ogródka piwnego „Lornety...”, oczom naszym ukazały się dwie nadobne dziewczeczki o długich jedwabistych włosach, wsparte na wysokich butach i zmysłowo płynące w naszą stronę od ul. Mieleckiego. Pierwsza – blondynka, wysoka i szczupła obdarzona porywającą architekturą bioder opasanych obcisłymi, skórzanymi spodniami. Druga, nieznacznie niższa brunetka okutana czerwoną sukienką ołówkową eksponującą niemniej pociągająco zarysowane miękkości. Nie pamiętam, kiedy ostatnio marszem pokonałszy 20 metrów w 2 sekundy, ale po takim właśnie czasie znaleźliśmy się odpowiednio: ja u boku zmysłowej blondynki, Huhymec obok płomienistej brunetki.

– Ziee zyziesie, ziewszyny – zagał Huhymec, pytając na dzień dobry o cel ich marszrutę, ujawniając jednak poważną dysfunkcję dykcji i utratę jakichkolwiek podstaw skutecznego podrywu.

– Aaa wracamy z Poomki – nie do końca zrozumiawszy pytania, odpowiedziała brunetka z dykcją słabą, ale nienajgorszą.

Dobry znak – pomyślałem i zgodnie z zasadą demarkacji obszarów podboju, sfokusowałem całkowitą uwagę na profilu blondynki.

Jakiz to był profil, Boże Miłościwy! Bezblędne kości policzkowe i cera, nieziemski, prosty nos i uszka drobne i finezyjne jak pierożki. Śmiały i wybitny biust. A oczy? Cóż to były za oczy! Okraszone gęstymi rzęsami, z których górne zawijały się do góry, dotykając brwi, zaś dolne zdawały się dotykać środka policzków – jej policzków. Pięknie wysklepiona tęczówka nosiła co prawda błady zarys przyklejonego szkła kontaktowego, ale cóż to była za tęczówka! Pełna, wyrazista, z chabrowym obwodem rozjaśniającym się do środka i przechodzącym w morski seledyn migoczący niczym woda nad nieskazitelnie białymi piaskami Korsyki. Słońce figlarnie nurkowało w tej tęczówce, nadając jej setki odcieni błękitu i szmaragdu. Ja, jako że



Joanna Styrylska „Ukochany”, 2013, kolaż, olej

słońcem nie byłem, ale bardziej cieniem człowieka, popełniałem błąd impertynenckiego zapatrzenia.

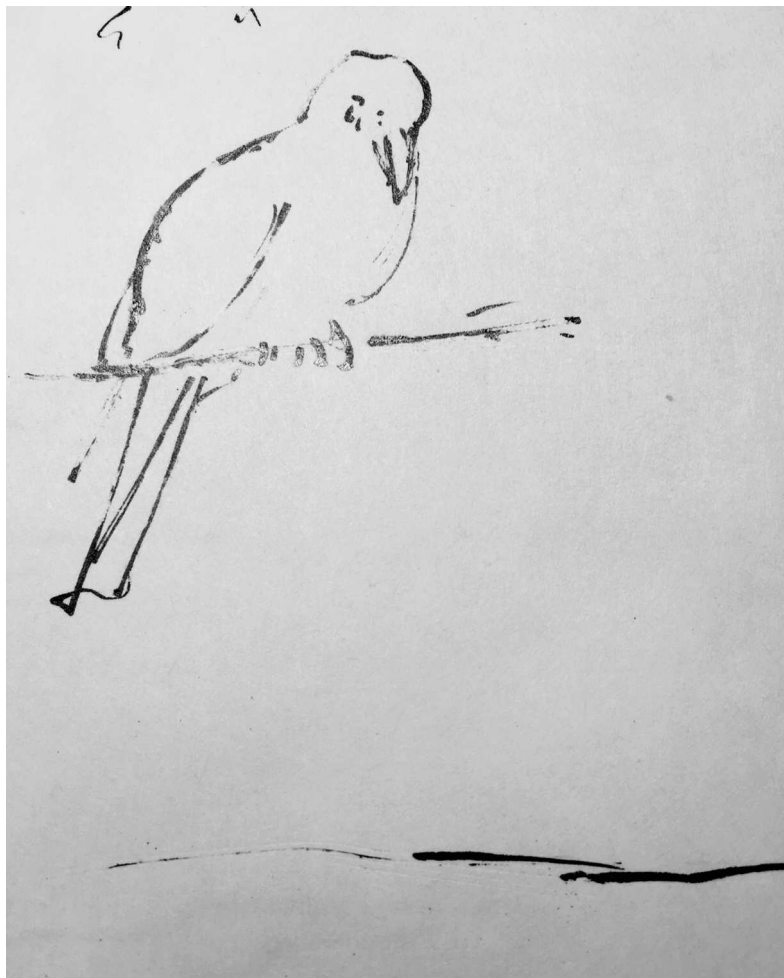
– Boże, jaka jestem pijana – powiedziała półszepsem i ospale blondynka, przechylając się w moją stronę. Dżentelmeńsko pospieszyłem w sukurs jej niedomagającemu błędnikowi, ujmując lewą dłoń jej lewe biodro. Rychło spostrzegłem, że oczy jej osnute są mgiełką zaawansowanego rauszu wywołanego kilkoma szklankami Prosecco z Aperolem lub wieloma kieliszkami drogiej wódki przepijanej sokiem z pomarańczy lub mango.

Wszystko się zgadzało. Prowadziliśmy dialog żywy i radosny. Nasze źrenice rozszerzały się i podobały się sobie. Potakiwała na wszystko, co mówiłem. Zaśmiewała się serdecznie, szczerząc równiuteńkie i bielutkie jak twarożek ząbki. Niczym przymilne kocię, trochę od niechcienia przechylała głowę i muskała mój bark. Uznałem w mig, że to mimowolne łaszenie udzielało lewej mojej dłoni pełnej legitymizacji do opuszczenia się o kondygnację niżej i przywarcia do jej wysklepionej elewacji południowej.

Tymczasem z Huhymcem działał się coraz gorzej. Język jego ledwie był w stanie generować spółgłoski:

– Pieeenna jestee Tyyy – Huhymec wymachując rękami, wyrzucał z siebie zdania na poziomie dopiero co gaworzącego dziecięcia. Jego rozmówczyni była tyleż rozbawiona, co zirytowana.

Od momentu zagajenia minęło ...zawrotne 10 kroków – jednostka czasu stosowana przez piechurów w społecznościach ślimaków gromadnych, którymi się staliśmy. Zasada „spiesz się powoli” materializowała się w praktyce. Mijaliśmy po lewej stronie Piwowarnię Warka. Trochę dalej jakiś uliczny artysta z pochyloną głową, oparty dłonią o poczerniałą fasadę Pijalni Wódki i Piwa ochryple wykrzykiwał na jednej samogłosce żółto-pomarańczowe wspomnienie spożytego pół godziny wcześniej kebaba.



Rys. Maria Komisiewicz

Na tyle korpulentnym, iż przypominał skapciałą szarobiałą futbolówkę oblepioną pierzem. Podkreślę: uderzenie Huhymca było tak nuklearne, że podważało prawa fizyki. Piekielne rzuty wolne w wykonaniu legendarnego Roberto Carlosa wyglądały przy tym jak wierzganie nóżki oseska. Pióra ptaka eksplodowały na prawo i lewo, jakby przyłożono do nich dynamit. Tuman deptakowego kurzu przesłonił widok iglicy Mariackiego. Pióropusz z lotek i sterówek wystrzelił w górę i wirując jak kołowrotki spłynął w kierunku ul. Świętego Stanisława, szare i połyskliwe zielone pierze z szyi ptaka opadły ruchem łódczokwatym na schody baru Kato i gęsto usłały wejście do Browaru Mariackiego.

Ptak wzbudzony prądotwórczą kończyną Huhymca, ani myślał lądować – nabierał wysokości, rozrywając powietrze bezwładnym łopotem, osiągał prawie 4 metry poziomu lotu, rotował, robił salta i piruety jak F16 (Huhymec w szczenięcych latach, podobnie jak ja, lubił „kręcić rogale”, czyli podkręcać piłkę), nił w olśniewającym słońcu jak pół-mityczna amerykańska Aurora, aby pojawić się ponownie, chwycił wiatr w skrzydła, koślawo i niesymetrycznie rozpościerał je w powietrzu. Skrzydlaty denat, osiągnąwszy prędkość przelotową, zawisł jakby na moment w powietrzu kilka metrów za zapiexami TODOJUTRA. Następnie podjął próbę twardego lądowania, wpadając w uzasadnione turbulencje w pobliżu baru Śruba. Runął wreszcie po skosie na kark kilka metrów dalej na wysokości lokalu „Amnezja”, nie próbując nawet ocalić od zapomnienia utraconego pierzastego okrycia. Myślałby ktoś, że oto nastąpił kres jego podróży pośmiertnej. Że nastał koniec delegacji po powietrznym Hadesie. Nic z tych rzeczy. Gołąb pozbawiony profesjonalizmu lądowania (brak wyrowadzenia nóg, rozkładu ciężaru ciała i zarycie dziobem) i pomimo sił tarcia wynikających z nieczystości zalegających na deptaku, kontynuował niezmordowanie szus wzdłuż Mariackiej. Jak ogromna moneta cymborgaja sunął szaleńczo do przodu. Zadarłszy powiekę, tytał lewym okiem na Katofonię i na fioletowy napis Cooler, rozwartym dziobem pochłaniał utracone brzegi pizzy Len Arte, zamiatając dziesiątkowane butelki i puszki, pijając z ich wylotów resztki jęczmiennych kalorii. Zawisły na stalowej linii rozpostartej między Kakofonią a Len Arte spetryfikowany gitarzysta bluesowy niemal nie runął z wrażenia plecami w dół, uświadomiwszy sobie, że dla rozpędzonego obiektu zabraknie długości pasu startowego. I miał rację. Ptak, nie znając umiaru, pruł do przodu z zawrotną prędkością, naruszał rybią eksterytorialność Ambasady Śledzia, docierając do najbliższej przecznicy – ul. Francuskiej. Gołębiowi było zupełnie obojętne, czy poniesie zgon po raz wtóry pod jazgoczącymi kołami samochodów. Arogancko, jakby kpiąc z powagi śmierci, kuprem do góry śmignął na czerwonym świetle, kontynuując swój niemożliwy rajd. Wreszcie na wysokości Zdrowej Krowy zaczął stopniowo wytracać pęd, a nieopodal pizzerii Bara Boo rył już tylko sfatygowanym dziobem i opylonymi pazurami w kolejnych fragmentach kostek brukowych. Wyżyłowawszy ostatnie metry, wpół wypatroszony ptasi nieboszczyk odbił się od pierwszego stopnia Kościoła Mariackiego – vis-a-vis wierzwi świątyni, powracając do swojego pierwotnego bezruchu. Przytwierdzone wysoko do boków kościoła i strzegące jego wejścia, dwa napawające groteskową grozą maskarony, warknęły wściekle, odzegnując go od Domu Pańskiego.

Czytelnik tej historii nie jest w ciemności i domyśli się, że dwie cud-kobiety zdążyły już pierzchnąć z przerażenia po wybruku profanatora zwłok Huhymca. Mi pozostało tylko z wilgocią w oczach odwieść wzrokiem ich czmychające modelowe kibicie i wydusić jakieś rozpaczliwe mitygacje incydentu Huhymca:

Jego usta były wąską kielnią, jego wieczera – barwnym tynkiem ciskany obficie na fasadę kamienicy.

Wzrok nasz pozbawiony podziwu dla tak chaotycznie nanoszonej przez artystę polichromii powędrował nagle na coś, co leżało na deptaku parę metrów od nas. Był to nie dający znaków życia gołąb z zamkniętymi powiekami otoczony delikatnym mazem rdzawej krwi. Moje wstępne oględziny nieszczęśnika pozbawione co prawda fachowej, ornitologicznej obdukcji i prób resuscytacji, wykluczyły go ze świata żywych.

– Jeejku, ale biedny gołąbek. Patrz, Monika – jako pierwsza zareagowała z egzaltacją krewka brunetka.

– Ejjj, ale biedny ptaszek – wtórowała jej przebudzona terminalnym widokiem blondynka. Aby trochę rozluźnić tanatologiczną niezręczność, przywołałem skecz o martwej papudze Monty Pythona. Niestety nasze towarzyszyki z Pomarańczy nie znały ani skeczu, ani nie wiedziały, co to Monty Python.

To, co nastąpiło po empatycznych westchnieniach i nawiązaniu do skeczu, zmroziło nam i tak rozrzedzoną krew w żyłach.

Oto Huhymec z szaleńczym rykiem podbiegł do ptasiego truchła i piorunującym uderzeniem z prawego buta, wytrącił gołębia z pośmiertnej katatonii. Mariacką rozdarł głuchy dźwięk kopnięcia i szelest pór.

– Iiiiiiiiiiiiiiiii! – usłyszałem ogłuszający pisk dziewcząt, którego intensywność wyorała tunel w moim mózgu między prawym uchem a lewym – Gościu, Ty jesteś pierdolnięty!!!

Zanim byłem gotowy ocenić skandaliczny czyn mego kompana, z otwartymi ustami świadkowałem efektywności i efektywności (jak mawiają komentatorzy sportowi) jego uderzenia. Trzeba uświadomić czytelników, że nasz gołąb był ptakiem niecodziennie korpulentnym.



– Dziewczyny, mój kolega jest zalany na śmierć, ale w okresach trzeźwości to porządny i wrażliwy wykładowca akademicki. Sympatyzuje z obrońcami wszelkiej flory i wszelkiej fauny. Kocha ptactwo dolinne i wysokogórskie. Ostro przeciwstawia się wycince puszczy i wspiera aktywistów Greenpeace’u.

Pozostaliśmy sami. Czułem skrajne obrzydzenie do mojego towarzysza, który szczyrzył zęby, rząził pod nosem, cedząc niezrozumiałe baliwernie, napawając się swoim piłkarsko–ornitologicznym osiągnięciem. Czułem współczucie i cikliwość wobec sprofanowanego ciała ptaka, który nie doczekał w spokoju swoich ostatnich chwil, lecz został absurdalnie wytrącony ze swojego katafalku bez podwyższenia. Ktokolwiek był pod wpływem (a każdy był pod wpływem), ten wie, że wrażliwość i uczuciowość potęguje się w takich momentach.

Im dłużej jednak analizowałem pośmiertną aparycję ptaka i jego przedziwną podróż indukowaną wigorem Huhymca, tym bardziej gasły moje emocje, a współczucie ulatniało się jak kamfora. W ich miejsce odzyskiwać zaczęła błysk, pozornie tylko przyćmiona, żarówka mego umysłu. Obudził się we mnie krytyk, cynik i wreszcie śledczy. Postanowiłem przeprowadzić chłodną analizę. Zaczęłem stawiać pytania i wysnuwać wnioski na podstawie zastanych przesłanek.

Co robiły zwłoki gołębia o tej porze na Mariackiej? Musiał wszak wyzionąć ducha niedawno, a więc nad ranem, skoro służby porządkowe lub zarządcy budynków nie usnęły ciała. Czemu nie spędził nocy na grubej gałęzi kasztana jak przykładowy ptasi obywatel? Czemu, świeżo przebudzony, nie hasał o brzasku w spowitych zaranną mgłą grzędzawiskach Doliny Trzech Stawów? Czemu na łonie natury nie toczył kulturalnych pogawędek ze słynącymi z elegancji i błyskotliwości kosami ubranymi w piękne czarne fraki? Skoro był na Marynie, to znaczy, że mógł być pospolitym łajzą i moczymordą. Skoro jego zwłoki leżały od strony ul. Mielęckiego (nota bene, to był dowód bezspreczny że gołąb był samcem), było wysoce prawdopodobne, że nerwowo zapuszczał się w okolice szemranych lokali, omiatając wzrokiem panie kroczące z jasnymi parasolkami bez względu na występowanie opadów atmosferycznych. Jeśli tak było, to miał myśli wszeteczne i był skłonny do grzechu – może cudzołóstwa. Bo czyż nie mógł mieć rodziny? Mógł. Czy czekała na niego w leśnej dziupli porządna i skromna sierpówka z wianuszkciem nie dokarmionych gołębiątek? Czemuż ze swoją latoroślą nie słuchał wieczornej audycji w ptasim radio o godzinie 7 i nie chodził spać o 9 godzinie maks jak Pan Bóg przykazał? Czy zamiast tego uwodził młode, smukłe gołębicę, strosząc szeroko pióra i gruchając niskim barytonem? Czy w wyniku takiego flirtu spółkował z nimi w ocienionych podwórzach kamienic Mariackiej, Śródmiejskiej, Dyrekcyjnej, między ciemnoszarymi bryłami śmietników? Jak czytelnik pamięta, gołąb był ptakiem zażywnym. Z aktywnością sportową był więc na bakier; był żarłokiem, miał wielki spust i wyżerał bez umiaru resztki posiłków spadających z dłoni ludzkich bywalców deptaku. Tusza, którą obrósł nie mogła wziąć się z niczego. Było prawie pewne, że moczył dziób w niedopitych lub wylanych trunkach. Rozdęty

brzuch i kuper, sklezione niechlujne pierze były zapewne takiego stylu życia konsekwencją. Był więc niechlujną ptasią kolubryną, której zabrakło nawet refleksu, aby uniknąć rozjechania przez nadjeżdżający rower lub riksę reklamującą dancing dla milenialsów. Czym się zatem trudnił? Najprawdopodobniej niczym. Wałkonął się, gardząc pracą. Zamiast mozolnie szukać pędraków w piaszczystej glebie Lasu Murckowskiego, próżniaczo wyczekiwał darmowego wikt z miejskich trotuarów. Czy należał do mafii gołębnikowej, a co za tym idzie, czy zdradzał przyjaciół, sprzedając ich właścicielom gołębi pocztowych za ludzkie srebrniki lub garść sfermentowanego ziarna? Czy miał cokolwiek wspólnego z katastrofą budowlaną na Międzynarodowych Targach Katowickich gołębi pocztowych w Chorzowie w 2006? Czy zaniedbując swoje ciało i osłabiając odporność, narażony był na infekcje wirusowe, a tym samym, czy rozsiewał np. ptasią gripę wśród swoich współbraci, a co gorsze, wśród gatunku ludzkiego? Na każde pytanie, na każde spostrzeżenie stawałem zdecydowaną odpowiedź: TAK.

Z śledczego stałem się sędzią i jako sędzia wszystkich instancji orzekłem prawomocnie jedyny słuszny wyrok: „Winy”.

Grzesznik z rodziny gołębiowatych leżał tedy u stóp kościoła, wierni obojętnie mijali rozczochraną padlinę, wchodząc na przedpołudniową mszę. Ani Kościelny, ani celebrans mszy porannej nie kwapili się z wyjściem przed kościół, aby go pobłogosławić lub w nadzwyczajnym akcie miłosierdzia wetkać w dziób ptasiego grzesznika późnionymi wiatry.

Spojrzałem na Huhymca. Wyglądał jak kompletny idiota i niepełnosprawny człowiek, który wciąż okazywał swoją radość, pochylając się nad ptakiem i oceniając dystans jaki pokonał. Pomyślałem jednak: a może przez udo Huhymca bez jego świadomości przebiegł sprawiedliwy, ale miłosierny prąd Pana Boga? A może Huhymec stał się bezwiednym instrumentem boskim po spożyciu tego, co w języku angielskim zwię się „spirit”? Czemu nie dokopał gołębia, naszego brata mniejszego – jak mówi Pismo – do wrót kościoła pod sam ołtarz, skoro dokopał go tak daleko? A może gołąb został wskrzeszony kinetycznym wstrząsem? A może po naszym odejściu, rozkleił dwie powieki, otrzepał się, i wspierając się niezbornie o prawe skrzydło, wspiał się po stopniach i dokuśtykał do ostatniej ławki? A może rysując pazurami lśniąca posadzkę świątyni dobrnął pod sam ołtarz i skruszony legł krzyżem na oczach wiernych? Tego się nigdy nie dowiedziałem. Rozeszliśmy się do domu.

Wieczorem Huhymec zadzwonił do mnie i zamiast „cześć” zachrypniętym głosem rzekł:

– Stary, nic nie pamiętam. Co my robiliśmy na tej Marynie?

Zanim chciałem zacząć zdawać mu relację, pochwalił się, że był u rodziców na kolacji. Matka „udusiła” mu pyszne gołąbki i połała je obficie czerwonym jak krew sosem pomidorowym.

Dodał, że bardzo mu się odbija kolacją.

GRZEGORZ WILCZEK – absolwent filologii angielskiej. Przez kilka lat lektor języka angielskiego w śląskich szkołach prywatnych i na uczelniach wyższych. Następnie tłumacz etatowy w wiodących firmach z branży motoryzacyjnej i hutniczej. Od dziesięciu lat pracuje w branży informatycznej, obecnie jako kierownik ds. rozwiązań technicznych infrastruktury IT dla klientów zagranicznych w biurze projektowym. W trakcie studiów publikował felietony do gazetki studenckich (np. dla magazynu dla studentów „Suplement” w Katowicach i „Kampus” w Rybniku). Miłośnik języków obcych, spotkań międzynarodowych, wiecznie ciekawy świata, ceniący poczucie humoru. Nałogowo uprawia sport. Od ponad sześciu lat na stałe związany z Katowicami.



PO-GWARKI PROFESORA



Dzieła wszystkie: zebrane czy zebrane?

(Norwid – Miciński – Żeromski)

JERZY PASZEK

Wdobrze prosperujących społeczeństwach kultura nie bywa umieszczana na poślednim miejscu. A jeśli kultura ma się wzmianić, to i literatura na takiej zasobności korzysta. Mogą to być bardzo banalne zdania, ale wcale nie muszą! Przez całe długie życie zastanawiałem się, dlaczego tylko w momentach groźnych i apokaliptycznych (dla mnie takim okresem była druga wojna światowa i bombardowanie mojego domu przez napastników i – na początku 1945 roku – alianatów) powracamy do skarbu narodowego, jakim jest dziedzictwo kulturalne. Pamiętam, że tuż po wojnie ambitnie drukowano 60 tomów dzieł Henryka Sienkiewicza (1948-1955), 52 tomy Elizy Orzeszkowej (1947-1953), 29 tomów Bolesława Prusa (1948-1950), 16 tomów Adama Mickiewicza (1948-1955), 12 tomów Juliusza Słowackiego (1949) czy 24 tomy Stefana Żeromskiego (1947-1955, t. 1-23, 26). Nie zawsze było to łatwe i oczywiste, bo już zapis bibliograficzny, dotyczący *Pism Żeromskiego*, świadczy o tym, iż nie opublikowano wtedy ze względów cenzuralnych wszystkich utworów autora *Snobizmu i postępu* czy *Na probostwie w Wyszkowie* (na marginesie: wspomnienie *In memoriam Tadeusza Micińskiego* mogło pojawić się dopiero w *Dzielach* z roku 1963, a esej *Snobizm i postęp* oraz reportaże z wojny polsko-sowieckiej *Na probostwie w Wyszkowie* – ukazały się w 26 tomie *Pism zebranych* z roku 2017).

Dziś nie mamy kłopotu (pomijam wyjątkowe sytuacje) z dotarciem do tekstów klasyków, ale nie wszystkie edycje bywają staranne i poprawne: najlepszym wyjściem jest przygotowanie wydania krytycznego, w którym rozwiązuje się fundamentalne problemy edytorskie, takie jak: wybór podstawy przedruku, ustalenie właściwego brzmienia tekstu; wskazuje się tu również historię powstawania utworu, a nawet dzieje przyjętych

i odrzuconych emendacji, czyli ulepszeń i zmian, proponowanych przez kolejnych badaczy. Chcę przybliżyć czytelnikowi te interesujące zjawiska – niekiedy: iście detektywistyczne zasadzki i pułapki – na przykładzie trzech książek: wybranego tomu *Dzieł wszystkich* Cypriana Norwida, *Pism rozproszonych* Tadeusza Micińskiego oraz *Pism zebranych* Stefana Żeromskiego.

Norwid doczekał się jeszcze w latach 1971-1976 wydania *Pism wszystkich* w 11 tomach, opracowanych przez Juliusza Wiktora Gomulickiego. Oznacza to, że podjęta przez Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II inicjatywa przygotowania po 30 latach nowej edycji *Dzieł wszystkich* sztukmistrza spod Radzimina (zaprojektowana na 17 tomów, z których do 2018 roku mamy już 7 pięknych książek) jest udaną próbą ulepszenia poprzedniej publikacji. Takie meliorowanie i korygowanie pomyłek i niedopatrzeń wcześniejszego badacza jest możliwe dzięki temu, że nad edycją pracuje zespół specjalistów, mający w zasadzie nieograniczony czas na swoje przemyślenia i cyzelowanie brzmienia tekstu Norwidowego. Przykład: Józef Fert w roku 2004 wydał *Vade-mecum* (czyli istotną część drugiego woluminu zapowiadanych *Wierszy*) w tej samej oficynie KUL, ale wcale nie śpieszy się z drukiem całego dwuczęściowego bloku liryków! Istnieje w Internecie żywy i rozdyktowany Salon i blog badaczy, miłośników i oponentów twórczości Cypriana Norwida (norwidiana.blogspot.com), pomocny w komentowaniu wydarzeń historycznych (realiów) w biografii i dziełach poety. W końcu najważniejszy jest fakt, iż podjęto decyzję o krytycznym opracowaniu tekstów, czyli ukazywaniu wszelkich różnic ortograficznych bądź interpunkcyjnych w oryginalnych i kolejnych publikacjach utworów Norwida.

Nie najmniej istotną kwestią jest rozszerzenie wymiarów bibliologicznych edycji: Gomulickiemu wystarczyło 11 tomów, a zespół pod kierownictwem Stefana Sawickiego planuje o 6 tomów więcej! Przynosi to oczywiste i wymierne korzyści! Jedną z nich będzie ozdabianie poszczególnych utworów „przynależnymi” im ilustracjami. Jest to wspaniale uwidocznione w *Klary Nagnioszewskiej samobójstwie. Tragedii*, gdzie cała historia mieści się na trzech stronicach, posiadających rysunki piórkami poety inkorporowane i wciągnięte w wydrukowaną narrację: zdaniu „gdy nóż brała w rękę” towarzyszy obrazek kuchennego noża (Cyprian Norwid: *Dzieła wszystkie*. T. VII: *Proza*. [cz.] I. Oprac. Róścisław Skręt. Lublin 2007, s. 157). Drugą korzyścią, moim zdaniem, jest tu wygodniejszy dla czytelnika podział obszernego tomu VI (w oprac. Gomulickiego) na mniejsze woluminy (nb., tomy VI i VII edycji wcześniejszej rozmieszczone mają być w dwu działach: trytomowej podserii *Proza* oraz dwutomowej – *Notatki*).

Dzięki tym edytorskim zabiegom, czytając omawiany tom spotykam i porównuję najwcześniejsze utwory prozatorskie Norwida z tekstami przedśmiertnymi. Opowiadanie *Laskawy opiekun, czyli Bartłomiej Alfonsem* zostało ogłoszone w roku 1840 (Norwid urodził się w roku 1821) w „Przeglądzie Warszawskim Literatury, Historii, Statystyki i Rozmaitości” (t. I, z. 4, s. 369-395), natomiast tzw. „tetralogia włoska”, czyli nowele: *Stygmat*, „*Ad leones!*”, *Tajemnica Lorda Singelworth* oraz *Ostatnia z bajek*, pochodzą najpewniej z dwu końcowych lat życia poety, czyli 1882-1883. Norwid na sprzedaż tetralogii chciał zarobić (by opłacić wyjazd na Południe, gdzie mógłby wrócić do zdrowia), więc starał się podjąć interesujące tematy i pisać nie „hieroglifami” (co mu stało zarzucano!), lecz dowcipnymi słowami. Gdy czytam początkowe dwa zdania *Stygmatu*, to muszę dostrzec inwersję składni i koncepty etymologiczne, które nie zachęcają do lektury: „Podobno, że z zadań czynności człowieka najniewinniejszym i najpiękniejszym, a pewno, że najciekawszym w znaczeniu swoim, jest zadanie te: żeby pójść **zobaczyć się z kim** – lub od-zobaczyć się – **zrobić wizytę**”. Kapłaństwo w tym jest człowieczeństwu przyrodzone i jest potoczny obrządek ceremoniału w naturze życia leżący” (Norwid: *Dzieła wszystkie*, op. cit., s. 173, podkr. C.N.).

Zupełnie inaczej – prościej i składniowo przejrzysto – wygląda przemowa bogatego pułkownika Jana Drążkowskiego (nazwisko nieszlacheckie chyba?) do ubogiego Bartłomieja Sochy, którym posesjonat miał się opiekować, gdyż otrzymał „uciulany grosz” od ojca tegoż Bartłomiejka (nie Bartkiem go bowiem nazywano, lecz tym poważniejszym – dwuznacznym? – zdrobnieniem): „Synu mój, ja wyszukałem w metryce twojego urodzenia, że cię nie Bartłomiejem, ale Alfonsem na pierwsze imię ochrzczono... chodź więc w moje objęcia, uszczęśliwiony młodzieńcze, albowiem w dniu dzisiejszym nie tylko odzyskałeś klejnot rodzinny, ale nabyłeś jeszcze niepospolitego **imienia** i znałeś jeszcze niepospolitego **imienia** i znałeś w świecie. Alfonsie, kwita z nami!” (op. cit., s. 30, podkr. C. N.). Uważam, że lepsze i śmieszniejsze (przez lży!) jest to debiutanckie i prawie autobiograficzne opowiadanie niż wysilone nowelki z cyklu „włoskiego”. Tu też dostrzegam grę słów w wyrazie „imienia” (po rosyjsku: „majątek, mienie”) i „Alfonsie”, co już wtedy miało rubaszne konotacje. Dygresja: „zadosyćczy-



nienie” (op. cit., s. 21) każdemu skrabliście przypomina o słynnym, rzadkim rozkażniku: „zadosyćczyńmyż” z najlepszych kompozycji gry (w) scrabble!

Z twórczością Tadeusza Micińskiego jest zupełnie inaczej niż z dorobkiem Norwida. Niby dwaj tak samo „hieroglificzni” poeci, ale młodopolańcin nie ma swojego klanu w Internecie. Książki o Micińskim nie są liczne, a jego badaczy można policzyć na palcach jednej ręki! Są to przede wszystkim: Jerzy Tymecki, Teresa Wróblewska-Kłossowicz, Wojciech Gutowski, Jan Prokop, Tadeusz Linkner. Poprawnie wydano wiersze i poematy autora powieści pt. *Nietota* (Prokop, Gutowski), cztery tomy dramatów (Wróblewska-Kłossowicz; pozostało do oprac. tom piąty), jedną powieść (Gutowski oprac. *Xiędzka Fausta*). Teraz pojawił się w okazałej formie poligraficznej tom pierwszy *Pism rozproszonych* pod red. Marcina Bajki i Jarosława Ławskiego: *Eseje i publicystyka. 1896-1908*. Wstęp, oprac. tekstów i przypisy: Marcin Bajko i Wojciech Gutowski. Białystok 2017, s. 576. Całość ma się składać z czterech tomów, a w tym ostatnim pojawiają się *Poezje rozproszone. 1896-1918* w roku 2019.

Teksty Micińskiego przeszły do legendy polonistycznej, jako skrajnie niezrozumiałe i nie do zrozumienia. Co prawda, nie trzeba znać sanskrytu, by czytać te wiersze i prozę (jak domagał się od swojego doktoranta prof. Stanisław Zabierowski), ale języki europejskie, a w tym i hiszpański (oraz rosyjski), doskonale. Trwa na przykład dysputa, czy tytuł dramatu Micińskiego *Noc rabinowa* oznacza porę wietrzną i burzliwą, czy też – czerpiąc ze skojarzeń białoruskich, gdzie „rabina” to „jarzębina” – chodzi o noc „jarzębinową” (T. Miciński: *Utwory dramatyczne*. T.I: *Noc, Noc rabinowa, Kijomori, Książ Patiomkin* [...] Wybór i oprac.: Teresa Wróblewska. Kraków 1996, s. 340). Gdy poeta wymienia pradawne polskie plemiona – „wyginęli Wenedzi, Serbowie, Lutycy, Retrzanie, Wilcy, Aisty, Rugianie” (T. Miciński: *Pisma rozproszone*, op. cit., s. 279) – to pewnie ma na myśli m.in. tajemnicze (także dla komentatora) plemię Bocianów, gdyż to właśnie znaczenie ma po rosyjsku słowo „aist”. Nie wiem, dlaczego epitet złożony „tysięczno złota muzyka” (op. cit., s. 319) musi być pisany rozłącznie? Do objaśnienia słów „sunt lacrimae rerum” (op. cit., s. 407) dodałbym informację, iż słynny ten cytat pochodzi z pierwszej księgi *Eneidy* Wergiliusza. Ale nawet czytając zasadniczo dobrze i poprawnie odtworzone teksty esejów młodego publicysty, stale mamy wątpliwości, czy nadążamy za patetycznym stylem autora manifestu *Do źródeł polskiej duszy* (odczyt z 1903 roku):

„I Bogu przed tron rzucić możemy, jak gwiazdziste sztandary zdobyte nad piekłem, poezję naszą, która dosięgła Himalajskich wyżyn w *Improwizacji*, w *Irydionie*, w *Królu-Duchu*, w *Popiołach*.”

Stajemy przeto nie jak gołębnice, lecz jak węże – wzdęte, nieme i uzbrojone żądłem

śmierci – wchłonawszy cały ból ziemi, po której rzuceni w proch pełzaliśmy pierśią – wracamy przed wrota olbrzymie, śpiżowe odzyskanego Raju, gdzie błyszczą gwiazdy, gdzie szumią oceany, gdzie są dziewicze lasy wiary nieśmiertelnej i Rozjaśnionej Tajemnicy” (op. cit., s. 233).

Jak już wspominałem, współcześnie wychodzą *Pisma zebrane* Stefana Żeromskiego. Od wydrukowania pierwszego tomu z *Opowiadaniem* (1981) do roku 2017 wydano 32 książki z 40-tomowej całości: brak tylko *Dzienników* (t. 27-33) i suplementowego tomu, mającego przynieść nowo odkryte listy pisarza, a przede wszystkim korekty błędów, jakie zakradły się do opublikowanych już woluminów. Dlaczego te kolekcje prof. Tadeusz Klak określił (w rozmowie sprzed ponad 30 lat) „pismami [wy] zbranymi”? Miał chyba na myśli i powolność ukazywania się kolejnych tomów w okresie stanu wojennego, ale i walkę z cenzurą (w omawianym czasie w drukach podziemnych wielokrotnie ukazywał się reportaż *Na probostwie w Wyszkowie*; sam w „Głosie Śląsko-Dąbrowskim” zamieściłem ten tekst z krótkim komentarzem). Nie przewidział Klak, iż z powodów finansowych na początku XXI wieku wydawnictwo „Czytelnik” zrezygnuje z publikowania tomów z powieściami, dramataми, publicystyką i dziennikami pisarza, koncentrując się na edycji 6 tomów *Listów* w opracowaniu Jerzego Zdzisława Adamczyka (t. 34-39 wydano w latach 2001-2010). Dopiero w drugiej dekadzie stulecia ukazała się nakładem Instytutu Badań Literackich podseria „Pisma społeczne i wspomnienia” (t. 24-26, Warszawa 2015-2017, oprac. J.Z. Adamczyk), a także: *Sułkowski. „Ponad śnieg bielszym się stanę”* (t. 21, Warszawa 2016, oprac. Grażyna Legutko), *Walka z szatanem* (t. 16-18, Warszawa 2014-2016, oprac. Beata Utkowska), *Dzieje grzechu* (t. 12-13, Warszawa 2015, oprac. Elżbieta Jaworska), *Wisła. Wiatr od morza. Międzyzmorze* (t. 5, Warszawa 2012, oprac. Zbigniew Goliński), *Biała rękawiczka. Turoń* (t. 22, Warszawa 2017, oprac. Justyna Kołodziejczyk, B. Utkowska).

Należy dodać, iż początkowo redaktorem naczelnym *Pism zebranych* był Goliński, a po jego śmierci (2008) stery kapitańskie objął Adamczyk, przygotowujący do druku „trylogię morską” Żeromskiego (maszynopis edycji sprzed roku 2000 został przekształcony w wydruk komputerowy dopiero w 2012 roku pod okiem Adamczyka). Trwają prace nad *Dziennikami*.

Wydawnictwo KUL uprzejmie prosi czytelników *Dzieł wszystkich* Norwida o wsparcie swej fundacji w chwili rozliczania tzw. „pitów”, czyli corocznych sprawozdań finansowych. Wydawcy *Pism rozproszonych* Micińskiego uzyskali grant, tak jak i IBL na *Pisma zebrane* Żeromskiego. Zebranie wszakże zaczęło się jeszcze w XX wieku, gdy „Czytelnik” zrezygnował z publikowania podserii „Bruliony”, czyli m.in. z utrwalonych w ma-

szynopisie (sporządzonym przez prof. Golińskiego) rękopisów *Popiołów*. Próbie ominięcia tej nieszczęsnej decyzji podjęła wydawczyni *Białej rękawiczki* (t. 22 *Pism zebranych*). Oto mamy dziś do dyspozycji obok brulionowego rękopisu tego dramatu-kryminału aż dwa czystopisy, z których jeden był wyzyskany w dotychczasowych pracach edytorskich, a drugi – przechowywany w dwu zeszytach w zbiorach Biblioteki Narodowej – nie był szerzej dotąd znany. Justyna Kołodziejczyk doszła do wniosku, iż pisarz, przepisyując dwukrotnie własne bruliony, tak często przekształcał brzmienie tekstu swego manuskryptu, iż należy w zasadzie przedrukować oba czystopisy. Jest to smaczna i pyszna gratka dla badaczy stylu i języka Żeromskiego! Podam kilka przykładów takich równoległych ścieżek narracji w omawianym kryminalnym dramacie: „mur cmentarny z obłupanym **daszkiem** z czerwonej dachówki [...] Szczyt słupa nakryty małym **dachem**” (s. 7) – „mur cmentarny z obłupanym **daszkiem** z czerwonej dachówki [...] Szczyt słupa nakryty małym **dachem**” (s. 7) – „mur cmentarny z obłupanym **daszkiem** z czerwonej dachówki [...] Szczyt słupa nakryty **daszkiem**” (s. 195); „Kisnę tu, **oczekujący** na was” (s. 7) – „Kisnę tu, **czekający** na was” (s. 195); „To ci Magda dała na termin moje **grypsy**?” (s. 8) – „To ci Magda dała na termin moje **słówko**.” (s. 196); „W **gawiedzi** ludzkiej” (s. 11) – „W **motłochu** ludzkim” (s. 198, podkr. J. P.). Nie są to wielkie zmiany, ale można z nich wywnioskować, jak szeroka była paleta środków stylistycznych pisarza! Jedno, co mnie zastanawia: skąd bandziór (anagram: zbrodnia!) Rypski w jednym czystopisie (s. 8, 9) i w drugim (s. 196) wziął rzadki wyraz „tum” – „Tum was, braciszku, zegnał”? Czyżby z gry słów *Żywych kamieni*, gdzie raz chodzi o katedrę, a innym razem o skrót określenia „tu jestem”? Tak lektury autora wpływają na elokwencję podejrzanych „elementów”!

W poincie moich wywodów chcę stwierdzić, iż wszelkie porządne i pożądane dzieła zebrane pisarzy (i te korzystające z grantów, i te odwołujące się do datków czytelników) ukazują się powoli, bez zbędnego pośpiechu, który jest tu niewskazany; zobacz niechlujne edycje jubileuszowe Żeromskiego: *Utwory epickie Stefana Żeromskiego wydane w dziesiątą rocznicę odrodzenia Państwa Polskiego (Wisła. Międzyzmorze*. Warszawa – Kraków 1929, s. 102); *Utwory dramatyczne Stefana Żeromskiego wydane w dziesiątą rocznicę odrodzenia Państwa Polskiego (Turoń*. Warszawa – Kraków 1929, s. 152); *Utwory publicystyczne Stefana Żeromskiego wydane w dziesiątą rocznicę odrodzenia Państwa Polskiego (Bicze z piasku. Projekt Akademii Literatury Polskiej. Inter arma*. Warszawa – Kraków 1929, s. 124 + 58 + 76, czyli składanka trzech oddzielnie wydanych poprzednio druków). Grunt, że dzieła zebrane wychodzą i to solidnie, precyzyjnie i gruntownie opracowane! Hasłem takich edycji winny być słowa: Kompletnie i kompetentnie!





Czy poezji (jeszcze) potrzebny jest człowiek?

KSIĄŻKI

KATARZYNA FRĄKOWIAK

Drugi tom Moniki Sadowskiej *Naczynka i demencje* zwraca uwagę czytelników swoją hybrydyczną budową. W notatce zawartej na ostatniej stronie czytamy: „[...] to szczególnie zbiór wierszy częściowo napisanych przez człowieka, a częściowo mechanicznie wyklikanych poprzez akceptowanie podpowiedzi słów proponowanych przez słownik w komunikatorze internetowym Messenger”. Część wierszy napisana została zatem zgodnie z metodą *flarf*, którą jest tworzenie poezji z gotowych treści przestrzeni internetowej. Częste źródło inspiracji twórców *flarf poetry* to wyszukiwarka Google czy Wikipedia, Sadowska idzie o krok dalej i wykorzystuje Messenger, najczęściej obecnie używany komunikator internetowy.

Chcąc odpowiedzieć na pytanie postawione w tytule, proponuję rozpocząć lekturę tomiku od drugiej jego części. Zawiera ona wiersze „messengerowe”, „wspomagane” sztuczną inteligencją internetowego słownika. Utwory te zaprzeczają mocy słowa, podkreślają jego nieskuteczność oraz abstrakcyjność. Dominują w nich powtórzenia. Zwielokrotnianie tych samych zwrotów wzbudza w czytelniku uczucie swojskości – można odnieść wrażenie, że z utworami tymi albo przynajmniej z ich fragmentami już gdzieś miało się styczność. Wiersze oparte na powtórzeniach swoją refrenicznością przypominają piosenkę. Chcąc jednak wsłuchać się w nie lepiej, spostrzec można, że poszczególne wersy znaczą tylko w izolacji – jako całość nie niosą żadnego przekazu. Poetka formułuje komunikaty niespójne, między którymi nie ma porozumienia. Oto jeden z przykładów: „Cześć Girona / w dniu / dzisiejszym świecie / i w długą / i nie tylko w ten sposób / może mu zostać zwrócona jego jednostkowa historia / z tym nie możemy się ich pozbywać / w dniu / w dzisiejszym świecie / i w długą / i nie tyl-

ko w ten sposób / może mu zostać zwrócona jego jednostkowa historia”. Każdy z wersów znaczy tu tylko wtedy, kiedy wydzieli się go z całości utworu. Pytanie: Czy takie pisanie wierszy ma sens? Ufam, że dzięki tym poetyckim zabiegom w „messengerowej” części tomu zostało zawarte jego główne przesłanie, obrazujące stan dzisiejszej komunikacji międzyludzkiej. Zamieszczone w wierszach frazy i sformułowania, jak również sama metoda komponowania liryków przywodzą na myśl nowomowę okresu PRL rodem z *Uniwersalnej ściągaczki zebrańowej*. Wiersze te (a może lepiej użyć określenia „wierszowane automatyzmy”), podkreślają pustkę słowa, która towarzyszy nam w codziennym porozumiewaniu się.

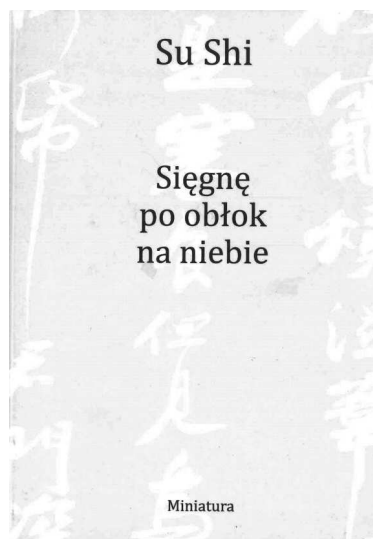
Tom Sadowskiej nie jest jednak tylko krytyką komunikacji XXI wieku. Autorka stara się odnaleźć dla niej alternatywę. Szukając nowego sposobu porozumiewania się, kaligrafuje z wolna litery niezbędne do utworzenia nowego języka. Wyniki swojej pracy zawarła w utworach pierwszej części *Naczynka i demencje*. Powraca w nich – tym razem wyrażony jednak bardziej osobiście – brak wiary w słowa zwykłego człowieka, ale i poety: „zadzroszczę Teresie / napisała czterdzieści dwa wiersze / a ja tylko kilka / na broszurkę / i w dodatku wcale niespiesznie / nie mam słów / nie mam lepu żeby łapać je jak muchy / czy też inne latające przekleństwo”. Według poetyckiego projektu Sadowskiej słowa przestają spełniać swoją podstawową funkcję, czyli nie otwierają na drugiego człowieka, nie ułatwiają poznania samego siebie: „[...] Ty opowiadałaś, że chmury od spodu są całkiem płaskie / [...] / a ja przecież nigdy tych chmur nie dotknę / [...] ja tu zostaję na tej łące zupełnie sama / zawsze / kiedy mi opowiadasz”. Ludzie portretowani w wierszach podobni są do aktorów znużonych odgrywaniem tych samych ról i znanym na pamięć scenariuszem, zdobyć

się na szczerłość potrafią jedynie nieliczni, jak tytułowy *kaskader*, który: „[...] powie / wszystko co / mówiąc między nami / wciąż pozostanie / niewypowiedziane”. Człowiek w tych utworach staje się samotny: „żyłam w błędzie / miałam jedno małe i bardzo brudne okno / [...] / żyłam w błędzie / i teraz sama będę musiała wszystko naprawić / choć nie wiem / naprawdę nie mam pojęcia / jak się osusza zalany palnik”. Wypowiadane codziennie słowa stają się dla człowieka zbyt oswojone, a nadużywane tracą pierwotne znaczenie. To właśnie poza nie chce wyjść podmiot liryczny, który pragnie być wytracony z bezpiecznej przestrzeni słowa i doświadczać tego, o czym mówi lub pisze: „[...] krok trzeci / w przestrzeni / bez żadnego znajomego przedmiotu / bez punktów odniesienia i osi symetrii / to właśnie w kroku trzecim widać najlepiej / jak spód stóp moich zaczynają powoli wypływać litery / pojęcia znaczenia siatki”. Świat doświadczany na własnej skórze, wytracony z równowagi „pisze się” na nowo, w wersji zaktualizowanej, bliższej emocjom jego użytkowników.

W wierszu *spacer* istotnym jest podkreślenie związku słowa z cielesnością, które może być kluczem do odczytania całego tomu, podmiot mówi: „[...] spod stóp moich zaczynają powoli wypływać litery / pojęcia znaczenia siatki”. To więc ciało stanowi początek słowa. Podmiot liryczny pragnie odkryć przed drugim człowiekiem nie tylko ciało: „Więc zdjęłam płaszcz / rajstopy / a gdy to nie wystarczyło / otworzyłam zębra przed Twoim wzrokiem / aż / wylokłam się na drugą stronę”. Obnażenie ciała, nie stanowi jedynie przejawu więzi erotycznej, a jest chęcią przeniechania samego siebie, przedstawienia się od strony „bez nitów guzików zdobien”, wolną od wpływów kultury, zwróconą ku naturze i tłumionym dotąd uczuciom. Ciało ma tutaj większą moc niż słowo, bo uruchamia zmysł dotyku, który staje się głównym narzędziem postrzegania rzeczywistości i człowieka: „chciałabym abyś myślał o nas / jak o kolorowej lepkiej masie / tej co ciepłym palcem daje się formować i co zostawia na nim barwne ślady”. Relacja z drugą osobą zostaje porównana tu do substancji, której łatwo nadać pożądany kształt. Taka metaforyka pokazuje, że można zmienić to, co stałe, niezmiennie i nienaruszalne. Owa plastyczność ma również słabe strony. Plastelina to materia nietrwała. Rzeźbę z niej wykonaną, co prawda dużo prościej uformować, ale i znacznie łatwiej zniszczyć. Charakteryzuje ją kruchość, podobnie jak egzystencję człowieka.

Naczynka i demencje poprzez skontrastowanie dwóch zupełnie różnych propozycji poetyckich pokazują, że poezja bez człowieka obejść się nie może. Próbuje ona co prawda mu się wymknąć, ale bezskutecznie. Czy Monika Sadowska zdoła odnaleźć nowe słowa i język sprzyjający wyrażaniu tego, co autentyczne? Postawiła sobie niezwykle trudne zadanie. W tomie poczyniła jednak ku temu pierwsze kroki, a deklaracja zawarta w wierszu *spacer* pozwala żywić nam nadzieję, że w końcu się uda: „[...] wiąże przyszłość z literaturą / choć raczej może / płacząc niezdarnie małe supełki pamięci / o tym, że kiedyś / skoro składam się z języka to obrócę się w język”.

Monika Sadowska: *Naczynka i demencje*. Mamiko, Nowa Ruda 2018, s. 50.



„Sięgnę po obłok na niebie”

KSIĄŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

Sięgnę po obłok na niebie to kolejna odsłona poezji chińskiej przygotowana przez Marianą Kisiela. Tym razem tłumacz pochyła się tylko nad lirykami Su Shi (1037–1101) z dynastii Song. „Jako cesarski urzędnik – czytamy we wstępie do książki – był przeciwnikiem reform, jakie chciał wcielić w życie Wang An-shi [...], poeta, filozof, teoretyk literatury i pierwszy minister cesarza Shenzonga [...]. Za bunt Su Shi został skazany na wygnanie do prowincji Hubei” (s. 5). Twórca ten podziela więc los większości poetów-urzędników Tang i Song, których wiersze znamy już z dwóch poprzednich antologii poezji chińskiej Kisiela: *Z księżycą nie spuszczaam wzroku...* (2017) oraz *Wiatr kołysze lotosy...* (2018). Tłumacz, poświęcając osobną książkę tylko poezji Su Shi, podkreśla, że jego wiersze nie tylko „na-leżą do pereł klasycznej poezji chińskiej” (s. 5), ale także – co wyróżnia je na tle utworów innych poetów – przywiązują one wielką wagę do metafory, „do takiego łączenia słów, by nie żywiły się wyłącznie realistycznym kontekstem, ale odrealniały nieco rzeczywistość” (s. 5). Imponująca jest także liczba tekstów napisanych przez Su Shi. „Jego dorobek – podaje Kisiel – liczy około cztery tysiące utworów”. Sam tłumacz w swoim wyborze sparafrazował dwadzieścia cztery liryki. Większość z nich składa się z trafnie oddających tematykę wierszy Su Shi elegijnych dystychów.

Poeta, nazywając siebie „bezdolnym pielgrzymem” (s. 9), opisuje trudne doświadczenie tułaczki, tęsknoty i samotności. Każde odwiedzenie czy przypadkowe spotkanie z drugim zawsze kończą się w tych utworach dotkliwym pożegnaniem. Poeta za każdym razem szczegółowo je opisuje: *Zegniam się z przyjaciелеm u źródła bodhisattwy* (s. 14); *Odpro-wadziłem gościa i niecierpliwie spaceruję nad rzeką* (s. 16); *Odpro-wadzam przyjaciela, udającego się do obcej kra-jiny* (s. 44). Towarzyszenie temu, który za chwilę ma odejść nie wiadomo na jak długo, jest przedłużeniem jeszcze o parę chwil wspólnego

bycia, zapewnieniem o obecności drugiego już po rozłące. Tylko takie wsparcie i taki podarunek może dać Su Shi temu, który musi odejść. Poza serdecznością pożegnania niczego zresztą innego on sam nie ma: „Wyprawiam cię bez wina, odchodzisz z pustą torbą” (s. 14).

Są w tych wierszach oddalenia trudne i trudniejsze. Do tych drugich należy rozłąka z bratem osoby mówiącej. Twórca, opisując ją, próbuje opowiedzieć swoją prywatną historię: „Zostałem zesłany na Hainan, a mój brat Su Zhe do Leizhou. Udało nam się spotkać i wspólnie pojechaliśmy do miejsca jego osiedlenia, a po jakimś czasie rozstaliśmy się na brzegu morza” (s. 26). Krótki czas spędzony razem jest świętowaniem wzajemnej obecności, ale też być może ostatnią okazją do rozmów i picia. Ale rozpacz, którą wzbudza myśl o pożegnaniu i kolejnej rozłące, przerasta to wcześniejsze szczęście spotkania: „I znowu – o, jak smutno! – / Rozłączy nas ta kolaska” (s. 26). Oddalenie wywołuje także wspomnienia, staje się powodem powrotów twórcy do przeszłości: „Rozmyślałem przy złym świetle / Wspomina-m młode lata: // Ja z bratem, w nocnym deszczu / wciąż razem, nierozłączni” (s. 23).

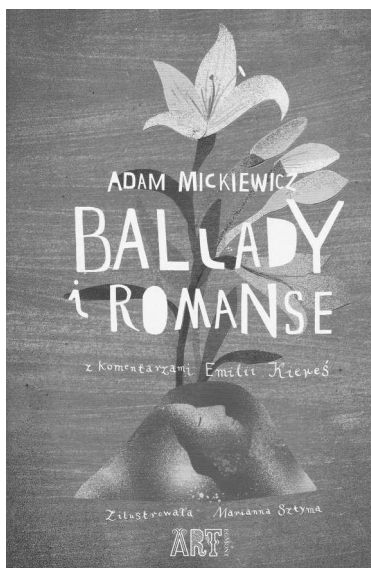
Su Shi, eksponując w wierszach temat wygnania, utraty „rodzinnej strzechy” (s. 42), braku domu i bliskich odkrywa swoją naturę melancholika. Samotność, która szczególnie doskwiera osobie mówiącej nasila się przede wszystkim wieczorową porą: „Nie śpię, siedzę przy oknie / i całkiem byłbym sam, // Gdybyśmy towarzyszy / nie lgnęły do mej latarki” (s. 10). Poeta cierpiąc na bezsenność obserwuje „cienie”: „Pełzną powoli, wchodzą / na ja-spisową świątynię, // warstwami: jedna po dru-giej / zbijają się w jedną plamę” (s. 11). Przypominając sennie mary, upiory czy widma, wywołują w „ja” lirycznym niepokój, lęk, potęgują jego poczucie osamotnienia. W scenę nocy wpisuje się także księżyc – jeden z naj-wierniejszych towarzyszy Su Shi w „nocnej zadumie” (s. 40), ale też miara czasu, symbol

nocy, snu, marzeń sennych, opieki, szlachetno-ści, duszy, wrażliwości, uczuć melancholii, tęsknoty itd. Poeta przeciwstawia blask księżyca nocnym koszmarom. Personifikując go, tworzy jego osobliwe, przyjazne człowiekowi obrazy: „Patrząc na niebo. Księżyc / sunie w chmurach jak po krze” (s. 17), „Nad ranem wiatr zaświstał, / Zapewne, strasząc księżyc” (s. 33), „Drzwi otwarłem i widzę: / W deszczu kąpie się księżyc” (s. 40), „Księżyc w wierzbie promienie / Uplata w pajęczynie”. Staje się on odzwierciedleniem tęsknot osoby mówiącej, która chciałaby go do siebie przybliżyć i dotknąć: „Księżyc upiększył niebo / narysowa-ną rzeką // [...] Chwyć się mocno wiatru / księżyc pogładzę ręką” (s. 13).

Su Shi to poeta w nieustannym ruchu. Przemieszczając się łódką, obserwuje góry: „kręty szlak, / wysoki stok kamienisty”, ale również „ledwie widocznego w oddali” człowieka (s. 19). Chociaż osoba mówiąca woła go, ten nie słyszy. Ogrom gór, które „są jak swawolne ogiery” (s. 19), przytłacza poetę i tylko utwierdza go w samotności. W innych wierszach Su Shi, wędrując wspina się na nie: *Od-wiedzam świątynię na górze Tai Shan* (s. 15); *Nocuję na Górze Dziewięciu Świątych* (s. 17); *Wchodząc na górę Zachmurzonego Smoka* (s. 39), [...] *weszliśmy na szczyt do altany, a wieczorem zawitaliśmy do Świątyni Opada-jących Kwiatów* (s. 33). Uwagę czytelnika zwraca-jąc osobliwe nazwy własne tych miejsc. Poeta, poszukując w nich swojego *sacrum*, rozczarowuje się. Wspinaczka doprowadza go jedynie do „Białego Boga w świątyni”, który „nie wie, co znaczą troski” (s. 15). Tę niewiedzę, obojętność Absolutu podmiot konfrontu-je z trudną rzeczywistością zwykłych ludzi, któ-rych praca z powodu przedłużającej się w górach pory deszczowej idzie na marne: „Kłós się starzeje, ziarna / są żółte do połowy // [...] Chłop już załamał ręce, / chłopka rzu-ciła koszyk” (s. 15). Su Shi, będąc na szczytach wymienionych gór, nie modli się ani nie oddaje czci świętym miejscom, ale śpi, ponie-kąd je profanując: „Leżę i wacham kwiatki / w niebycie pograżony” (s. 17). Będąc pijanym, próbuje w ich cieniu odpocząć: „Na szczycie się przewróciłem, / Myśląc, że padam na łóż-ko” (s. 39). Poeta nie ukrywa tej strony swo-jej osobowości. Przeciwnie: przyznaje się do nałogu i eksponuje go w poetyckich frazach: „Jestem chory od chmielu, / I brzydzi mnie smak wina, // Podreperuję zdrowie, / Kiedy przestanę pić” (s. 27), „Pijany wchodzę na zbo-cze, / Śpiewają w trawie świerszcze” (s. 39), otwarcie mówi o bólczkach swojego ciała, któ-rych powodem jest właśnie alkohol: „I kiedy wtedy chory, ciężko oddychałem i jęczałem [...] Wyrecytowałem wiersz Tao Yuanminga *Dosyć wina!* [...]” (s. 26).

„Sięgnę po obłok na niebie” – to pragnienie poety samotnego i tęskniącego za ojczyzną, do-mem, rodziną, przyjaciółmi. Pozostaje ono niespełnione, bo owe obłoki są ulotne – pojawia-ją się i uciekają, zmieniają swoje kształty i położenie, w końcu znikają na zawsze. Chiń-ski poeta, chcąc ocalić to wszystko, co przemi-nęło, próbuje ustanowić stratę w słowie. „Sa-motność – konstatuje Kisiel – w obliczu niepojętego piękna natury bywała w ten spo-sób częściowo zredukowana. Ale samotnością pozostawała: w spotkaniu, które jest przypad-kowe; w odwiedzinach, które szybko muszą się zakończyć; w łódce mknącej z prądem rzeki, mijającej ludzi na brzegu, oddalającej się od znajomego krajobrazu” (s. 6).

Su Shi: *Sięgnę po obłok na niebie. Wybór i parafrazy M. Kisiela. Kraków: Miniatura 2018, s. 48.*



Emilii Kiereś przewodnik po *Balladach i romansach*

KSIAŻKI

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Emilia Kiereś, autorka znakomitych *Łowów*, opowieści osnutej na motywach dwóch ballad Adama Mickiewicza: *Świtezii* i *Świtezianki*, będących udaną próbą przybliżenia niedoroślemu odbiorcy czasów młodości Adama Mickiewicza, stanowiących zarazem oryginalny przykład sztuki intertekstualnej, tym razem stworzyła świetny, barwny, żywo opowiedziany komentarz do całych *Ballad i romansów*, żeby, jak pisze, czytelnik, zwłaszcza ten młody, zaprzyjaźnił się z poetą, dobrze rozumiał zarówno sam tekst, jak i płynące z niego przesłanie.

Autorka ma pełną świadomość, że nie jest historykiem literatury, ani badaczką Mickiewicza i od razu zastrzega to w słowie wstępnym, pisząc: „To nie jest podręcznik ani praca naukowa. To osobisty przewodnik po *Balladach i romansach*, które powstały w czasach dla nas już bardzo odległych. Niezrozumiałe okazują się dziś nie tylko poszczególne słowa, lecz także zwyczaje, okoliczności i sytuacje. W miarę możliwości starałam się je Wam objaśnić w przypisach i komentarzach, choć na pewno nie udało mi się przewidzieć wszystkich pytań, jakie mogą się pojawić przy czytaniu” (s. 5) Z tej uważnej lektury i widocznej fascynacji poezją wyrosły wnikliwie, interesujące, bardzo piękne komentarze do Mickiewiczowskiej poezji.

Emilia Kiereś jest bardzo wrażliwą czytelniczką, wyczułoną na słowo i bardzo za nie odpowiedzialną. Pisząc jeszcze na studiach pracę magisterską o Mickiewiczu pod kierunkiem profesor Ewy Wiegant zdobyła głęboką wiedzę, a pasja i ukochanie balladowej twórczości Autora *Pana Tadeusza* sprawiły, że otrzymaliśmy opowieść równie świeżą i odkrywczą, co proponującą nową, oryginalną lekturę romantycznych tekstów, które okazują się bardzo współczesne i inspirujące. Na przykład: czytamy *Świtez* – a co to ta-

kiego? Brzmi to trochę jak świt. A trochę jak sitowie – i słusznie, to skojarzenie świetliste i szumiące, bo *Świtez* to jezioro” (s. 40). Pisarka świetnie wprowadza nas w realia epoki i nie robi tego w sposób nudny, nie popisuje się erudycją, ale zajmująco, lekko, w formie dialogu z młodym czytelnikiem, choć i dorosły chętnie zanurza się w tamten romantyczny świat.

Książka wydana przez oficynę Egmont w serii ART w formacie A4 jest arcydziełem sztuki edytorskiej, ze znakomitymi ilustracjami Marianny Sztymy znanej ilustratorki książek dla dzieci oraz autorki grafiki prasowej. Ilustracje są nastrojowe, jest w nich zagadkowość i pewien niepokój, wytłumione barwy podkreślają nastrój ballad i romansów. Każdy tekst balladowy poprzedza ilustracja z charakterystycznym elementem nawiązującym do treści utworu. W wypadku *Świtezii* jest to księżyc na zamglonym nocnym niebie, a w przypadku *Powrotu Taty* dzieci modlące się pod kapliczką. Wyklejka w kolorze złamanej zieleni jest znakomicie zgrana z całością kompozycji estetycznej, niepotrzebny jest tylko „szlaczek” z trupich czaszek, który wydaje się wzięty z innej konwencji.

Razi też żółta ostra barwa stron, na których został wydrukowany komentarz Emilii Kiereś, kolor bije po oczach, jest nieprzyjemny i utrudnia czytanie. Mimo tych zastrzeżeń książkę można polecić jako świetny prezent świąteczny, tym ważniejszy, że w tym roku mija okrągła, dwieście dwudziesta rocznica urodzin poety.

Adam Mickiewicz: *Ballady i romanse* z komentarzem Emilii Kiereś. Zilustrowała Marianna Sztyma. Warszawa 2018, s. 204, nlb., ilustr.

– **Jakie są pańskie związki ze Śląskiem?**

– Sądzę, że dość bliskie, urodziłem się w Częstochowie, która wówczas terytorialnie należała do regionu kieleckiego, potem do województwa śląskiego, a nawet przez parę lat wraz z Jasną Górą do stalinogrodzkiego. Aż się prosi w tym miejscu o żart z lat siedemdziesiątych: – Za co Polacy lubią Gierka? – Za to, że przyłączył Polskę do Śląska, a nie do Związku Radzieckiego. U schyłku minionego stulecia moja rodzina Częstochowa wróciła do województwa śląskiego – to wówczas, w 1999 roku, rozpoczęła się moja współpraca z Wydawnictwem Naukowym „Śląsk” w Katowicach, które ogłosiło drukiem moją książkę: *Człowiek wobec starości*.

– **Kim jest współczesny senior?**

– Wywodząc etymologię tego słowa z języka łacińskiego: *seniores* to zobowiązani do służby wojskowej, czyli osoby mające od 45 do 60 lat, a *senior* to starszy, natomiast *senis* to starzec, staruszka, zatem wiek senioralny to początek starości. Dodajmy, że przeciętna długość życia uległa poważnym przemianom w historii ludzkości, przykładowo w szesnastym stuleciu wynosiła około 30 lat, a w połowie XIX wieku niespełna 50 lat. Kiedy twórca pierwszego systemu opieki społecznej w Europie, kanclerz Otto von Bismarck, wprowadzał w 1898 roku ubezpieczenia na starość, większość ludzi umierała przed osiągnięciem wieku emerytalnego i mało kto dożywał zasłużonej emerytury starceży. Dziś wiele osób po sześćdziesiątce, a nawet po 70. roku życia jest nadal aktywnych społecznie i zawodowo. Są to byłowalcy klubów seniora, słuchaczki i słuchacze uniwersytetów trzeciego wieku, osoby uczestniczące w konkursach piękności – Miss i Mister Złotego Wieku, czy osoby rokrocznie poprawiające we Wrocławiu kapeluszy rekord Guinnessa.

– **Jak dziś postrzegamy i rozumiemy starzenie się?**

– W drugiej połowie lat 80. XX stulecia amerykańska gerontopsycholog Berenice Neugarten, zaobserwowała nowe zjawisko, że znaczna grupa ludzi starszych jest bardzo zdrowa, żywotna, bezpieczna finansowo, politycznie aktywna oraz dobrze zintegrowana w swoim życiu rodzinnym i społecznym, co skłoniło ją do wprowadzenia takich określeń, jak: „młodzi-starzy”, „starzy-starzy” i „sędziwi starcy”. Wyniki wielu badań wykazały, że wraz ze wzrostem długości życia w ciągu minionych 50 lat o 10–12 lat wydłużył się wiek biologiczny Europejczyków. Sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatki są dziś w takiej kondycji, w jakiej byli ich rodzice i dziadkowie w wieku lat pięćdziesięciu. Potwierdza to moją hipotezę moderacji rozwoju, która oznacza spowolnienie procesu starzenia się. Biologiczny proces starzenia się cechuje stopniowe wygasanie funkcji poszczególnych narządów i układów, przy jednoczesnym wykorzystaniu mechanizmów kompensacyjnych, które umożliwiają jednak zachowanie stałości środowiska wewnętrznego, czyli homeostazy, a tym samym zachowania życia. Jednakże wraz z zaawansowaniem starzenia

możliwości kompensacyjne jednak maleją, zmniejsza się prawdopodobieństwo zachowania życia, a wzrasta prawdopodobieństwo zgonu.

– **Czy boimy się starości?**

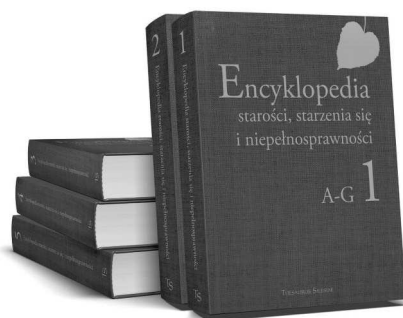
– Szczerze mówiąc, nie ma się czego obawiać, ponieważ starzenie się jest normalnym i naturalnym procesem, który dotyka każdą istotę żywą, natomiast starość to końcowy efekt tego procesu. Problemem jest, czy będziemy starzeć się normalnie, czy patologicznie, kiedy pojawia się przedwczesne lub przyspieszone starzenie się organizmu, oraz czy dotknięcie losu będzie oznaczało dobrą czy złą starość? Do podstawowych kryteriów pomyślnego starzenia zalicza się brak choroby i/lub niepełnosprawności oraz czynników ryzyka, takich jak: wysokie ciśnienie krwi, otyłość i/lub palenie tytoniu. Ponadto utrzymywanie fizycznej i psychicznej sprawności oraz aktywne zaangażowanie w życie. Z punktu widzenia polskiego seniora dodać należy jeszcze jedną ważną składową, jaką jest stabilizacja materialna i/lub zabezpieczenie finansowe, w tym także sytuacja życiowa, rodzinna i mieszkaniowa. Któż z nas nie pragnie „starzeć się z wdziękiem”, w sposób pomyślny, zachowując na stare lata zdrowie, ogólną sprawność fizyczną i psychiczną, ale również aktywnie angażując się w życie. Może jednak nadejść „zła starzenie się”, nacechowane biedą, bezradnością i biernością a także syndromem samotnej starości...

– **Proszę powiedzieć, skąd ta interdyscyplinarności i wielowymiarowości encyklopedii starości, starzenia się i niepełnosprawności? Skąd taka inicjatywa i pomysł?**

– Nosilem się z tym zamiarem wiele lat, gdyż na światowym tle polski dorobek w zakresie leksykografii gerontologicznej jest bardzo skromny: pierwsza polska *Encyklopedia seniora* jest z roku 1986 i wyszła w niebotycznym na dzisiejsze czasy nakładzie 50 000 egzemplarzy, rok później nakładem Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach ukazało się kompendium *300 wiadomości o starości* (1987) Lucyny Frąckiewicz i Bogny Żakowskiej-Wachelko, dodajmy, że publikacje te ogłoszono drukiem ponad 30 lat temu, zaś z nowszych prac tego rodzaju obecne są *Słownik gerontologii społecznej* (2001) i *Leksykon gerontologii* (2007, wyd. 3. 2017), mojego autorstwa, oraz popularny poradnik *Encyklopedia seniora* (2014). Przed czterema laty rozesłaliśmy zaproszenia do autorów. Największy odzew był z środowiska lokalnym, stąd mamy ponad kilkudziesięciu autorów z uczelni Bielska-Białej, Cieszyna, Gliwic, Katowic, Opola. Zespół jest połączeniem uznanych i młodych naukowców. Nazwiska profesorów: Zenona Gajdzicy, Józefa Karguła, Mirosławy Nowak-Dziemianowicz, Jana Szewieczka, Barbary Zubelewicz-Szkodzińskiej, oraz doktorów habilitowanych: Anny Gomóły, Eweliny Koniecznej, ks. Marka Lisa, Krzysztofa Maliszewskiego czy Wiesława Sikorskiego, mówią same za siebie. A młodzi to doktoranci z ogromnym zapalem. Zarówno

Z profesorem **ADAMEM A. ZYCHEM**, pomysłodawcą i redaktorem naukowym *Encyklopedii starości, starzenia się i niepełnosprawności*, rozmawia **DAWID FRIK**

O odkrywaniu starości, i nie tylko...



proces starzenia się i jego efekt starość, jak i kwestie dotyczące niepełnosprawności mają charakter nie tylko interdyscyplinarny, ale i wielowymiarowy. Encyklopedia zawiera hasła z różnych dziedzin nauki: medycyny, polityki społecznej, kultury, historii, literatury. Wiedza zawarta w tekstach haseł może być przydatna: osobom starszym i ich opiekunom, pracownikom służb społecznych, działaczom kultury i organizacji pozarządowych, wszystkim osobom współpracującym z środowiskiem, w którym żyją i żyć muszą osoby starsze, często niesamodzielne, zależne od innych i nie w pełni sprawne. W encyklopedii tej – jak mawiał Terencjusz – „nic co ludzkie nie jest nam obce”, mamy zatem takie hasła rzeczowe, jak np. adaptacja do niepełnosprawności, alkoholizm w starości, anoreksja osób starszych, człowiek stary w sytuacji przemocy, dyskryminacja z powodu wieku, model opieki senioralnej i modele niepełnosprawności, potrzeby opiekuńcze, ale i potrzeby psychosocjalne osób starszych, czy rodzicielstwo zastępcze osób starszych. Są bloki haseł poświęconych otępieniom i klinicznym syndromom naszych czasów, z chorobą Alzheimera, zespołem słabości i zespołem stresu opiekuna na pierwszym planie...

– **A czy została omówiona np. Viagra?**

– Otóż nie, z prostego powodu, nie chcieliśmy reklamować jakichkolwiek suplementów, leków, medykamentów, ale w encyklopedii znajdują się poważne i ważne artykuły na temat farmakologizacji osób starszych, farmakoterapii w okulistyce, fitoterapii w wieku podeszłym, samoleczenia czy interakcji leków. Nie chcąc jednak zostawiać Czytelników młodszych „Śląsk” z niczym, na koniec opowiem dowcip z *Dziękuję Złoty*: – Wchodzi Viagra do salonu i woła

na cały głos: – Stawiam wszystkim! [uśmiech].

– **Proszę jeszcze powiedzieć, czy ta uniikatowa publikacja encyklopedyczna, przygotowana przez zespół 280 Autorów i Autorów, wyczerpuje podjętą problematykę?**

– Oczywiście, że nie... Zawsze, gdy coś się kończy, pojawia się – mówiąc słowami Józefa Kozieleckiego: *Smutek spełnionych baśni*, a zarazem coś się zaczyna. Wraz z Panem dr. Tadeuszem Siernym, prezesem Stowarzyszenia Thesaurus Silesiae w Katowicach, pracujemy już nad kontynuacją w postaci dwutomowej *Encyklopedii niepełnosprawności i rehabilitacji*, która ma ukazać się drukiem na moje 75-lecie, czyli w 2020 roku.

– **Czy możemy liczyć jeszcze na jakies inne pańskie publikacje?**

– Na wiosnę 2019 roku zostanie wydany mój nowy zbiór esejów i szkiców z gerontologii pt. *Młodość utracona, odkrywana starość*, oczywiście edytorem jest Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” w Katowicach.

Prof. dr hab. Adam A. Zych – z wykształcenia psycholog i pedagog, a z zamiłowania poeta i tłumacz. Jest profesorem zwyczajnym Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, zajmuje się m.in. gerontologią społeczną, pedagogiką starzenia się i starości oraz psychologią religii. Został odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Medalem Miasta Oświęcimia oraz wyróżniony przez Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej za nowatorskie działania w zakresie upowszechniania wiedzy na temat starzenia się społeczeństwa polskiego (2015). Otrzymał też honorowy tytuł „Przyjaciół Seniora” (2016), nadany przez Wrocławską Radę Seniorów.

Mgr Dawid Frik – jest kierownikiem zespołu ds. marketingu i PR Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu.

Żłobek w Bazylice Ojców Franciszkanów w Katowicach-Panewnikach

STEFAN GIERLOTKA

Neoromańska bazylika Ojców Franciszkanów pod wezwaniem św. Ludwika i Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Katowicach-Panewnikach jest od stu lat miejscem pielgrzymkowym o stale rosnącym znaczeniu religijnym; poprzez swoją indywidualność jest monumentem należącym do najwspanialszych budowli Górnego Śląska. Pielgrzymi znajdują tutaj znakomitą opiekę duchową, a frekwencja spowiedzi jest zadziwiająco duża. Szczególny charakter pątniczy posiada kalwaria z stacjami Drogi Krzyżowej i kaplicami różańcowymi. Położona w zaciszu kalwarii grotta lourdzka stała się wyjątkowym miejscem dla modlitwy.

Pielgrzymi przybywają tutaj przez cały rok. Jednak najczęściej wiernych odwiedza bazylikę w okresie bożonarodzeniowym. Budowany w bazylice żłobek jest nie tylko atrakcyjny ze względów artystycznych, ale jest *największym w Europie*, a prawdopodobnie też i na świecie. Można spotkać w Europie duże żłobki bożonarodzeniowe, ale są one budowane na zewnątrz, poza wnętrzem obiektów sakralnych. Przykładem może być słynna hiszpańska szopka objazdowa „*Belén Bancaja*” zawierająca 1200 figur i budowana na otwartej powierzchni 300 m². Nie są to jednak liturgiczne żłobki budowane w kościołach, a na wolnym powietrzu i często posiadają charakter komercyjny.

Bazylika i Klasztor Ojców Franciszkanów w Katowicach-Panewnikach jest siedzibą Prowincji Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny Zakonu Braci Mniejszych OFM. Franciszkanie przybyli do Panewnik w 1902 roku z Góry św. Anny. W 1905 roku rozpoczęto budowę kościoła i kompleksu klasztornego, którego konsekracji dokonał 19 lipca 1908 roku biskup wrocławski Jerzy kardynał Kopp. Patronem kościoła został wybrany św. Ludwik IX Król, tercjarz franciszkański. W 1954 roku kościół klasztorny w Panewnikach otrzymał tytuł sanktuarium Maryjnego oraz drugie wezwanie Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Papież Paweł VI XE „Paweł VI” w 1974 roku nadał tej monumentalnej świątyni tytuł bazyliki mniejszej. W kompleksie klasztornym mieści się również

Wyższe Seminarium Duchowne Franciszkanów.

Żłobek bożonarodzeniowy zwany też „stajenką” czy „szopką” w śląskiej tradycji nazywany był zawsze bożonarodzeniową „betlejką”. W języku polskim nazywano to misterium żłobkiem lub stajenką. Uniwersalnym określeniem stosowanym powszechnie na Śląsku już w XIX wieku, była nazwa betlejka, której etymologia pochodzi od wydarzenia w Betlejem Judzkim.

Franciszkańskie początki budowy żłobka bożonarodzeniowego

Budowanie w okresie Bożego Narodzenia żłobków w kościołach jest tradycją zapoczątkowaną przez zakon franciszkański. Już św. Franciszek z Asyżu, w Boże Narodzenie 1223 roku urządził w skalnej grocie, u swojego przyjaciela Jana Wielu w Greccio, pierwsze misterium bożonarodzeniowe.

Chciał pokazać niewygody jakie Pan Jezus znośił po narodzeniu w Betlejem, gdy został złożony na sianie w żłobie wśród bydła. W leśnej grocie wyścielono sianem bydłocy zółb i przyprowadzono woła, osła oraz stado owiec. Przygotowano żłobek na wzór opisu ewangelicznego z Betlejem.

W noc wigilii Bożego Narodzenia do groty przyszli z pochodniami i świecami mieszkańcy z okolicy by wspólnie z św. Franciszkiem i jego braćmi świętować narodziny Dziecięcia Jezus w Betlejem. Grota była bardzo mała i poza żłobkiem służącym jako ołtarz mogła pomieścić celebrującego mszę świętą i kilka osób. Pozostali uczestnicy pasterki byli na zewnątrz. Święty Franciszek, jako diakon podczas mszy świętej wyśpiewał ewangelię o narodzinach Jezusa i wygłosił kazanie o narodzeniu ubożego Króla w małym miasteczku Betlejem. Kazanie było tak wzruszające, że odczuwano bliską obecność dziecięcia Jezus. Widzieli piękne śpiące Dzieciątko Jezus w żłobku, a potem na rękach św. Franciszka jak czule je obejmuje. Potem wszyscy odśpiewali hymn bożonarodzeniowy ułożony przez św. Franciszka. Mieszkańcy Greccio zrozumieli, że

Chrystus narodził się jako człowiek, w wielkiej biedzie i ponizeniu. Po zakończeniu mszy świętej las wypełnił się kołędowym śpiewem pobożnego ludu, a pozostała część nocy była pełna radości. Siano zabrane ze żłobu i przechowywane w domostwach uzdrowiało swą mocą ludzi i chore zwierzęta oraz chroniło przed różnymi zarazami.

W czasie pierwszego misterium bożonarodzeniowego zorganizowanego przez św. Franciszka w grocie nie było figur Matki Bożej i świętego Józefa.

Grota ta oceniona leśnymi drzewami stała się później pustelnią św. Franciszka, gdzie znajdował schronienie w czasie modlitwy i medytacji.

Bardzo szybko zwyczaj ten dotarł do Rzymu, gdzie żłobek betlejemski ustawiano w bazylice Matki Bożej Większej, w którym w wigilijną noc, od niepamiętnych czasów mszę św. sprawował papież. Wydarzenie w Greccio rozpoczęło tradycję śpiewania kołęd oraz budowania żłobków bożonarodzeniowych w świątyniach najpierw franciszkańskich a później we wszystkich kościołach.

Miejscowość Greccio leży w Umbrii, na skalnych pagórkach Apeninów, w pobliżu rozległej doliny Rieti, kilkadziesiąt kilometrów na północ od Rzymu. W Greccio na zboczu sięgającym 750 m n.p.m. stoi klasztor ojców franciszkanów. Zaraz za wejściem do klasztoru mieści się kaplica pamiętnej pasterki. W tej grocie pod mensą urządzonego ołtarza jest skalny żłobek z figurką Dzieciątka Jezus. Na ścianach groty są dwa XV-wieczne freski. Pierwszy ukazuje Boże Narodzenie w Betlejem, a drugi Boże Narodzenie w Greccio. Na tym drugim Matka Boska karmiąca pierśią małego Jezusa, obok św. Franciszek i miejscowa ludność. Nad wejściem do kaplicy wyryto napis „pragnę być jak Ty Panie, małym, ubogim, pokornym i prostym”.

Tradycja budowy i urządzania żłobka bożonarodzeniowego zostaje wkrótce wprowadzona w franciszkańskich domach rekolekcyjnych. Zalecenie budowy żłobków we wszystkich klasztorach i domach franciszkańskich, wydał generał Bernardyn z Portogruaro (1822–1895). Po oficjalnym wprowadzeniu zwyczaju budowy żłobka betlejemskiego zakonnicy kontynuowali tradycję zapoczątkowaną przez św. Franciszka.

Żłobek betlejemski w bazylice

Pierwszy jeszcze bardzo skromny żłobek bożonarodzeniowy w kościele klasztornym ojców franciszkanów w Panewnikach został wykonany na pierwszą pasterkę po konsekracji w 1908 roku. W 1913 roku **brat Ubald Miera** – mistrz stolarski, zbudował już szopkę bardziej okazałą, która co roku była rozbudowywana i powiększana. Początkowo żłobki betlejemskie budowano i urządzano w prawym bocznym transepcie św. Antoniego, gdyż nie było tam jesz-

cze ołtarza. W 1926 roku budowany żłobek bożonarodzeniowy posiada już duże tło krajobrazowe przedstawiające panoramę Jerozolimy. Po ustawieniu ołtarza św. Antoniego w 1927 roku, żłobki bożonarodzeniowe budowano w części lewej transeptu bazyliki, przy bocznym ołtarzu św. Franciszka. Od 1933 roku umieszczano nad szopką nocną scenę gwiazdowego firmamentu.

Żłobek budowany w prezbiterium, przed ołtarzem głównym wykonano pierwszy raz w Boże Narodzenie 1949 roku. Ponieważ wybudowany żłobek zajmował całą przestrzeń prezbiterium górnego i zasłaniał ołtarz ustawiano w prezbiterium dolnym tymczasowy ołtarz. Mszę św. kapłan odprawiał zgodnie z liturgią przedsoborową stojąc tyłem do ludzi. Budowę żłobka w tamtych latach wykonywał **br. Krzysztof Piątyzek** (1912-2003), a następnie *XE „Krzysztof” brat Fabian Fryc* (1911-1984) *XE „Fabian”*. *XE „Franciszek”* Przez 53 lata budowę i urządzenie żłobka bożonarodzeniowego wykonywał **Franciszek Falkus** (1914-2006). Współpracując przez wiele lat z bratem Fabianem Frycem *XE „Fabian”* razem rozbudowali i ulepszyli panewnicką betlejkę. Od połowy lat siedemdziesiątych do prac przy budowie żłobka włączył się **Edward Kuczmik** (1936-2004), który wykonał wiele elementów konstrukcyjnych i nowych urządzeń wyposażenia. Instalację elektryczną do żłobka wykonał **Andrzej Brożyna** i **Jakub Wawro**. Od 1995 roku szopkę panewnicką buduje i urządza artysta rzeźbiarz **Paweł Jałowiczor** z Jaworzynki-Trzycatka. Od 2001 roku ze strony klasztoru budowę żłobka kieruje proboszcz parafii **o. Alan Rusek**.

Budowany żłobek w prezbiterium bazyliki ma **11 m** szerokości i **17 m** wysokości. Sceneria przestrzeni zagłębiona jest w prezbiterium na **12 m** mierząc od kolumny i **9 m** od obecnego dolnego ołtarza. W scenerii żłobka ustawiono ponad 120 figur postaci wykonanych z drewna, gipsu oraz z tworzywa sztucznego. Największa figura anioła z skrzydłami jest 160 cm wysoka. Przednie figury w żłobku są wysokie na 140 cm. Figura wielbłąda ma 150 cm, a figury Trzech Króli są o wysokości 130 cm. Figury Matki Boskiej klęczącej i św. Józefa są w wymiarach 95 cm, a Dzieciątka Jezus jest o długości 44 cm. Najstarsze figury wykonane jeszcze w drugiej połowie XIX wieku to pastuszek z barankiem na plecach i kobieta z dzbanem. Obie figury o wysokości 100 cm są wyrzeźbione w drewnie lipowym i prawdopodobnie pochodzą z przekazania od klasztoru franciszkański na górze św. Anny. W 1981 roku sprowadzono z Betlejem figurkę Dzieciątka Jezus.

Sceneria betlejemskiego krajobrazu wzbogacają różne ustawione budowle wśród których są wiatraki, młyn, studnie, płonące ogniska oraz domy z drewnianym ogrodzeniem i zagospodarowaniem. Nad figurami i scenerią betlejem-

skiej panoramy znajduje się nocne niebo z aktualną do tej pory roku konstelacją gwiazd. Gwiazdozbiory periodycznie rozświetlają się i zmieniają swą luminancję. Przestrzeń żłobka wzbogaca ustawienie około 100 różnej wysokości naturalnych choinek, ściółka leśna, wypchane zwierzęta i inne dekoracje. W ostatnich latach pojawił się szyb kopalniany nawiązujący do regionalnego krajobrazu.

W każdym franciszkańskim żłobku znajduje się również postać św. Franciszka wraz z corocznie innym przesłaniem. W żłobkach budowanych do 2003 roku, figura św. Franciszka z przesłaniem ustawiana była wśród figur betlejemskich w prezbiterium. W 2003 roku przedstawiono kazanie św. Franciszka do ptaków jako aluzja do obojętności ludzi wobec Słowa Bożego. W 2004 roku przedstawiono wśród figur betlejemskich poskromienie przez św. Franciszka wilka z Gubbio. Poskromienie doprowadziło do pojednania wilka z mieszkańcami wioski, a wilk na zgodę podał św. Franciszkowi łapę – symbol pokoju.

W 2005 roku poszerzono żłobek na stronę lewej bocznej nawy, do Kaplicy relikwii świętych męczenników Ptolemeusza i Romana z Nepi, a w 2006 roku poszerzono do Kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej w prawej bocznej nawie. Powstały dodatkowo dwa skrzydła boczne ze swoją scenerią. Utworzony został w ten sposób **panewnicki tryptyk bożonarodzeniowy** o łącznej szerokości bazyliki 22,5 m, inicjatorem budowy skrzydeł bocznych tryptyku bożonarodzeniowego był proboszcz o. Alan Rusek oraz o. Marceł Pietryja.

Przyjęto zasadę, że sceneria lewego skrzydła tryptyku, budowanego w Kaplicy relikwii nawiązywać będzie do św. Franciszka i jego przesłania. Natomiast sceneria budowanego prawego skrzydła tryptyku w Kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, nawiązywać będzie do spraw kościoła, zwłaszcza tych, które przypadają na nowy nadchodzący rok.

W utworzonej scenerii, w lewym skrzydle tryptyku, poświęconej św. Franciszkowi pokazywana była w 2005 roku scena stygmatyzacji św. Franciszka na górze Alwernii. W 2006 roku przedstawiono obraz braci wspólnoty zakonnej, przy pniu z chlebem, w relacji do Świętej Rodziny. W 2007 roku została umieszczona postać patrona bazyliki i parafii św. Ludwika IX, Króla, który należą do świeckiej rodziny franciszkańskiej stał się patronem Trzeciego Zakonu Św. Franciszka.

Powstała w 2006 roku część prawa skrzydła tryptyku nawiązywała scenerią do tradycyjnej rodziny śląskiej, która powinna być Bogiem silna. W 2007 roku, z okazji zbliżającego się jubileuszu stulecia przedstawiono zmierzające w kierunku panewnickiej bazyliki różne stany zawodowe. Z okazji roku jubileuszowego Bazylika otrzymała od Papieża Benedykta XVI specjalny przywilej odpustu zupełnego, dla nawiedzających to miejsce.

Budowa żłobka w bazylice

Budowa żłobka trwa przez cały okres adwentowy. Jednak niektóre jego elementy przygotowywane są przez cały rok. Prace budowlane przy wznoszeniu żłobka wykonuje zazwyczaj od dziesięciu do dwunastu ludzi pracując codziennie w tygodniu od godz. 10⁰⁰ do 16⁰⁰ oraz od godziny 20⁰⁰ do 2⁰⁰ w nocy. Po 2 lutym, gdy zakończy się już czas bożonarodzeniowy żłobek rozbiera się w ciągu czterech dni.

Budowę żłobka rozpoczyna się od rozwieszenia nieba w prezbiterium, jeszcze nie wciągając go do góry. Panorama sklepienia niebieskiego jest 5,2 m wysoka a długość jego łuku wynosi 12,5 m. Następnie montuje się instalację elektryczną i iluminację nieba. Każda gwiazda na niebie stanowi elektryczne źródło światła. Po wykonaniu gwiazdowego nieba i połączeniu jego instalacji elektrycznej, rozpoczyna się budowa głównej konstrukcji nośnej żłobka. Całość urządzeń i elementów dekoracyjnych żłobka spoczywa na skręconej konstrukcji stalowej. Po wykonaniu konstrukcji nośnej wznosi się poziomą drewnianą belkę o szerokości prezbiterium, do której mocuje się górne wiszące elementy wystroju. Belka zawieszona jest na wysokości horyzontu nieba i podtrzymuje tło oraz makietę z dawną panoramą Jerozolimy. Zwieszana panorama Jerozolimy z tłem jest 6 m wysoka. Tło pokazujące drogę z Betlejem do Jerozolimy namalowała Teresa Byning Kalinowska. Całość wyciągana jest do góry kilkoma linowymi kołowrotami zabudowanymi na strychu nad sklepieniem prezbiterium. Po wciągnięciu i zamocowaniu do belki horyzontu nieba z częścią górną, buduje się część dolną panoramy z niektórymi dekoracjami. Kolejną czynnością jest odeskowanie części dolnej żłobka. Elementy drewniane łączone są wkrętami. Po zmontowaniu części tylnej panoramy buduje się panoramy boczne. Przygotowane płócienne panoramy boczne z zabudowanymi dekoracjami są wyciągane w górę kołowrotami ze strychu nad sklepieniem prezbiterium. Obie boczne panoramy są 8 m wysokie i 6 m szerokie. Boczne dekoracje czynią głębię optyczną przestrzeni żłobka. Po takim przygotowaniu dopiero buduje się z drewna budynek stajenki, w którego żłobku złożona zostanie figura Dzieciątka Jezus. Ponad budynkiem stajenki umieszcza się dekoracje gór ze skałami i inne obiekty jak domy, młyn, wiatrak, studnie, ogniska. Tak przygotowaną dekorację scenerii ulepsza się przez rozmieszczenie około 100 naturalnych choinek. Świerkowe i sosnowe choinki o wysokości od 0,5 m do 8 m są przywożone z beskidzkiej Jaworzynki. Ostatnia czynność to wniesienie i rozmieszczenie figur w scenerii żłobka. Budowę i urządzenie żłobka kończy się ułożeniem na sianie figurki Dzieciątka Jezus.

Dla wykonania instalacji elektrycznej żłobka stosuje się około 2,5 km przewo-

dów, a iluminacja oświetleniowa wykonana jest z kilkuset żarówek i innych źródeł światła. Całość instalacji elektrycznej jest zasilana przez połączenie obwodów do specjalnej rozdzielnicy elektrycznej.

Boczne skrzydła budowanego wspólnie tryptyku bożonarodzeniowego po stronie lewej w Kaplicy relikwii świętych męczenników Ptolemeusza i Romana z Nepi, a po stronie prawej w Kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej są wykonywane na specjalnych skręconych konstrukcjach stalowych. Zbudowana układu konstrukcyjnego jest tak wykonywana aby jego elementy nie dotykały do polichromii kaplic. Podwieszenie firmamentu w kaplicach bocznych wykonuje się na specjalnej konstrukcji pałkowej. Na odeskowanej stalowej konstrukcji aranżuje się scenę z przesłaniem bożonarodzeniowym. Oba skrzydła są 6 m szerokie i 2,8 m zagłębione. Dolny poziom sceny skrzydeł bocznych pokrywa się z poziomem dolnym sceny żłobka betlejemskiego w prezbiterium.

Żłobek z ruchomymi figurami

Na Boże Narodzenie w 1994 roku uruchomiono w bazylice drugi żłobek betlejemski z ruchomymi figurami. Żłobek ruchomy wybudowano w części zachodniej kompleksu klasztornej, w dawnej auli seminaryjnej. Inicjatorem budowy żłobka był o. Damian Szojda, który też opracował jego architekturę i scenę oraz dokonał wyboru osób, których figury adorują przed nowo narodzonym Dzieciątkiem Jezus. XE „Edward” Żłobek budowano przez cały 1994 rok. Wzorowano się na wcześniejszym wykonanym żłobku z ruchomymi figurami w kościele Matki Boskiej Różańcowej w Halembie. W 1950 roku proboszcz kościoła w Halembie ks. Józef Garus zbudował żłobek z kilkoma ruchomymi figurami. Żłobek był w latach następnych rozbudowywany, a każda figura miała swój indywidualny napęd elektryczny. Figury wychodziły z pałacu królewskiego, podchodziły do żłobka kłękając przed Dzieciątkiem, a następnie wracały do pałacu.

Wybudowany w bazylice ruchomy żłobek składa się z figur przemieszczających się oraz figur stojących, ale ruszających się. Część techniczną ruchomych elementów do żłobka wykonał Edward Kuczmik w swoim przydomowym warsztacie. Figury do ruchomego żłobka wykonywał Paweł Jałowiczor z Jaworzynki-Trzycatka. Wyrzeźbił on głowy figur wraz z tułowiem. Kończyny figur poruszają się. Podstawę figur stanowi konstrukcja drewniana ubrana w uszyte i wyhaftowane szaty. Figury w żłobku mają wysokość 130 cm. Do napędu mechanizmu części ruchomej żłobka wykorzystano 12 silników elektrycznych.

Po stronie lewej żłobka figury przemieszczające i poruszające się przedstawiają: św. Franciszka z Asyżu, św. Antonie-

go z Padwy, św. Maksymiliana Marię Kolbego, kardynała Stefana Wyszyńskiego, św. Klarę z Asyżu, św. Wojciecha, bł. Matkę Teresę z Kalkuty, papieża Jana Pawła II, ks. Jerzego Popiełuszko. Po stronie prawej przemieszczają się figury: króla Jana III Sobieskiego, św. Jadwigi królowej, św. króla Ludwika IX, króla Bolesława Chrobrego, Mieszka I, św. Jacka. Figury Trzech Króli nie przemieszczają się, ale poruszają kończynami.

W pomieszczeniu ruchomego żłobka mieści się również interesująca wystawa żłobków bożonarodzeniowych pochodzących z różnych krajów i regionów świata. Jest pokazywany żłobek z Hiszpanii, Boliwii, Tanzanii, Włoch, Niemiec, Afrykański oraz Śląska Betleja. Repliki żłobków wykonał Leon Kampka.

Zbudowany żłobek z ruchomymi figurami pozostał ekspozycją stałą, jednak do zwiedzania jest udostępniony tylko w okresie od Bożego Narodzenia do 2 lutego.

Żłobek z adorującymi żywymi zwierzętami

Oprócz żłobka we wnętrzu bazyliki oraz żłobka ruchomego w zespole klasztornej organizowany jest od 2002 roku żłobek z adorującymi żywymi zwierzętami. Święty Franciszek rozumiał i odczuwał piękno przyrody. W jego pojęciu nie istniała martwa natura, a drzewa, kwiaty, rośliny, kamienie, wiatr, ogień i woda żyją na równi ze zwierzętami i człowiekiem. Pokładał wszystko w Bogu i Boga we wszystkim. Z przekazów wynika że św. Franciszek miał zwyczaj rozmawiać ze zwierzętami. Franciszkańskie pojmowanie i praktykowanie tego dialogu oparte jest na głębokim szacunku i serdeczności dla wszystkich stworzeń żyjących na świecie. Wzorowany na przesłaniu św. Franciszka bożonarodzeniowy żłobek pokazuje różne zwierzęta żyjące z sobą w wielkiej przyjaźni i zgodzie.

Na terenie ogrodu klasztornej w północno-zachodniej części urządził się

na okres bożonarodzeniowy żłobek, w którym narodzonego Jezusa i św. Rodzinę adorują żywe zwierzęta. Są tam kucyki, strusie, owce, kozy, świnki wietnamskie, bażanty, kaczki miniaturki, gołębie i inne hodowane przez cały rok w zabudowaniach klasztornej. Żłobek ten jest szczególnie atrakcją dla odwiedzających dzieci.

Przechodząc od żłobka z ruchomymi figurami do żłobka z żywymi zwierzętami, można zatrzymać się w powstałym „Herbarium Św. Franciszka”, by napić się gorącego naparu z ziół klasztornej.

Franciszkańskie przesłanie bożonarodzeniowe

W budowanym żłobku bożonarodzeniowym przedstawia się sceny z życia św. Franciszka. Treść tych scen jest corocznie inna. Duchowość franciszkańska zamyka się pomiędzy Tajemnicą Wcielenia a Tajemnicą Ukrzyżowania Chrystusa. Liturgia kościoła zachęca wiernych do przeżywania tajemnic życia Pana Jezusa. W szczególny uroczysty sposób świętuje się Boże Narodzenie. Święty Franciszek w sceny szopki bożonarodzeniowej starał się pokazać związek religijny pomiędzy przyjściem Pana Jezusa i jego narodzeniem w Betlejem, a sakramentalnym ofiarowaniem na ołtarzu podczas mszy św.

Zaznaczyć należy, że budowany żłobek jest żywą katechezą. Pomaga rodzinom przekazać swoim dzieciom prawdę wiary w sposób przystępny i prosty.

Kiedy podczas Bożego Narodzenia patrzymy na pięknie ustawiony żłobek betlejemski, to w zadumie uroku i sentymentu do lat dziecięcych warto przytoczyć słowa wielkiego wieszczka Adama Mickiewicza:

*„Wierzysz, że Chrystus narodził się w betlejemskim żłobie,
lecz biada, jeśli nie narodził się w Tobie”*

Informacje o bryle Bazyliki:

- Wmurowanie kamienia węgielnego i budowa kościoła 1.07.1906
- Konsekracja kościoła 19.07.1905 kard. Georg von Kopp
- Długość bazyliki 76 m
- Szerokość bazyliki 22,5 m
- Wysokość nawy środkowej 17,5 m
- Szerokość nawy środkowej 11,5 m
- Szerokość nawy bocznej 5,5 m
- Wysokość nawy bocznej 7 m
- Wysokość transeptu pod kopułą 31 m
- Szerokość prezbiterium 11 m
- Wysokość wież bez krzyża 48 m
- Wysokość fasady bazyliki 28 m
- Średnica rozety w fasadzie 7 m
- Wysokość figury św. Franciszka na kopule 7,45 m
- Długość krypty 18 m
- Szerokość krypty 11 m
- Witraże 1908 rok pracownia Franca B. Mayera w Monachium
- Organy wykonała firma Berschdorf z Nysy 1923 rok (60 głosów, 3721 piszczałek)



Język w strunach

Aleksander Gabryś

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Aleksander Gabryś (ur. 1974) to według Annie jeden z najbardziej utalentowanych, oryginalnych i osobliwych – tak jest: osobliwych – polskich artystów aktywnych obecnie w kraju i poza jego granicami. Talent czystej wody, wręcz bezwstydnie bogaty pod względem umiejętności warsztatowych, lecz nade wszystko pod względem inteligencji, wrażliwości i umysłowej chłonności, z których rodzi się erudycja: nie wystarczy być inteligentnym – trzeba jeszcze mieć to „coś”, choć odrobinę tej niedefiniowalnej „wartości dodanej”, czyli nieskrępowanej wrażliwości oraz ciekawości poznawczej.

Powiedziałem, że posiada wielkie „umiejętności warsztatowe” a nie wyłącznie „muzyczne”, ponieważ to artysta „całą gębą”, a właściwie całym swoim jestestwem: kompozytor, wykonawca, aktor, autor dzieł multimedialnych (tylko ten kto się tą dziedziną zajmuje stale a nie od święta, wie jak dalece inny niż *sensu stricto* kompozycja jest ten obszar tworzenia), pedagog znany z seminariów i klas mistrzowskich; jednym słowem, artysta kompletny – i kompletnie sztuce oddany. Właśnie dlatego od początku postrzegam go jako swego rodzaju „muszkietera sztuki”: człowieka dzielnego i zdecydowanego iść swoją drogą na przekór wszystkiemu, człowieka zadziornego i odważnego, mistrza w swoim fachu, wręcz fechtmistrza kontrabasu i multimediiów, a przy tym człowieka o wyjątkowo silnej osobowości. Aleksander Gabryś to w pewnym sensie postać na miarę bohaterów innego Aleksandra, Dumasa ojca – życie naśladuje tu literaturę!

Już u zarania swojego życia był Aleksander Gabryś skazany na odrębność. Syn Ryszarda, pionierskiego kompozytora, myśliciele, teoretyka, pisarza, który całe życie poświęcił ideałom sztuki odkrywczej we wszelkich jej aspektach, młody Aleksander wyrastał w atmosferze otwartości na wszystko, co w sztuce nowe – oraz życzliwości wobec nowych zjawisk i prądów. Nie bez wpływu na rozwój duchowy syna okazała się przyjaźń ojca z Witoldem Szalonkiem, przecież koryfeuszem międzynarodowej awangardy. Po latach Aleksander Gabryś dokona

z Filharmonią Śląską modelowego nagrania arcydzieła Szalonka *Musica concertante per violbasso e orchestra* – utwór powstał w 1977 dla sławnego Bertrama Turetzky'ego – ale to amerykański wirtuoz mógłby się *post factum* na interpretacji Aleksandra Gabryśa wzorować, bo właśnie polski artysta sublimuje do maksimum olbrzymi potencjał ekspresyjny partii solowej. On tę muzykę „czyta sercem”, gra ją z miłością, widzi i słyszy w niej znacznie więcej niż zbiory niekonwencjonalnych rozwiązań notacyjnych i kolorystycznych. Okazuje się do jakiego stopnia muzyka najnowsza, wybitnie radykalna brzmieniowo, może zachwycić ekspresywną „poetyckością” oraz inherentną liryką narracji. W natchnionej interpretacji Aleksandra Gabryśa tę muzykę naprawdę każdy może „zrozumieć” i zaabsorbować tak samo jak np. „rozumie się” i absorbuje muzykę Beethovena.

Podobne zalety mają interpretacje kolejnych dzieł na kontrabas i większe zespoły, tym razem już skomponowanych specjalnie dla solisty. Myślę tu o *Concerto-Fantasia per contrabasso e archi* (1999) Edwarda Bogusławskiego, *Koncertcie na kontrabas i orkiestrę* (2000) Piotra Radki, oraz *Il cicerone per contrabasso e strumenti ad arco* (2005) Ryszarda Gabryśa. Trudno byłoby znaleźć trzy bardziej odmienne utwory! Kompozycja Bogusławskiego to próbka rozwijanej procesualnie post-ekspresjonistycznej, intensyfikowanej liryki; ultraromantyczny idiom Radki rodzi się na przecięciu stylistyk Béli Bartóka, Albana Berga i Dymitra Szostakowicza; z kolei świetna kompozycja Gabryśa ojca to swoisty, przewrotny *collage* dźwiękowy, który wiele zawdzięcza awangardzie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Pomimo różnic, a może dzięki nim, w każdym z tych koncertów daje Aleksander Gabryś popis dogłębnego pojmowania danej estetyki, wżywania się w nią; artysta nie ukrywa swego subiektywizmu, co więcej ów subiektywizm wydatnie wzbogaca, i tym samym wzmacnia, ekspresywno-materiałową tkankę utworów – oto przykład radosnego muzykowania na trudnym gruncie współczesnej

„wirtuozerii totalnej”. Pozytywne uniesienie spełnia się w interpretacyjnym *katharsis*. Artysta całkowicie panuje nad materiałem tak emocjonalnie jak technicznie: wspaniale np. brzmią pasaża w najwyższych rejestrach instrumentu; w dziele ojca solista krzyczy, szepcze, śpiewa, mówi, recytuje – i zawsze robi to zachwycająco naturalnie.

Aleksander Gabryś jest absolwentem katowickiej Akademii Muzycznej, którą ukończył w roku 1998 w klasie kontrabasu znakomitego pedagoga Waldemara Tamowskiego. Następnie, między 1999 i 2002, studiował pod kierunkiem Wolfganga Güttlera w szwajcarskiej Musik-Akademie der Stadt Basel. Szymanowski wołał do młodych muzyków: „Po wiedzę muzyczną do Paryża!” – to nawoływanie i dzisiaj ma sens. Nie dlatego, że Polska to prowincja, ale po to, iżby uzupełnić wiedzę, poszerzyć umiejętności, nawiązać kontakty, dać sobie szansę na nowym gruncie, a przy okazji nauczyć się dobrze innego języka. Tak właśnie postąpił Aleksander Gabryś.

W Szwajcarii został i tam rozpoczęła się jego błyskotliwa kariera, choć już w Polsce artysta zdobył kilka ważnych nagród na konkursach kompozytorskich i wykonawczych. Otóż należy ten muzyk do coraz mniejszej grupy kompozytorów-wykonawców, jakich całe chmary buzały w epokach minionych (Bach, Mozart!). Obie aktywności uzupełniają się, pozytywnie na siebie oddziałując; korzysta na tym sam artysta, gdyż ciągle uczy się od samego siebie: tu jako kompozytor od wykonawcy, tam jako wirtuoz od kompozytora – a jako kompozytor Aleksander Gabryś faktycznie zasługuje na baczną uwagę. Dzieła takie jak wczesny i zaskakująco dojrzały teatr instrumentalny *Voak gefeustich* dla pięciorga wykonawców (1992), *Avanti, amico!* na klawiet solo (2003), czy imponujące, multimedialne „teatrum” *Bestiarium Trio/Trip SinfAct* na skrzypce, kontrabas, róg i orkiestrę (2012), pozwalają już dzisiaj uznać ich twórcę za bardzo jasny punkt na nieboskłonie europejskiej Nowej Muzyki.



Autorzy referatów: Piotr Zaczowski, Katarzyna Frąckowiak, Kamila Czaja, Katarzyna Niesporek, Magdalena Piotrowska-Grot

Światy poetyckie Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej

KATARZYNA NIESPOREK

Początki jej drogi poetyckiej związane są z wrocławską „Odrą” i Tymoteuszem Karpowiczem, jest autorką sześciu książek poetyckich, trzech wyborów wierszy (w tym dwóch w językach obcych), jednej antologii. W 2017 roku została finalistką Nagrody Literackiej „Nike” za tomik *Paraliż przysenny*, w 2018 roku będzie obchodziła 25-lecie wydania pierwszego tomiku wierszy. Mowa oczywiście o pochodzącej z Mikołowa poetce Genowefie Jakubowskiej-Fijałkowskiej, która stała się bohaterką siódmej konferencji z cyklu *Światy poetyckie*, zorganizowanej 16 listopada 2018 roku w Centrum Kulturalno-Edukacyjnym w Czerwionce-Leszczynach. „Spotykamy się w tym miejscu, dlatego, że tutaj jest w jakimś sensie początek śląskiej literatury powojennej. To miejsce Wilhelma Szewczyka, a także innego poety, naszego przyjaciela, Stanisława Krawczyka, który dzisiaj obchodziłby 80. rocznicę urodzin” – mówił w słowie wprowadzającym w tematykę konferencji prof. zw. dr hab. Marian Kisiel.

Uczestnicy spotkania mieli okazję wysłuchać pięciu referatów.

Jako pierwsza zabrała głos lic. Katarzyna Frąckowiak, która badania nad poezją Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej prowadziła już w swojej pracy licencjackiej i obecnie kontynuuje je w magisterium. Zastanawiając się nad optyką szczegółu w wierszach poetki, mówiła: „W przestrzeni tekstów po-

etyckich Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej znaleźć możemy liryki o włosach, krojeniu cebuli, pająkach, myciu okien, paleniu papierosów”. Młoda badaczka wyjaśniała: „Drobiazgowy obraz rzeczywistości w tej twórczości każdorazowo narzucał mi się w lekturze. Nazwałam go więc »optyką szczegółu«. W wierszach chciałabym poddać refleksji trzy elementy: istoty przedmiotu, rytynowej czynności i człowieka. W przyjętym przeze mnie porządku wyczuć można pewny paradoks. Z jednej strony mamy bowiem szczegół, czyli przedmioty i czynności codzienne – małe, ledwo zauważalne, bagatelizowane, a z drugiej – autorytarne kolonizatory świata, czyli gatunek ludzki”.

Tematem kobiecości w wierszach autorki *Pochylenia* w dwóch jej ostatnich tomikach (*Ze mnie robaka i z robaka wiersze* – 2012 i *Paraliż przysenny* – 2016) zajęła się dr Katarzyna Niesporek. We wstępnej części referatu zwracała uwagę: „Genowefa Jakubowska-Fijałkowska to poetka osobna. Jej wiersze są odległe od typowej liryki kobiecej”. Badaczka, eksponując nasycone kobiecością elementami męskości, które można odnaleźć w utworach autorki *Dożywocia*, mówiła: „bohaterka liryczna utworów Jakubowskiej-Fijałkowskiej z każdym zbiorem wierszy bierze się w garść i robi wszystko, aby stać się silniejszą i odważniejszą. [...] Buntując się przeciw kobiecości, prze-

staje się nad sobą uzalać i zaczyna traktować świat po męsku. Więcej: staje się nawet silniejsza od mężczyzny. Udowadnia wszystkim, że całkiem nieźle sobie radzi z rzeczywistością, a istnienie w niej i bycie kobietą staje się wyczynem heroicznym. Autorka *Pochylenia*, uświadamiając sobie dożywotnie skazanie na kobiecość, uczy się spełniania jej wymagań”. Interpretatorka, przyglądając się opisom rzeczywistości kobiet i mężczyzn w tej poezji, na koniec skonstatowała: „[...] kobieta w całej tej otaczającej ją codzienności ma się trudniej niż mężczyzna. Więcej obowiązków, niezrozumienia, fizycznie i psychicznie odczuwalna wrogość otoczenia i niebezpieczeństwo, ale też rozpacz i strach, przed którymi mężczyzna nie jest w stanie ochronić kobiety. Co zatem w ogóle mężczyzna potrafi? Wydaje się, że w wierszach Jakubowskiej-Fijałkowskiej nic. Męskość zostaje poniekąd zanegowana, a podmiot-kobieta jest samowystarczalny”.

O ciele performerki w twórczości autorki *Pochylenia* mówiła dr Magdalena Piotrowska-Grot. Badaczka wskazywała na pojawiające się w tych wierszach „zyciopisanie” i „ciałopisanie”. Według niej poetka „wykorzystuje metaforyczny, semantyczny potencjał ciała inaczej – tworząc [...] ciało tekstu, korelując ciało i znak, oddając w swoich wierszach rytm ciała, jego zmienność, puls i jego zanikanie”. Interpretatorka po-



Marian Kisiel



Genowefa Jakubowska-Fijałkowska

stawiła tezę, że utwory autorki Jakubowskiej-Fijałkowskiej przypominają performance. Badaczka wyjaśniała: „Akt artystyczny nie istnieje bowiem bez ciała nadawcy, interpretator odczytuje ciało, tekst ciała, ślady fizyczności, fizjologii pozostawione w języku – ciało staje się podmiotem i przedmiotem opisu. Bez jego interpretacji jego aktywności niewiele w tych tekstach pozostaje”. Na koniec swojego wystąpienia referentka trafnie podsumowała: „Tak jak sztuka performance’u, tak poszczególne wiersze Jakubowskiej-Fijałkowskiej stawiane są na rozbijanie ram interpretacyjnych przyzwyczajęń i konfrontują nas z niezwykle osobistym, intymnym przekazem – owa poetyka intymności nieraz wybija nas z czytelniczego komfortu i utartych ram myślenia o literaturze, znaki ciała zaś stają się kluczem do rozumienia znaków języka”.

Co innego w poezji Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej dostrzegła dr Kamila Czaja. W swoim referacie zwróciła uwagę na (nie)zawodność kalendarza występującą w wierszach autorki *Paraliżu przysennego*: „Pierwsza zima, Listopad, „seryjni poeci” w grudniu, W łazience koniec sierpnia, Niedziela, Dzień targowy (poniedziałek), W sobotę koło dziewiątej rano, Nie rozmawiamy w piątek w nocy o Bukowskim... Wystarczy przywołać kilka tytułów wierszy Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej, by zasygnalizować ważną rolę kalendarzowych czy nawet dokładniejszych, godzinowych odniesień w tej twórczości” – mówiła badaczka. Referentka zwróciła uwagę, że twórczyni „wypełnia swoje wiersze datami, nazwami dni, miesięcy, świąt itd., ale równocześnie co jakiś czas przypomina, że zawsze może nastąpić – przynajmniej z perspektywy odczuwania świata przez pojedynczych ludzi w tej poezji – wytrącające z kruchej rytmu odstępstwo. Rok bez sierpnia. Listopad zamiast września. Środa w miejsce piątku. Dzień bez świtu i zmierzchu. Noce pozbawio-

ne dni. To wyższy poziom wiedzy o wrogości czy niedoskonałości świata”.

Na koniec zabrał głos mgr Piotr Zaczekowski, który swoje wystąpienie rozpoczął od przypomnienia motto z *Dożywocia*, pierwszej książki poetyckiej Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej: „Bo tyle jest rzeczy, których wam nie śmiem / powiedzieć / Tyle jest rzeczy, których nie dacie mi powiedzieć / Zlitujcie się nade mną” (Apollinaire). Badacz, zastanawiając się nad pojawiającym się często w wierszach poetki tematem snu bądź bezsenności, konstatował: „Z punktu widzenia poezji sen jest pokusą – ale taką, która bierze odwet, za którą nie można płacić bezkarnie, a więc nie tyle pokusą, ile okrutną pokutą. Od pokusy – podobnie jak od pokuty – może wybawić śmierć. Jak słusznie jednak zauważa Genowefa Jakubowska-Fijałkowska: »poetki nie umierają / we śnie«. Zauważa to w wierszu z *Dożywocia*, który zaczyna się od słów »Spij maleńka...«, a więc od słów zapraszających niby do kołysanki, ale tak naprawdę do elementarnej wyliczniki, od której zaczyna się – na której kończy się – życie”.

Konferencję, którą zorganizowali Zakład Literatury XX i XXI wieku, Zakład

Teorii Literatury Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego Uniwersytetu Śląskiego oraz Miejski Ośrodek Kultury w Czerwionce-Leszczynach na czele z mgr Mariolą Czajkowską, moderował i podsumował prof. zw. dr hab. Marian Kisiel: „Odnaleźli Państwo w tych wystąpieniach nie tylko akcentowanie rzeczy, które są bardzo istotne dla myślenia pofenomenologicznego, więc właśnie wyobraźniowego, ale także tę rzecz, która jest ciałem, rzeczą ciała, która jest tym, co można by za Rolandem Barthesem nazwać »punctum«”. Po tych słowach głos zabrała sama Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, która nie tylko przeczytała kilka wierszy, ale także opowiedziała o źródłach swoich inspiracji.

W konferencji, oprócz badaczy Wydziału Filologicznego, Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego i „Katowic – Miasta Ogrodów”, wzięli udział także przedstawiciele miasta Czerwionka-Leszczyna i działających w nim instytucji kultury. Pomysłodawczynią spotkania o twórczości Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej była dr hab. prof. UŚ Joanna Kisiel.



Od lewej: Iwona Gralewicz-Wolny, Joanna Kisiel, Mariola Czajkowska

Święta Barbara – kobieta uniwersalna

Bo i dziewica, męczennica, patronka dobrej śmierci, patronka górników, artylerzystów, Polski Podziemnej, tajnych drukarzy, „Solidarności”.

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Uwagi wstępne

Ten tytuł brzmi jak materiał wyjściowy do opracowania litanii, ale cóż Barbara była i jest kobietą niezwykłą, wieloznaczną. Zauważa to także genialny wizjoner Erwin Sówka, który maluje ją w różnych ujęciach, bo religijnych, społecznych, kulturowych, ale i erotycznych. Nawet „stechniczowanych”, kiedy wyposaża ją w różne narzędzia. Wtedy św. Barbara symbolizuje techniczny wizerunek Górnego Śląska; pełen maszyn typowych dla górnictwa. I zaznaczmy w tym miejscu, że po wiekach uwielbienia pojawili się z czasem naukowcy, którzy zaczęli jednak nawet podważać historyczność św. Barbary; wskazywali nie tylko na deficyt, ale wręcz brak źródeł potwierdzających jej istnienie. To doprowadziło do jej usunięcia z Martyrologium Romanum; niedawno bo w 1969 roku. Pamiętajmy też że jest ona wśród świętych zaliczonych w poczet Czternastu Świętych Wspomożycieli Kościoła, czyli tych których wstawiennictwo u Boga jest skuteczne w przypadku chorób. Ale przecież usunięcie Barbary z owej liturgicznej księgi Kościoła nie pozbawia dotychczasowej świętości danej osoby, „bowiem – jak donosi teologiczny komentarz – kto raz został uznany za świętego i wpisany do Martyrologium, pozostaje świętym na zawsze, chociażby wypisano go ze wszystkich kalendarzy liturgicznych na całym świecie”. A jezuita rodem z Górnego Śląska, wybitny teolog i mediewista ksiądz Henryk Fros pisze, iż w „W efekcie jest ona nie tyle konkretną postacią, ale raczej uosobieniem pewnej konkretnej idei. Jakiej? Tej mianowicie, że niewykształcona poganica pozyskana dla wiary może w jej wyznaniu osiągnąć podwójny wieniec chwały”. Na uwagę zasługuje fakt iż ów

jezuita był członkiem elitarnego Société des Bollandistes, które to stowarzyszenie zawsze dążyło uparcie do nowych poszukiwań o świętych. Decyzja watykańska musiała być szokiem dla wielu wiernych z naszego regionu, gdzie tyle kościołów i kaplic pod jej wezwaniem. Wszędzie obecne też są jej wizerunki. Ale, co innego naukowe dysputy i rozważania teologiczne a co innego prawdziwa wiara, owa typowa religijność ludowa, a wiara ta jest gorąca, pobożna. I niepodważalna. Przypomnijmy też, że o religijności ludowej zawsze z najwyższym szacunkiem wyrażał się św. Jan Paweł II, a ta wypowiedź papieśka jest zawarta w Katechizmie Kościoła Powszechnego.

Teksty hagiograficzne, czyli co wiemy o św. Barbarze?

Ludność naszego regionu знаła wiele tekstów hagiograficznych, pięknych i niezwykle bogatych w różnego rodzaju wiadomości. Przykładowo z „Pieśni o św. Barbarze, patronce konających, dla górników z ksiąg przez cenzurę duchowną aprobowanych” opublikowanej w 1879 roku przez Karola Janitzka organistę w zabrzańskich Biskupicach dowiadujemy się iż:

*„Za starosty Marcyana
Cesarza Maksymiliana
Zrodził Dioskoros córę nadobną”.
Pannę Barbarę.*

A dalej:

*„A ten mieszkał w Nikomedzkim mieście
W mieście pod cesarzem rzymskim
Nie znał Boga prawdziwego
Bo był rodu pogańskiego”.*

Idąc tym tropem informacji, podajmy tylko, że zgodnie z wczesnymi tekstami hagiograficznymi naszą patronkę wiązano z miastem Heliopolis w Syrii. Tam się ponoć urodziła, a zginęła 4 grudnia 305 lub 306 roku już w innym mieście – „do którego na naukę skierował ją jej ojciec bogaty i zły poganin Dioskur” – czyli w Nikodemii, w dzisiejszej Turcji. Inne teksty podają zaś, że właśnie pochodziła z owej Nikodemii. Podobny chaos faktograficzny panował wyraźnie także w dawnych górnośląskich „biografiach” Świętej. Pozostawmy jednak na uboczu te skąpe, rozproszone i niepewne fakty zawarte w różnych tekstach hagiograficznych. Odwołajmy się natomiast do tego, co o owej świętej najczęściej „opowiadały” ludowe, zwłaszcza górnicze, powieści i podania. I tak wedle tekstu zapisanego przez etnografkę Barbarę Bazieli w 1966 roku poznajemy taką oto górniczą wersję jej biografii: „Ojciec chciał wydać świętą Barbarę za bogatego poganina ale jej piastunka wychowała ją po chrześcijańsku i święta Barbara odmówiła. Ojciec uwięził ją za to w wieży, gdzie były dwa okna, ale Barbara kazała wybić trzecie na pamiątkę trzech postaci boskich. Ojciec zagroził jej ścięciem, wtedy uciekła z wieży i ukryła się w szczelinie skalnej. Zdradził jej kryjówkę pastuszek. Ojciec zabił Barbarę, lecz zaraz potem grom spalił go i pastuszka. Święta Barbara została patronką górników bo kryła się w skale”. Tyle opowieści z Zabrze-Makoszowych. Barbara urasta do wiernej uczennicy Chrystusa, dziewczicy, męczenniczki. Ponoć na początku kaźni dzięki wstawiennictwu Jezusa chłosta wydała się jej – jak to kiedyś powiadano – „jakby muskaniem pawich piór”. Ale np. ks. Stanisław Sierła pisał w 2003 roku na łamach jednego z katolickich czasopism: „Męczeńska śmierć św. Barbary jest wynikiem zderzenia się dwóch światów – zderzenia tego, co Boskie, z tym, co ludzkie. Ojciec chciał dobra swej córki, chciał, by wyszła za mąż za młodego bogatego człowieka i była szczęśliwa, ale nie liczył się z jej wolą i z jej sumieniem. Barbara natomiast wdziała swoje szczęście w pełnym oddaniu się Chrystusowi jako swojemu Oblubieńcowi. Nie uległa naciskowi z zewnątrz, zachowała swoją wolność i godność osobistą, stawiła miłość do Jezusa wyżej od wszelkich wartości ziemskich i była gotowa oddać Bogu w ofierze swoje młode życie”. Fakt pozostaje faktem, umarła w strasznych mękach. Lecz dodajmy tylko – o czym również przekonałem się w czasie badań realizowanych jeszcze w latach 70. ubiegłego stulecia, kiedy już upadała tradycyjna kultura górnicza – iż, wedle lokalnej tradycji po raz pierwszy miała wyjść na powierzchnię na Górnym Śląsku. Wtedy to zziębniętym mężczyznom, którzy próbowali ogrzać swe domostwa drewnem zebrany w lesie zaproponowała inne rozwiązanie. „Naj-



odważniejszym kazała pójść za sobą i tak się napoczęło u nas górnictwo. Na początku kopano blisko przy ziemi, jak te biedaszyby, a potem te niby górnik zaczęli już – jak mi to powiedział w 1976 roku pewien stary górnik, pan Paweł z katowickich Piotrowic, urodzony w 1888 roku – fedrować na grubach”. A dalej przytoczył mi opowieść ponoć popularną jeszcze po I wojnie światowej: „A było to tak. Jak ci biedni ludzie tam marzli i ich całe rodziny, to na roz im się pokazała taka kobita w czerwonym mantlu jak jako królowa, i łona miała miecz w lewyj ryncie, a na gowie korona, a za niom jasne takie było, blask taki. Wtedy powiedziała, że ci co majom odwaga to majom iść za niom, i poszło szyćrech, abo trzech. Na roz sie ziemia tak rozciongła a dziura w niej była i łoni za niom do niej śleżli na dół. Znikli, no a jak łoni wyszli to mieli w rynkach coś czornego, a to był wongiel i św. Barbara kozoła nim polić; powiedziała tyż im coby ino swoim kamratom pedzieć o wszystkim, i z nimi kopać...”. Niezwykła piękna opowieść, oddająca za całą pewnością istotę tradycyjnej religijności górnictwa, zwłaszcza górniczej. I z całą pewnością kult świętej Barbary był na ziemi górnictwa niezwykle. Od samego też początku górnictwa św. Barbara stała się patronką i orędowniczką górników. Jakże zaskakujące dla współczesnych jest to, że już z początkiem XIX wieku znane były, i popularne nabożne pieśni jej dedykowane. Przykładowo taka:

*„Barbaro święta! perło Jezusowa,
Ścieszko do nieba grzesznikom gotowa,
Wierna przy śmierci patronko smutnemu,
Konającemu.
Źródło czystości, obmyta na wieki,
Nie wypuszczaj mnie z twej świętej opieki,
Ty mnie przygotuj na drogę wieczności,
W światłobliwości”.*

Przejawem owego kultu był pełen pobożności stosunek do Barbary, w czym tkwiły elementy nieomal mistycznej postawy; ale i poddaństwa, oddawania się całkowicie w jej opiekę, przekonania że jest ona prawdziwą, niestrudzoną i niezawodną opiekunką. Kogo? Wszystkich Górnolazaków, całej swojackiej wspólnoty, a w tym w sposób szczególny ludzi podziemnego trudu. To wszystko odzwierciedlały pieśni, w tym samorodne, ale i oczywiście opowieści i podania, czyli swoistego rodzaju – jak to kiedyś nazywał Józef Ligęza – „ludowa literatura górnicza”. A najpełniej w kulturze świętowania ów kult Barbary znajdował odzwierciedlenie w dniu 4 grudnia, kiedy to odbywały się uroczyste msze święte, co związane było z ceremonialnymi pochodami górników do kościołów. Natomiast w kopalniach organizowano charakterystyczne uroczystości powiązane z pięknymi obrzędami zawodowymi. Inne były te obchody w XIX, w początkach

tego wieku, inne pod koniec, a inne w latach międzywojnia. I po obu stronach ówczesnej granicy polsko-niemieckiej dzielącej górnolazki region, a jeszcze inne, po 1945 roku. Bo po II wojnie światowej „zamykano” ołtarze dedykowane górniczej patronce. A potem już w dobie PRL-u systematycznie niszczone ów kult. Zmiany pozytywne nastąpiły dopiero w dobie „Solidarności”, bo sacrum towarzyszyły treści społeczne i patriotyczne. Dopiero jednak nastanie wolności w 1989 roku spowodowało zanik tendencji ideologicznych skierowanych wobec św. Barbary, ale jednak pojawiło się z wątpliwością religijne, nawet zachowania laicyzacyjne. Pomijając próbę choćby lapidarnego opisu historii Barbórki – a zatem i objawów kultu i obrzędów zawodowych – warto przytoczyć początkowy fragment jego prezentacji umieszczony na „Krajowej Liście Niematerialnego Dziedzictwa”: „Barbórka jest zwyczajem dorocznym i obyczajem świątecznym grupy zawodowej górników węgla kamiennego na Górnym Śląsku praktykowanym od początku XIX wieku do chwili obecnej. Obchodzona 4 grudnia, w dniu wspomnienia św. Barbary, wpisana się w przestrzeń kulturową regionu dzięki przekazom pokoleniowemu i środowiskowemu. Stanowi nieodłączny element górniczej tożsamości pielęgnowany przy współdziałaniu właścicieli, dyrekcji i zarządów kopalń, lokalnych parafii oraz stowarzyszeń, których przedstawiciele są aktywnymi uczestnikami obchodów”. I zaznaczmy że 10 lipca 2018 stała się rzecz ważna. Oto decyzją ministra kultury i dziedzictwa narodowego „Barbórka górników węgla kamiennego na Górnym Śląsku” została wpisana na Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. A niedawno prasa doniosła: „Tegoroczny sezon barbórkowy rozpoczął się od obchodów górniczego święta zorganizowanych w piątek, 9 listopada przez Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze. Obchodów wyjątkowo hucznych, bo połączonych z uczczeniem wpisania Barbórki na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO”.

Zawsze 4 grudnia był dniem szczególnym, jak podaje niezastąpiony Adolf Dygacz – wówczas śpiewano:

*„Dzisiaj jest święto
Świętej Barbary
Cieszy się górnik
Młody i stary...”*

I wskutek tego starzy górnicy powiadali, że w ów dzień „Górnik chodzi od murka do murka”. A był to dzień przypadający w okresie Adwentu, który w regionie był czasem zadumy, refleksji i wstrzemięźliwości w jedzeniu i picu, ale wskutek swojej religijnej i kulturowej normy przyzwolenia był to jednak czas zabawy. Ale uroczystości też świętowano nie tylko w kościołach pa-

tronkę górniczego stanu. Interesująca była też obecność św. Barbary w perspektywie, dawnej górniczej codzienności. Z owej miłości do patronki zrodziła się też niezwykła religijność zawodowa zanurzona w codzienności i jednoznacznie związana z świętą Barbarą. Stara, popularna pieśń tak oto odzwierciedla stosunek do górniczej patronki:

*„O święta Barbórko
zmiłuj się nade mną,
żebym ja nie został
pod tą ziemią ciemną”.*

A inna pieśń, zapisana w 1931 roku brzmiała:

*„Strzeż święta Barbarno,
Niech nie zerwie lina
bo by chleb straciła
niejedna rodzina”.*

A kiedy górnik rano wychodził na szychę, domownicy – jak podaje Stanisław Wallis – żegnali go słowami: „idź do roboty i niech cie tam święto Barbary prowadzi” i dopowiadano: „I niech nad grubą ma nad Tobą opieka co byś do dom do nas zdrowo przyszoł”. Górnik zaś odpowiadał: „Dzięki Wom i niech nad Wami Bóg bydzie miał patrzynie, a mnie Barbórka do roboty szczęśliwie przywiedzie...”. Stare pieśni oddawały ten niezwykle nastrój, odczucia górnika: „O święta Barbarno, zlituj się nade mną, żebym się nie został pod tą ziemią ciemną. Żona by płakała, dzieci by płakały, boby ojca swego więcej nie widziały”. Trzeba też w tym miejscu wyraźnie zaznaczyć, iż tzw. kultura górnicza niezwykle intensywnie reagowała na nieomal wszystkie aspekty codzienności, a ów moment wyjścia mężczyzny na grubę wywoływał szczególne zainteresowanie. Odzwierciedla to choćby jedna ze zwrotek popularnego „Weschnienia”:

*„Górnik wychodzi do pracy, żegna się z nimi,
Ze swą żoną i dziećmi najmilszymi,
Bo nie wie, czy może przyjść,
Może go ziemia przyciąć –
I ze swymi najmilszymi wiecznie rozłączyć”.*

Ale ufano, że się to nie stanie bo wierzone św. Barbarze. Gdy zaś górnik dom opuścił witał się z kamratami tradycyjnym „Szczęść Boże” lub „Glück Auf”, ale też często oddaniem się bezpośrednio w opiekę górniczej patronce. Wystarczyło lapidarnie stwierdzenie: „A myślą że dziś bydzie tyż z nami”. Kto? Oczywiście św. Barbara. A kiedy górnik przychodził do kopalni szedł do cechowni, gdzie odbywały się zbiorowe do niej modlitwy. Owe adoracje do świętej Barbary były integralną częścią robotniczej szychy, którą akceptowali nawet właściciele kopalń. Jakże pięknie odzwierciedlają to stare górnicze pieśni, jak choćby ta zawarta w zasobach folklorystów. „Jakech przyszedł do cechowni to

się przeżegnał i Barbórce na ołtarzu pod zdrowienie doł coby mnie zaś obroniła, w nieszczęściach ochroniła i szczęśliwie wrócić z ziemi pozwoliła. Bo tak w domu na mnie czekała moja żonka i na pewno za mnie rzyko koronka”. I tak dalej by można snuć opowieść o obecności Barbórki w życiu codziennym. Aż do chwili gdy górnik po powrocie do domu słyszał: „A dzięki ci dobro Barbórko żeś mi chłopca i lojca do domu przywiodła”. Górnik zaś zawsze odpowiadał: „A dzięki żeś mnie przywiodła ty Świnto nasza”. Nie dziwny się też, że św. Barbara odegrała też istotną rolę w zorganizowanym życiu religijnym, bo była ona – jak mówiono była wielką, sprawdzoną, i niezawodną patronką prawdziwego człowieczeństwa. Ona też określała wzór postępowania górników, ich ethos zawodowy. Jakże było to odległe od tego, co wyrażał Władysław Broniewskiego słynny wiersz:

*Prędzej, górniku, głębiej, górniku,
węgla pokłady rąb,
w twojej kopalni, na twym chodniku
staje ojczyzny zrąb.*

*Pod twym oskarżeniem padł kapitalizm,
nadszedł wolności czas.
Więcej żelaza, węgla i stali
dla robotniczych mas!*

„Pani od górniczych bractw”

Rozpocznijmy od początku. Oto papież Benedykt XIV wydał bullę datowaną 21 marca 1747. Wtedy to zatwierdził istniejące w Tarnowskich Górach bractwo, i podkreślił jego cele: praktykowanie pobożności, dzieł miłosierdzia, w tym goszczenie ubogich, godzenie zwaśnionych, nawracanie ludzi źle czyniących. Bulla została uroczystie ogłoszona w Tarnowskich Górach 15 sierpnia 1747, to jest w dzień niezwykły czyli Święto Wniebowzięcia NMP. Było to „Przeświałne Bractwo Barbary s. Panny y męczenniczki Chrystusowej y odpustami Rzymskimi u przywilejowane przy kościele Pharnim SS apostołów Piotra y Pawła na górach tarnowskich...”. I właśnie na ten wzór – jak piszą znawcy zjawiska – z czasem powstawały podobne bractwa na Śląsku, ale też w Nadrenii czy Westfalii. To niezwykle zjawisko w życiu religijnym i kulturowym, ale też społecznym. Po prostu – jak wspomina w 1998 roku 85-letni górnik z Rudy Śląskiej – te bractwa były bardzo „to doprowadziły pomocne dla ludzi, co robili na dole i ich rodziny też. Tak my godali i ojciec i jego ojciec, a oni oba robili w Murkach i u Gieschego. Takie to było zorganizowanie dla ludzi, od najmniejszego, do tego ważnego. Byli tam wszelkie górniki, na początku prawdziwe bergmony, dali „hajery”, (czyli rębacze) i „szleper” inacej „sleper” czyli te ładowacze albo zwykłe tragarze, dali ciskacze,

no i jeszcze „lerhajery”, (ucznie tych rębaczy), no i prawdziwy „szishajer” – to znaczy rębacz strzałowy.” I była jeszcze jedna szczególna rola św. Barbary. To przecież także niezawodna patronka Polski Podziemnej, po prośbu walki toczonej w latach niemieckiej i sowieckiej okupacji. Była patronką, orędowniczką i przewodniczką w tej walce. Odzwierciedla to choćby następujący tekst:

*„Święta Barbaro, przewodniczko
w walce o niepodległość,
spraw
żeby pomszczony był niepokój ściganych,
żeby pomszczona była poniewierka
i ból uwięzionych, żeby pomszczone były
męczarnie katowanych, żeby pomszczona
była bezsilna rozpacz osieroconych”.*

Była też patronką tajnych drukarzy i modlono się:

*„Święta Barbaro, górników patronko,
zejdź w niewoli podziemie czarne
i szaty swojej koronką
osłoń tajną drukarnię”.*

Jakże też interesujące jest, że św. Barbarę proszono o pomoc w walce zbrojnej, ale zarazem o zachowanie człowieczeństwa wobec zwyciężonych wrogów:

*„bądź przy nas, gdy zemsty nadejdzie
godzina,
żeby zemsta obowiązkiem nam była,
nie rozkoszaj...”.*

Wspomożycielka „Solidarności” i nadzieja w stanie wojennym

W owych szczególnych okresach pojmowanie patronki górniczego stanu nabrało dodatkowych nowych cech. Jej kult uległ wzmocnieniu, nie tylko w wymiarze religijnym, ale i społecznym oraz politycznym. Jej wizerunki wróciły do wielu dotychczas „zakazanych” miejsc, ale postrzegano ją także jako wspomóżycielkę nowego ruchu. To poświadczają liczne dowody z owych lat. A w latach stanu wojennego była święta adresatką modlitw. Mieszkanca Zabrze w 2005 roku mówiła: „Jak to z nią jest to ja nie wiem, bo każdy rzyko jak rzyko. Tyn do św. Franciszka, drugi do św. Anny, wszyscy do Matki Boskiej z Piekor, czy Barbórki też (...). Teraz już tak do niej się nie rzyko ale też się coś zmienia. Na bez tydzień takiego rzykano już nie ma, jak downij, ale jak co trzeba to każdy jednak do niej idzie. W tych latach (stanu wojennego – przyp. MGG) to się wszystko wzmogło bo o to bardzo dbali fararze i ludziom się to podobało”. A Tadeusz Kijonka – rejestrujący udatnie także przemyslenia, emocje i uczucia Górnoślązaków w trudnych momentach historii – w szczególny sposób ukazał związek św. Barbary z losami

mieszkańców regionu. Oto w wierszu Powiastka – pomieszczonym w tomie poetyckim *Czas zamarły* z 1991 roku – pokazuje św. Barbarę w nowej roli; pięknie i jakże symptomatycznie:

*„Barbara co noc sypia w innym familoku,
Ma pewne dokumenty,
Jednak twarz Barbary
Každy z miejsca rozpozna”.*

To oczywiste, bo jej wizerunki były powszechnie znane, *obrazy y figury w kościołach a oleodruki* – podówczas – w wielu jeszcze domach.

Patronka od zamykanych kopalń

*„Jak się zaczęło likwidowanie kopalni,
co na każdy fedrował i syn, i ojciec,
i brat, to było tak, że przy naszym arcybiskupie Żimoniu zawierano kopanie.
Nie roz było tak, że po stu latach ją zawierano to uroczystość religijna była wielko. Żoł był, a na koniec msza, tyż dobre słowo Arcybiskupa i pocieszenie, bo się kończyło u nos co trwało dobre dwiasta lot, znaczy górnictwo. Najgorsze sobie przypominom te wielkie strajki w 1995 roku, największe, a jednak i pocieszynie było i jakoś ulżyło, bo tyła ludzi zwolnili, na jednej i drugiej i trzecie grubie (...). Jo teraz na swoja gruba chodza i patrza co z niej zostało...”.
A w zeszłe lato to zech czytał iże w 1989 roku było nos, znaczy górników ponad 400 tysięcy chłopca, terazki ino 85 tysięcy. To łona, św. Barbara jak była przy otwieraniu kopalń, przy świętach, to przy nos była jak je zawierali...”.*

Barbórka od uratowanego górnictwa?

Dzisiaj zmieniły się czasy, ale górnicy pamiętają, a potwierdzić to mogą i socjologowie i etnologowie – wstrząsy, które przeżywał ich przemysł. Swójście dokumentują – co zaczyna być obecne w dyskursie potocznym, a nawet coraz bardziej w sfolkloryzowanych opowieściach – fakty z niedawnej przeszłości. Operują liczbami, ale i nazwiskami szefów górnictwa, dyrektorów kopalń, ale i ministrów. I w tym dokumentowaniu wstrząsów, a nawet kaktizmów, zachowana jest też pamięć o ustawicznych próbach ratowania górnictwa, o ustawicznym – jak się tu mówi – rzekomym dbaniu o górników. A wreszcie o wyrażaniu im okazjonalnego podziwu i uznania. Ale zaznaczymy, że cechą tradycyjnej kultury tego regionu jest nadzieja, a w tym szczególnym przypadku uosabia ją św. Barbara. I to jest szczególnie intrygujące i interesujące. Z tego wynika, że św. Barbara zaczyna się jawić jako patronka od uratowanego; tego lepszego górnictwa. Żłudzenie czy błędny wniosek antropologiczny?

Mała, niepozorna, szara książeczka, nie wyróżniająca się szczególnie spośród podobnych, broszurowych edycji, zalegających magazyny śląskiej księżnicy. Ale na swój sposób zaskakująca, gdy spoglądamy na miejsce wydania: Kraków. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz: rok 1900. Owa nikłość książeczki w porównaniu z monumentalnymi tomami, wydawanymi przez Uniwersytet oraz Akademię Umiejętności, m.in. „Monumenta Poloniae Vaticana” jednak zaskakuje. Gdy zaś wzrok nasz padnie na atrakcyjny, jak co roku, zwłaszcza w grudniu, tytuł: „W wilią Bożego Narodzenia” wraz z intrygującym dopowiedzeniem – pod tytułem „Pamiętka ostatniej wili XIX wieku”, wtedy tomik ten nabiera niezwykłej powagi, staje się wręcz prowokacją, szczególnie dla tych czytelników, którzy bez mała dwie dekady temu przeżywali podobny moment przekraczania granicy dwu stuleci; ba, dwóch tysięcy wraz z apokaliptycznymi oczekiwaniami na gigantyczną katastrofę naszej cywilizacji. Nic się takiego nie stało. Świat istnieje dalej, a oplatający nas zewsząd krąg cyfrowej codzienności nie uległ zniszczeniu, lub choćby zachwianiu. A za nami już niemal 20 proc. czasu nowej ery.

Przekraczanie stuleci ma więc w sobie nieokreśloną magię, swoistą odświętność przemijania, wręcz niezwykły walor oczekiwaniami na Coś. Przyjemnego? Kasandrycznego? Uniestwiającego? A tym bardziej dla historyka, wędrującego, poznawającego i swobodnie poruszającego się w przestrzeni całego minionego tysiąclecia. A przecież autorem owej niepozornej książeczki, zawierającej w sobie trzy wigilijne studia, jest jedna z najbarwniejszych, ale i największych osobowości naukowych Krakowa przełomu wieków – Stanisław Smolka (1854–1924), profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, jego rektor z lat 1896–98, sekretarz generalny Akademii Umiejętności, organizator tzw. Ekspedycji Rzymskich, penetrujących zbiory watykańskie oraz organizator Stacji Naukowej w Paryżu, wreszcie redaktor naczelny „Czasu”. Był też na swój sposób postacią nietuzinkową w środowisku akademickim całej Galicji. Doktoryzował się w wieku 19 lat, profesorem nadzwyczajnym był już 3 lata później, a stąd krok do uzwyčajnienia i do szczytów akademickich laurów. Jaka to musiała być prowokacja dla tych, którzy zmuszani do uczelnianej emulacji, wolno nizali swoje teksty, tworząc tzw. dorobek, latami marząc o uniwersyteckich katedrach, przechodząc krok po kroku, wymagane wszak etapy awansu naukowego. A przecież ten młody uczonek bardzo szybko zyskał uznanie wśród akademików, skoro już w lutym 1883 roku przejął po profesorze Józefie Szujkim, pierwszą w dziejach katedrę historii w krakowskiej Alma Mater. Zapewne nie przewidywał tego sukcesu wówczas, gdy dwa miesiące wcześniej pisał o fenomenie polskiej wigilii. A pisał tak: „Nadeszła wilia. Dzieci z niecierpliwością wyglądają gwiazdki, z drżeniem serca wyczekują chwili, którą wyobraźnia przez rok cały przystrajała w uroczu barwy. Ale i starsi dziećmi się stają w ten wieczór uroczysty, dziecinne drżenie serca udziela się wszystkim, gdy przyjdzie zasiąść do wilijnego stołu; kto nawet wiekiem czy losem na to skazany, że mu już żadna w życiu nie zaświeci gwiazdka, stanie przy tym stole jeszcze bardziej wzruszony od dziecka, które podarunków pożąda, bo gwiazdka przynosi bogatą wiązkę wspomnień, tak żywych, jak nigdy, a najpiękniejszych z całego życia. Uczucie, jakie rodzinę



Białe Kruki Biblioteki Śląskiej

Biblioteka Śląska

Trzy wigilie krakowskiego uczonego

JAN MALICKI

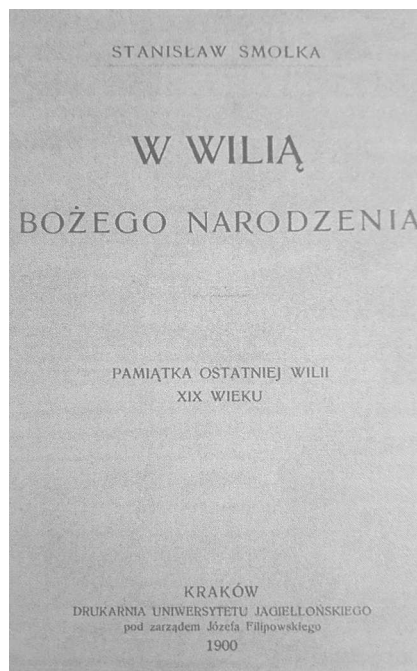
polską zgromadza na wilię, nie ma sobie równego.”

Stanisław Smolka nie wiedział jeszcze, że w tymże pamiętnym dlań roku 1883, przejmie redakcję krakowskiego „Czasu” i będzie nim kierował przez 4 lata. Ów ortodoksyjny mediewista, najczęściej kojarzony z dwiema wielkimi monografiami, wcześniejszą: „Henryk Brodaty. Ustęp z dziejów epoki piastowskiej” (1872) i niedawnej „Mieszko Stary i jego wiek” (1881) ma jednak potrzebę i ochotę na inną jeszcze formę pisarskiej aktywności. Popularyzację wiedzy, łącząc, jak sam mawiał, „ścisłość postępowania naukowego z artyzmem przedstawiania”. To zaledwa dana niewielu, acz decydująca o sukcesie każdego władającego piórem twórcy. Z całą wyrazistością i konsekwencją stosował w praktyce to metodologiczne przesłanie, również w swoich trzech studiach wigilijnych. Szczególnie, gdy pisał o pierwszej wigilii roku 965, a może 966.

To już dwa spośród trzech studiów, współtworzących w całości trylogię wigilijną Stanisława Smolki. Przypomnijmy. Pierwsze z nich, z roku 1882, to swoisty bieg przez stulecia, gdzie osi opowieści stają się wigilie w momentach przełomowych Polski minionego tysiąclecia. Drugie studium, z roku 1883, to opowieść o „godach wilijnych” w polskim domu, „granitowej podwalinie miłości domowego ogniska”. Wreszcie trzecie, najciekawsze, historiozoficzne, zaczynające się od słów: „Doczekaliśmy się ostatniej wili XIX wieku. Co będzie za sto lat, gdy prawniki nasze i ich wnukowie zasiądą do wilijnego stołu? Ufajmy, że zasiądą.” Dziś możemy rzec – zasiadli. I jak przed laty będą zadawać te same pytania; o makrowymiar Domu Historii i codzienność zwykłego, szarego człowieka. O rozdarcie między Wschodem i Zachodem, a kłopotami z miejscem, w którym przyszło nam żyć. Między „wichrami wojny” gdzieś na świecie a jakże nieodległymi połajankami najbliższych.

Minęło kolejnych sto i kilkanaście lat. Minął kolejny wiek, a z nim wigilie. I w rzeczy samej, wigilia pozostała jedna i niezmienna. Różne są natomiast jej uwarunkowania, konteksty, nastroje, emocje, uczucia. Tylko je utrwala pamięć. I doznania. Wigilie radosne. Wigilie ludzi smutnych, starych, biednych. Wigilie czasów wojny i złowrogiego milczenia. Jednak w tym jednym, jedynym dniu wszyscy wracamy „na ulicę zdradzonego dzieciństwa, na ulicę Wielkiej Kołedy”. A wtedy, niczym głos ze starej katarynki, pobrzmiwa refren dawno słuchanej piosenki, może granej na paterfonie, i błysk szkolnego mundurka. Wtedy powracają słowa zapomnianego Poety:

Jest cicho. Choinka płonie.
Na szczycie cherubin fruwa.
Na oknach pelargonie.
Błask świeczek złotem zasnuwa.
A z kąta, z w ust brata płynie
Kołąda na okarynie:
Lulajże, Jezuniu,
Moja perelko,
Lulajże, Jezuniu,
Me pieściółko.



Fot. z archiwum MiPBP w Raciborzu



Akcja „Steciaki na wakacjach” w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Raciborzu

Biblioteka – dobre miejsce nie tylko do czytania!

EDYTA ANTONIAK-KIEDOS

W bibliotekach województwa śląskiego odbywa się wiele imprez, których skala i zasięg są ogromne i stale rosną. Jedne adresowane są do maluchów, inne do seniorów; na jedne przybywa po kilka lub kilkanaście osób, inne goszczą prawdziwe tłumy; jedne przebiegają zgodnie z tradycją, inne wybiegają w przyszłość, hołdują najnowszym bibliotekarskim modom; jedne czerpią ze świata książkowych bohaterów, inne inspirowane są nowinkami technicznymi; jedne adresowane są do wąskiego, wysublimowanego grona odbiorców, inne przeradzają się w imprezy masowe; jedne są popularne wśród społeczności lokalnej, inne stają się wydarzeniami ponadregionalnymi; o jednych informują ledwie portale internetowe, w innych uczestniczą dziennikarze prasowi, radiowi, a nawet telewizyjni; jedne mają wartość edukacyjną, inne starają się zapewnić nie tylko intelektualną rozrywkę. Jednakże

wszystkie te wydarzenia pozwalają traktować bibliotekę jako miejsce spotkań, jako żywy organizm, który tworzą ludzie, ich miłość do czytania, pasja szerzenia kultury i zaangażowanie w rozwój swój i drugiego człowieka.

Najważniejsze dla współczesnego bibliotekarza to znaleźć równowagę między promocją czytelnictwa, stosowaniem atrakcyjnych metod przyciągania do biblioteki a samym czytaniem. Nie można w pogoni za klientem, za modami, za statystykami odwiedzin zapomnieć, że najistotniejsze jest zanurzenie się w książkę, rozsmakowanie w tekście. Dlatego też wiele bibliotek docenia osoby, które namiętnie czytają. To dla nich organizowane są konkursy i plebiscyty na najlepszego czytelnika. To dla tych najwierniejszych przyjaciół biblioteki organizowane są liczne kluby, w tym oczywiście Dyskusyjne Kluby Książek, ale także kluby o innym charakterze, np. Klub

Brydżowy, Dyskusyjny Klub Płytkowy, Klub Czytających Rodzin, Klub Rękodzieła, Klub Miłośników Historii, Klub Molika Książkowego, Klub Młodego Dziennikarza, Klub Młodego Reportera, Klub Seniora, Klub Ekologa czy Klub Historyka.

Ogromnym zainteresowaniem cieszą się też kluby miłośników gier bez prądu, wszelkiego rodzaju planszówek, karcianek. Specjalnie dla tych osób organizowane są turnieje gier planszowych. Poza tym alternatywą dla komputera może być Maraton Układania Puzzli, Biblioteczna Liga Szachowa czy Turniej Scrabble albo zawody „Rummikub w bibliotece”. Należy dodać, iż renesans przeżywają – zdawałoby się dawno zapomniane – gramofony i płyty winylowe czy stare rzutniki do bajek. W bibliotekach organizuje się specjalne zajęcia dla tych, którzy chcą poczuć atmosferę przeszłości, a w Gliwicach odbywa się nawet Giełda Płytkowa.

Kolejnym ciekawym przedsięwzięciem w bibliotekach województwa śląskiego jest aranżowanie spotkań dla osób, które chcą się uczyć języka obcego albo chcą w nim porozmawiać. Wiedza, której się nie używa, umyka z naszych umysłów. Bibliotekarze dają szansę na odświeżenie swoich umiejętności językowych i organizują konwersatoria, takie jak: „Fajfokłoki”, dyskusyjne kluby English Discussion Club, „Chatting with tea”, a nawet Art. Zone – warsztaty plastyczne z elementami nauki języka angielskiego. W wielu placówkach odbywają się też zajęcia z języka angielskiego dla początkujących, można również korzystać z darmowych pakietów do nauki języków obcych online.

Bibliotekarze, chcąc wpoić dzieciom od najmłodszych lat, że warto odwiedzać biblioteki, najczęściej atrakcji przygotowują właśnie dla nich. W wielu placówkach już wystrój wnętrz zaprasza do spotkania, a animowane zabawy stają się alternatywą dla taniej rozrywki w innych miejscach. Atrakcyjna oferta skierowana jest do najmłodszych dzieci (nawet tych niepotrafiących jeszcze czytać) i często umożliwia spędzenie wspólnego czasu z rodzicami i opiekunami, czasem też z dziadkami. Niejednokrotnie zajęcia dla maluchów połączone są z ofertą dla rodziców, tak by mogli poprawić swoje wychowawcze kompetencje, np. spotkania warsztatowe z pedagogami, terapeutami, psychologami, podejmującymi szeroko rozumiane tematy wychowania i wspierania rozwoju dziecka. Organizowane są też warsztaty międzypokoleniowe, zacieśniające więzi pomiędzy dziećmi i dorosłymi, którzy przedstawiają gry i zabawy podwórkowe sprzed lat (m.in. takie jak: cymberegaj grzebinowy, pchełki, bierki) oraz przypominają grę na unikatowych instrumentach – dwój-



nicach, dutkach, wabikach, fujarkach sześciotworowych itp.

W różnych kulturach czy grupach społecznych i zawodowych następuje rytuał wtajemniczenia, swoista inicjacja. Bibliotekarze też mają taki obyczaj i jest nim „Pasowanie na czytelnika”, które celebrują liczne placówki w naszym województwie.

Dla uczniów szkół podstawowych i gimnazjum przygotowuje się również wiele interesujących wydarzeń, w tym: lekcje biblioteczne, warsztaty, spotkania, koncerty i wyjazdy. Na szczególną uwagę zasługują projekty popularyzujące nauki ścisłe wśród dzieciaków i młodzieży, np. Eksperymentalna Akademia Młodych Czytelników, Akademia Bibliotecznym Odkrywców czy Dziecięca Akademia Naukowa. W nawiązaniu do życia i twórczości wybitnej Polki – Marii Skłodowskiej-Curie prowadzona jest akcja „Eksperymentuj, odkrywaj, działaj. Bądź jak Maria”, która pozwala młodym czytelnikom uwierzyć, że inwestowanie czasu w naukę przynosi piękne owoce, a jednocześnie jest naprawdę ciekawe. Dla tzw. ścisłowców przygotowano też m.in.: warsztaty polimerowe, cybernetyczne i zajęcia z kodowania.

Biblioteki włączają się też w kampanie dotyczące nowych technologii, Internetu i wpływu elektroniki na ludzkie życie. Z jednej strony starają się odciągnąć od komputera, zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo uzależnień od Internetu, np. poprzez lekturę książek i warsztaty z Krzysztofem Piersą czy przez uczestnictwo w akcji „Sieciaki na wakacjach” pod patronatem Fundacji Dzieci Niczyje i Fundacji Orange, mającej na celu nauczanie dzieci, jak radzić sobie z zagrożeniami w sieci, jak chronić swoją prywatność w Internecie. Z drugiej strony w bibliotekach próbuje się nauczyć dzieciaki mądrze korzystać z wynalazków techniki i osiągnięć cywilizacyjnych. W wielu placówkach powstają Lokalne Kluby Kodowania, pracuje się z Robotami Finh, tabletami, prowadzi się warsztaty robotyki, w tym z klockami LEGO, zajęcia z iPadami. Dzieci mogą się uczyć m.in. nagrywania i obróbki filmów, animacji poklatkowej, modelowania przestrzennego, wykonywania druku 3D, design thinkingu i programowania jako umiejętności potrzebnych na rynku pracy.

Trzeba też zaznaczyć, że biblioteki intensywnie wspierają rozwój zainteresowań wszystkich grup wiekowych, a zróżnicowanie tematyczne jest ogromne. Od kąciów artystycznych, poprzez warsztaty z zakresu technik poznawczych i behawioralnych (w zakresie radzenia sobie ze stresem, wypalenia zawodowego czy wzmacniania asertywności), aż po dziecięce „malowanie mrozem”. Od kilku lat sporym zainteresowaniem w bibliotekach cieszą się półki bookcrossingowe, wszel-



Cykl warsztatów popularyzujących nauki ścisłe w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tarnowskich Górach



kiego rodzaju wymiany książek. Wiele osób ceni sobie współpracę z grupą Śląskich Blogerów Książkowych. Wymiany książek odbywają się pod różnymi hasłami, np. „Daj książkę drugie życie” albo „Targ na Zielonym”.

Książka zyskuje nowe życie także w inny sposób – poprzez ekranizacje i adaptacje. W wielu bibliotekach łączy się zatem ofertę książkową i filmową, prowadzi się dyskusje o podobieństwach i różnicach między oryginalnym dziełem a jego twórczą interpretacją reżysera, scenarzysty czy aktora. Warto wspomnieć, że pokazy filmów połączone są z prelekcjami i promowaniem literatury na dany temat, np. przy okazji tak głośnych produkcji, jak *Wołyń* Wojciecha Smarzowskiego. Biblioteki zapraszają do swoich siedzib – jeśli tyl-

ko warunki lokalowe na to pozwalają – teatry. W wielu placówkach nie zabrakło też fenomenalnego teatrzyku Kamishibai, w murach bibliotek świętuje się też Międzynarodowy Dzień Teatru.

Biblioteki nie zapominają o seniorach i osobach wykluczonych, niepełnosprawnych, obłożnie chorych. Seniorzy mogą brać udział w warsztatach komputerowych, uczą się obsługi poczty internetowej, wyszukiwania informacji w Internecie, zgrywania zdjęć z aparatu i obróbki cyfrowej fotografii. Jak wiadomo, jedną z ulubionych rozrywek seniorów jest czytanie, dlatego bibliotekarze starają się urozmaicić ofertę kulturalno-edukacyjną tak, by każdy znalazł coś dla siebie.



MAREK PIECHOTA

KOT

Tyger! Tyger! burning bright
William Blake, *The tyger*

Kocie! Kocie! Pozwól dociec,
Czyich marzeń mieścisz krocie
Pod puszystych powłok splotem,
Kto uczynił kota kotem?

Pod łapkami twymi sofa –
Postumentem filozofa.
Stoicyzmu jak nie cenić
W wąskich szparkach twoich źrenic?

Zwinny cel, by zbiec, pokusy
W norkę mysią nie uniesie –
Tak z maestrią sadzisz susy
Nieuchronne niby jesień.

Z łagodnością łapy łotrze
Po masakrze z gracją otrzesz...
Kto ci dał, tak od niechcienia,
Prócz pazurów dar mruczenia?

Szybszy od własnego cienia
Czy znajdujesz choć cień racji,
Że to błysk premedytacji,
A nie owoc roztargnienia?

Kocie! Kocie! Pozwól dociec,
Czyich marzeń Pan czy Ojciec
Z producenta kusz polotem
Skusił się, by kot był kotem?

Mojej Małgosi w marcu 2014 r.





Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2019 rok!
 Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
 Prenumerata półroczna – 42 złote
 Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
 nazwa odbiorcy cd.: UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE
 I.L. nr rachunku odbiorcy: 0820300045111000004079490
 waluta: PLN
 nr rachunku zlecającego (przelew) / kwota słownie (wpłata): WP PLN
 nazwa zlecającego:
 nazwa zlecającego cd.:
 tytułem: PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
 tytułem cd.: „ŚLĄSK”

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zlecającego

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
 nazwa odbiorcy cd.: UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE
 I.L. nr rachunku odbiorcy: 0820300045111000004079490
 waluta: PLN
 nr rachunku zlecającego (przelew) / kwota słownie (wpłata): WP PLN
 nazwa zlecającego:
 nazwa zlecającego cd.:
 tytułem: PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
 tytułem cd.: „ŚLĄSK”

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zlecającego



K S A L S

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Anna Gaitoer

Joanna Kotkowska

Kordian Michalak

Janusz Ireneusz Wójcik



Fot. arch. Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie

POŚWIATOWSKA PO RAZ 39

CZĘSTOCHOWA. Podobnie jak w ubiegłych latach Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie przygotował Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej pod patronatem Marszałka Województwa Śląskiego Wojciecha Saługi i Prezydenta Miasta Częstochowy Krzysztofa Matyjaszczyka. W tym roku na konkurs wpłynęło około 190 zestawów (800 utworów) ocenianych w dwóch kategoriach – Przed debiutem i Po debiucie. Jury tworzyli poeci i publicyści: Joanna Mueller, Wojciech Kass (przewodniczący) oraz Marcin Orliński.

Finał konkursu odbył się w dniach 15–17 listopada. Ogłoszono wówczas wyniki Regionalnego Konkursu Poezji Śpiewanej *żyje się tylko chwilę...*, przygotowano wystawę *Poezja obrazu* Jurajskiego Fotoklubu Częstochowa, rozmawiano o poezji, zaprezentowano program poetycko-muzyczny *Moja dobra droga* Włodzimierza Galickiego i Artura Modrzejewskiego oraz przygotowano warsztaty literackie. Wyniki poetyckiego konkursu ogłoszono 17 listopada w Filharmonii Częstochowskiej, a uroczystość uzupełnił koncert Agaty Ślęzyk, artystki Piwnicy pod Baranami.

W kategorii Przed debiutem jury nagrodziło: Marcina Podlaskiego, Jolantę Rawski-Hilchenbach z Niemiec, Jakuba Bolca oraz Olę Kurę (wyróżnienie). W kategorii Po debiucie zwyciężyła Ewa Włodarska, II nagrodę otrzymał Rafał Baron, trzecią – Mateusz Miąg. Wyróżnienia przyznano: Aleksandrze Paprocie oraz Piotrowi Zemankowi, a do publikacji skierowano również wiersz Antoniny Tosiek. Nagrody ufundowali Prezydent Miasta Częstochowy, Starosta Częstochowski oraz Regionalny Ośrodek Kultury.

PIĘKNO WYDZIERGANE, PIĘKNO WYSTRYŻONE

CZĘSTOCHOWA. Do 11 listopada można było oglądać, najpierw w Pawilonie Wystawowym, a następnie w Galerii Dobrej Sztuki, prace nagrodzone w VII Konkursie Sztuki Ludowej *Azurowe piękno. W świecie koronki i wycinanki*. Konkurs jest organizowany co trzy lata, a jego celem jest dbałość o tradycję poprzez edukowanie oraz

popularyzację, a także eksponowanie transformacji rękodzieła. Jeszcze przed dozynkami w parku im. S. Staszica NeSpoon przygotowało instalację z gumek recepturek oraz koronek Aliny Krupy.

W tym roku wpłynęło 235 prac 91 artystów z Polski, Anglii, Meksyku i Włoch. Były przepiękne serwetki wykonane z żyłki jubilerskiej, kołczyki, czepce, serwetki, parasolki... Prace oceniało jury w składzie: Anna Filipowicz-Mróż z Fundacji Cepelia, dr Kinga Czerwińska z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, dr Anna Weronika Brzezinska z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Na wystawie pokazano 130 eksponatów – koronek i wycinanek. Wśród 28 laureatów była także częstochowianka, Maria Belica. Koordynatorem konkursu i wystawy była Ewelina Mędrala-Młyńska p. o. kierownika Działu Etnografii Muzeum Częstochowskiego. Uzupełnieniem były warsztaty koronarskie organizowane przez Muzeum w październiku, podczas których zapoznawano ze sztuką wycinanek, koronką klockową oraz koniakowską.

PLAKATY DO ZAPAMIĘTANIA

CZĘSTOCHOWA. Do 2 grudnia w Sali Poplenerowej MGS-u można było oglądać wystawę *40/40*, przygotowaną z okazji jubileuszu Andrzeja Pągowskiego, autora ok. 1400 plakatów, nagrodzonego na konkursach w Los Angeles i w Chicago. W 1989 roku zdobył „The Best of Show” za plakat do filmu *Stan strachu* (reż. Janusz Kijowski). Z każdego roku wybrano jeden plakat. Według komisarzy wystawy, Anny Paleczek-Szumlas oraz Barbary Major, to najbardziej charakterystyczne, choć nie zawsze najbardziej znane prace. Najstarszy był plakat z 1977 roku do spektaklu *Mąż i żona* Aleksandra Fredry w Teatrze Narodowym w Warszawie, najmłodszym miały być *Powidoki* Andrzeja Wajdy z 2016, ale okazało się, że był to *Kler* Wojciecha Smarzowskiego (2018). Wśród prac znalazły się plakaty promujące Wielkanocny Festiwal im. Ludwiga van Beethovena, Międzynarodowy Festiwal Sztuki Lalkarskiej, akcje społeczne, ale przede wszystkim polskie i zagraniczne filmy – w reżyserii Krzysztofa Kiesłowskiego, Jerzego Hoffmana, Janusza Kijowskiego, Barbary Sass, oraz spektakli teatralnych przygotowywanych w różnych miastach w Polsce. Pągowski posługuje się wyrazistą metaforą, która na długo zostaje w pamięci. Plakat do *Romea i Julii* (1985) składa się z dwóch grup, ostrosłupów oraz sześciątów. Oczy posiadają tylko symbolicznie przedstawieni Julia i Romeo, pozostałe bryły mają wyłącznie ręce i usta, co utrwala konflikt między rodami.

NAJLEPSZE FOTOGRAFIE PRASOWE 2017

CZĘSTOCHOWA. Już po raz 11 w Częstochowie zaprezentowano wernisaż pokonkursowy Grand Press Photo na parkingu w DH Schott. Organizatorem tego wydarzenia w naszym mieście jest Fundacja Festiwalu Sztuki Fotoreportażu, prowadzona przez Marcina Szpądrońskiego. Wystawa była efektem XVI Ogólnopolskiego Konkursu Fotografii Prasowej. Gościem specjalnym wernisażu w Częstochowie była Konstancja Nowina-Konopka, zwyciężczyni w kategorii *Ludzie* w pierwszym konkursie. Fotografie można było oglądać do 12 listopada. Na konkurs wpłynęło 4,8 tysiąca zdjęć. Jury pod przewodnictwem Stefano de Luigi zakwalifikowało do finału 65 zdjęć i 15 fotoreportaży. Nagrodę za Zdjęcie Roku otrzymał Adam Lach. Na wystawie można było raz jeszcze zobaczyć 250 fotografii prasowych, zastanawiając się nad ich przesłaniem oraz rolą w komunikacji społecznej. Podzielono je na kategorie: Wydarzenia, Życie Codzienne, Ludzie, Sport, Środowisko, Rozrywka i Kultura, Portret. Wśród fotoreportaży były również Projekty dokumentalne.

W HOŁDZIE MARSZAŁKOWI

CZĘSTOCHOWA. W listopadzie w Sali Wystawowej Biblioteki Głównej Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie przygotowano wystawę *Józef Piłsudski w rysunkach Zdzisława Czermańskiego. W 100-lecie odzyskania niepodległości*. Kuratorką była dr Elżbieta Wróbel. Pokazano tu wybrane karykatury Marszałka, zamieszczane w „Cyruliku Warszawskim” w cyklu *Historia literatury polskiej w obrazach* oraz *Bitwę pod Grunwaldem* wydrukowaną w „Wiadomościach Literackich”

w 1934 roku. I choć wiele z nich bez wyjaśniającego komentarza stała się nieczytelna, wciąż urzekają sposobem wykonania. Uzupełniały je litografie z albumów powstałych w latach 1931–1936 oraz na emigracji. Zdzisław Czermański urodził się w 1900 roku. Do wojska wstąpił w 1918 (do 5 Pułku Piechoty Legionów), następnie brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Do rezerwy odszedł w randze kapitana w 1928 roku. Naukę rysunku pobierał u Kazimierza Sichulskiego, potem w Paryżu (u Fernanda Légera), Londynie i Nowym Jorku. Po wybuchu II wojny światowej przez Paryż, Rio de Janeiro dotarł do Nowego Jorku, gdzie współpracował z „Tygodnikiem Polskim” oraz Instytutem Józefa Piłsudskiego.

KRÓTKO:

■ zagrali: Filharmonia Częstochowska – Andrzej Piaseczny, Raz Dwa Trzy, Maciej Maleńczuk; Rura – Happysad, O. S. T. R, Fisz Emade Tworzywo; OKF „Iluzja” – Mateusz Pospieszalski i Wojciech Waglewski; OPK Gaude Mater – Henryk Miśkiewicz Trio; Teatr im. Adama Mickiewicza – *Muniek i przyjaciele*; Muzyczna Meta – Zenek Kupatas;

■ wystawiali: Muzeum Częstochowskie i Konduktorownia – *Niepodległość Sztuki. Wolność Artysty. W 100 rocznicę odzyskania niepodległości*;

■ 25 listopada w Salonie Poezji prezentowano *Ogrody pamięci* Magdaleny Piekorz;

■ 25 listopada w MGS-ie Magdalena Kmiecik przygotowała performance *Nie! Podległa*.

MURAL Z PODOBIZNĄ WOJCIECHA KORFANTEGO

KATOWICE. 25 października minęło dokładnie 100 lat od historycznego wystąpienia Wojciecha Korfanteo w Reichstagu, w którym upomniał się o Górny Śląsk, jako region, który powinien należeć do odradzającego się państwa polskiego. W rocznicę tego wydarzenia zaprezentowany został oficjalnie mural w hołdzie Wojciechowi Korfantomu, który powstał na ścianie kamienicy przy ul. Reja 6 w Katowicach (mural widoczny od strony ul. Dudy-Gracza). Autor muralu Wojciech Walczyk domknął kompozycję umieszczając na niej logotyp katowickich obchodów stulecia niepodległości. W uroczystości wziął udział Marcin Krupa, prezydent Katowic.

ŚLĄSKI SHAKESPEARE

KATOWICE. Podczas 4. Śląskich Targów Książki ogłoszono listę laureatów VII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Śląski Shakespeare im. Anny i Piotra Dobrowolskich. Jest to konkurs dla debiutantów, autorów różnych form literackich, realizowany przez Bibliotekę Śląską. Jury tegorocznej edycji konkursu dokonało oceny 109 prac nadesłanych przez 90 autorów. Laureatami VII edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Śląski Shakespeare im. Anny i Piotra Dobrowolskich zostali:

Kategoria liryka

I nagroda – „Polana” Klaudii Gruszki

II nagroda – „Motyle ze Wschodu” Lidii Wojtyckiej

III nagroda – „Safona” Karoliny Stypuły

Wyróżnienie honorowe – „Wieczne sny” Karola Graczyka

Kategoria dramat

I nagroda – „Czerwony Kapturek” Andrzeja Błazewicza

II nagroda – „Jesteśmy tu martwi” Krzysztofa Chronowskiego

Trzeciej nagrody nie przyznano

Wyróżnienie honorowe – „Koniec świata” Lidii Wolczko

ŚLĄSKI WAWRZYN LITERACKI

KATOWICE. Podczas Wieczoru Wystawców 4. Śląskich Targów Książki w Filharmonii Śląskiej w Katowicach odbyło się uroczyste wręczenie nagrody Śląski Wawrzyn Literacki 2017. Jej laureatem – wskazanym w Plebiscycie Czytelników Biblioteki Śląskiej – został Ignacy Karpowicz za powieść „*Miłość*”. Statuetkę dłuta Zygmunta Brachmańskiego wręczyli prof. Krzysztof Uniłowski – prowadzący spotkania Klubu Dobrej Książki oraz prof. Dariusz Nowacki, który nominował „*Miłość*” do nagrody Biblioteki Śląskiej.

KATOWICE LIDEREM SAMORZĄDOWEJ EDUKACJI

KATOWICE. Po raz trzeci Katowice uzyskały certyfikat „*Lider Samorządowej Edukacji*”. Komisja Certyfikacyjna podkreśliła, że miasto może poszczycić się najwyższym poziomem kompetencji zarządczych w obszarze oświaty, a długofalowe planowanie strategiczne – *Polityka Edukacji Miasta Katowice Katowiczanie 2022*, pozwala na wszechstronny i dynamiczny rozwój samorządowej edukacji. U wagę Komisji zwrócił rozwój kształcenia językowego w katowickich szkołach – klasy dwujęzyczne w ujęciu systemowym oraz oferta klasy z rozszerzeniem z języka chińskiego w X LO im. I. J. Paderewskiego. Na ocenę Katowic miała wpływ również współpraca z partnerami przy realizacji wspólnych projektów edukacyjnych, za realizowany z Uniwersytetem Śląskim Śląski Festiwal Nauki, czy Uniwersytet Najlepszych, a także współpraca z podmiotami branży biznesu i przemysłu za projekt **Katowice Miastem Fachowców**. Dodatkowo Katowice doceniono za autorski program edukacji regionalnej „*Serce Metropolii – Katowice moje miejsce na Ziemi*” Katowice w bieżącej edycji Konkursu otrzymały ponadto tytuł „*Sukces Roku w Oświacie*”. Komisja zwróciła także uwagę na skuteczne starania Katowic w zakresie ubiegania się o organizację **XVI Międzynarodowego Kongresu Miast Edukacyjnych w 2020 r.** Kongres będzie przebiegał pn. „*Miasto przemian – jako przestrzeń dla kreatywności i innowacyjności – muzyka, środowisko, rekreacja, partycypacja*”. Kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia miast Edukacyjnych (IAEC) odbywa się co dwa lata. przychodzi on blisko 1,5 tys. gości ze wszystkich kontynentów. **Katowice są członkiem IAEC od roku 1998 Miasto Katowice, jako jedyne miasto w Polsce.** Siedziba Stowarzyszenia mieści się w Barcelonie. Aktualnie do stowarzyszenia należy 436 miast z całego świata.

GÓRNOŚLĄSKA NAGRODA LITERACKA „JULIUSZ”

RYBNIK. Na deskach Teatru Ziemi Rybnickiej pamiątkową statuetkę nagrody „Juliusz” **Robert Rybicki** odebrał z rąk **prezydenta Rybnika Piotra Kuczery**. Laureat podziękował za nagrodę i zadeklarował, że towarzysząc wyróżnieniu nagrodę pieniężną, przeznaczy na zakup perkusji. Górnośląska Nagroda Literacka „Juliusz” to ustanowione przez Prezydenta Miasta Rybnika wyróżnienie dla najlepszej polskiej książki spośród produkcji literackiej danego roku. Laureatem corocznej Nagrody może być tylko jedna książka, za którą przyznana zostanie statuetka Górnośląskiej Nagrody Literackiej Juliusz oraz nagroda pieniężna w wysokości 40 tys. zł.

13. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRÓW LALEK KATOWICE DZIECIOM

KATOWICE. Jury 13. **Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Lalek Katowice-Dzieciom** po obejrzeniu 9 konkursowych spektakli postanowiło przyznać następujące wyróżnienia i nagrody: *Wyróżnienie* za mistrzowski poziom animacji i poszukiwanie indywidualnego sposobu wypowiedzi dla twórców spektaklu *Żyrafa* z Hop Signor Puppet Theatre; *Wyróżnienie* za kultywowanie tradycji lalkarskich oraz poruszanie problemów współczesnego świata dla twórców spektaklu *Przygody Batu-tá* z Mesebolt Bábszínház Nagrodę za najlepszą rolę kobiecą za naturalność i wiarygodność w przedstawianiu wielkich problemów małego człowieka dla *Agaty Kucińskiej* za rolę *Luny* w spektaklu *Odd i Luna* Wrocławskiego Teatru Lalek, nagrodę za najlepszą rolę męską za mistrzostwo działań aktorskich połączone z lekkością interakcji z widzami dla *Pawła Chomczyka* w spektaklu *Straszka pospolita* Grupy Co-incidentia; **Grand Prix** za najlepsze przedstawienie Festiwalu za stworzenie baśniowych archetypów i dostosowanie ich do języka kultury współczesnej dla twórców i wykonawców spektaklu **Zagubiony chłopiec** z Opolskiego Teatru Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki.

DWA KONCERTY SIEDEM PRAWYKONAN

KATOWICE, CIESZYN. Najmłodszy z uczniów prof. Bolesława Szabalskiego w katowickiej PWSM, zarazem ostatni jego wychowanek, kompozytor **Ryszard Gabryś**, obchodzący w sezonie 2017-18 jubileusz 75-lecia, przedstawił w październiku serię nowych utworów. Stało się to podczas koncertów autorskich w Katowicach na Wieczorce

Muzyki i Poezji, zorganizowanym przez kolebkę cyklu Śląską Trybunę Kompozytorów, którą jubilat przed 45-laty współtworzył w Państwowej Szkole Muzycznej im. M. Karłowicza, oraz w kościele ewangelickim „Na Niwach” w Czeskim Cieszynie, gdzie „Koncert Prawykonan” przygotował Instytut Muzyki UŚ. Oba wydarzenia przyjęto aplauzem.

WYRÓŻNIENIA DLA ARTYSTÓW OPERY ŚLĄSKIEJ

KATOWICE. 15 października, w katowickim kinoteatrze Rialto, odbyła się uroczystość wręczenia Nagród Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury za rok 2018. W gronie laureatów znalazła się **Dagmara Walkowicz-Goleśny** – scenograf, malarka, autorka kostiumów i scenografii do wielu spektakli, m.in., „Rzekoma ogrodniczka – La finta giardiniera” (kostiumy) oraz „Małego kominiarczyka” (scenografia). Laureatka Konkursu o Nagrodę Scenograficzną im. Jerzego Moskala w kategorii scenografii operowej. Jest też zastępcą kierownika Działu technicznego w Operze Śląskiej. Tym razem odebrała nagrodę dla młodych twórców. W gronie laureatów znalazł się także **Michał Znaniecki** – reżyser obsypanej wyróżnieniami (dla artystów, twórców i dzieła) opery „Romeo i Julia”, której premiera odbyła się na deskach bytomskiego teatru operowego.

POMNIK WOJCIECHA KORFANTEGO STANIE W SAMYM CENTRUM WARSZAWY

KATOWICE. Budowę pomnika Wielkiego Syna Śląskiej Ziemi w stolicy sfinansuje Instytut Pamięci Narodowej. O szczegółach inwestycji mówił wojewoda śląski Jarosław Wieczorek, i szef IPN dr Jarosław Szarek oraz dyrektor katowickiego oddziału Instytutu dr Andrzej Sznajder. Pomnik ma stanąć w samym centrum stolicy, czyli w Alejach Ujazdowskich. Zgodnie ze zwycięskim projektem Karola Badyńy z krakowskiej pracowni rzeźby „Forma” pomnik będzie przedstawiał postać śląskiego polityka opartego o mównicę. Ma ona być symbolem słynnego przemówienia Wojciecha Korfanteo w Reichstagu, które miało miejsce sto lat temu – 25 października 1918 r. Podczas swojej mowy Korfanty upomniał się o to, że Góry Śląsk powinien należeć do Polski. Budowa pomnika Wojciecha Korfanteo w Warszawie ma natomiast zostać ukończona w przyszłym roku. Będzie to czas symboliczny, bowiem Sejm RP ustanowił rok 2019 Rokiem Powstań Śląskich.

HOTEL SILESIA DO ROZBIÓRKI

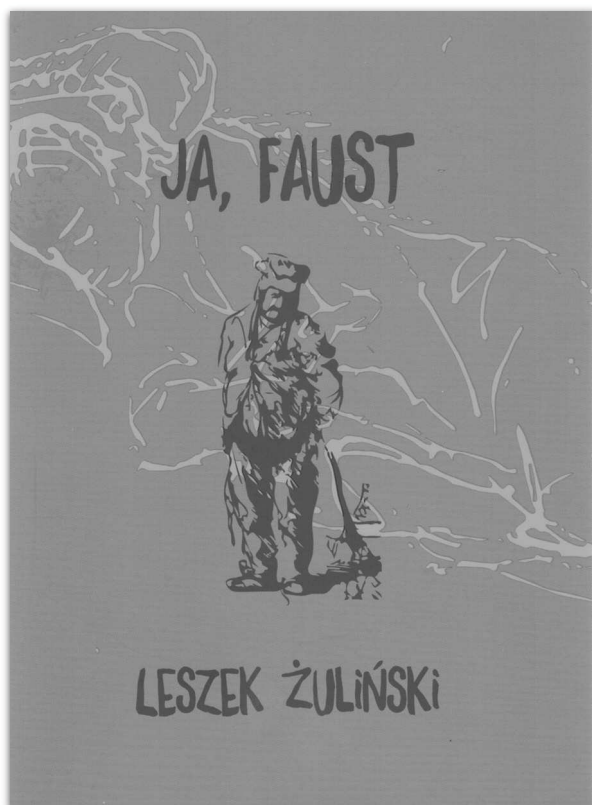
KATOWICE. Nie użytkowany od 2006 roku hotel Silesia w Katowicach zostanie wyburzony? Na wniosek właściciela firmy Vastint Poland miasto wydało pozwolenie na rozbiórkę tego wybudowanego w 1971 roku gmachu w ścisłym centrum Katowic. Pozwolenie będzie ważne przez trzy lata.

W PARKU ŚLĄSKIM POWSTANIE OSIEDLE MIESZKANIOWE?

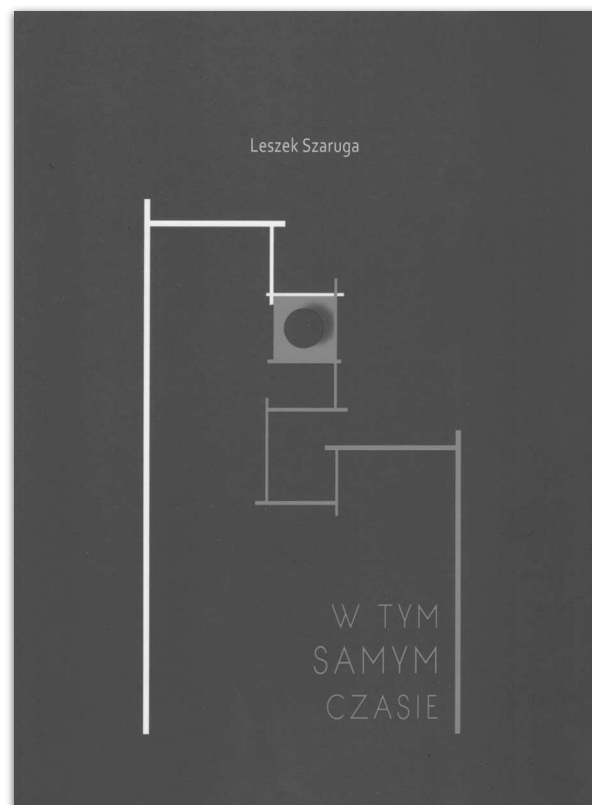
CHORZÓW. Na terenie po hali MTK przy ul. Targowej w Chorzowie ma powstać osiedle mieszkaniowe. To na razie tylko koncepcja. To dawny obszar Parku Śląskiego. Teren ten wykupił w tym roku prywatny inwestor, który zamiast centrum handlowego lub logistycznego planuje wybudować tu mieszkania. Chodzi o ponad 4 ha powierzchni, które wykupione zostały od Skarbu Państwa w połowie tego roku przez spółkę Green Park Silesia, czyli inwestora planowej inwestycji. W miejscowym planie ogólnego zagospodarowania przestrzennego teren ten przeznaczony jest pod usługi, pod handel. Chorzowski Plan Zagospodarowania Przestrzennego zakazuje inwestorom budowy w tym miejscu (na terenie przy ul. Targowej) budowy budynków mieszkalnych. W sierpniu tego roku weszła jednak w życie specustawa mieszkaniowa tzw. ustawa deweloperska, która ułatwia firmom budującym osiedla złożenie wniosku o budowę mieszkań, nawet na terenie, na którym nie przewiduje tego rodzaju zabudowy Plan Zagospodarowania Przestrzennego. Ta ustawa związana jest z programem Mieszkanie Plus, zgodnie z jej przepisami rada miasta ma obowiązek przeprowadzić głosowanie nad tego typu wnioskiem. To więc radni ostatecznie decydują, czy na terenie np. usługowym zezwólą na budowę mieszkań. Koncepcja osiedla mieszkaniowego zakłada budowę 15 budynków mieszkaniowych – 7- i 8-kondygnacyjnych.



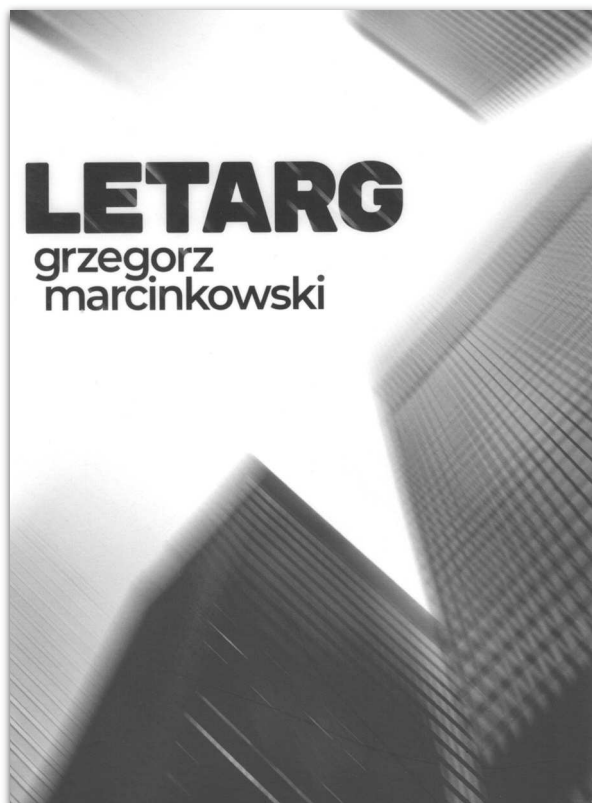
KSIĄŻKI NADESŁANE



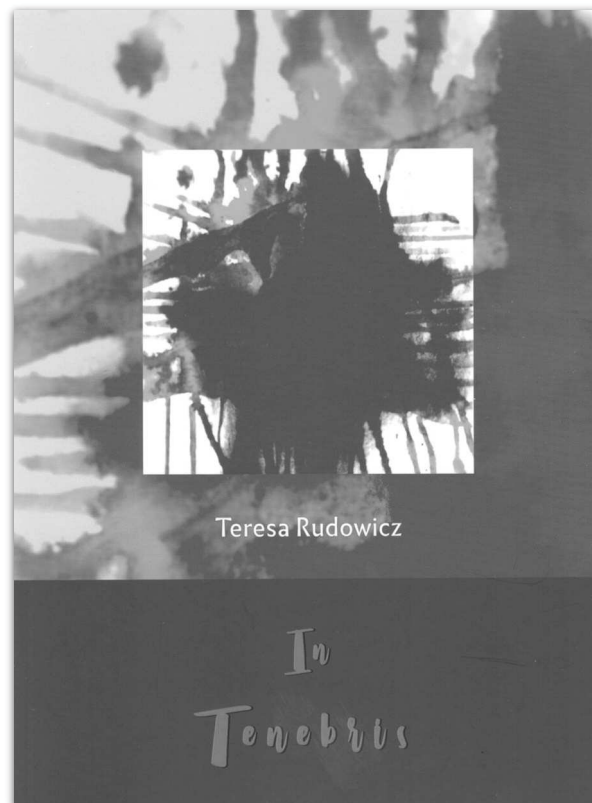
Leszek Żuliński, *Ja, Faust*,
Zaątek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2018



Leszek Szaruga, *W tym samym czasie*,
Zaątek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2018



Grzegorz Marcinkowski, *Letarg*,
Zaątek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2018



Teresa Rudowicz, *In Tenebris*,
Zaątek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2018



Pamiętki Bożego Narodzenia lat 1914–1918

Wojenne wigilie, wojenne prezenty

TOMASZ BIENEK

Obchodzona uroczystość w ubiegłym miesiącu setna rocznica zakończenia I wojny światowej, swoimi grudniowymi echemi przypomina o charakterystycznych dla tamtego czasu nieformalnych świątecznych rozejmach, do których dochodziło na pierwszej linii frontu. Z frontowymi Wigiliami lat 1914–1918 wiążą się też interesujące militarne relikty, czyli prezenty przysyłane w okresie Świąt Bożego Narodzenia dla walczących w okopach żołnierzy.

Gdy jesienią 1914 roku stało się jasne, że wysłane na wojnę oddziały wbrew zapowiedziom z lata tamtego roku nie wrócą na Święta do ojczyzn, w wielu zaangażowanych w konflikt krajach pojawiły się inicjatywy „osłodzenia” żołnierzom wigilijnego wieczoru, spędzanego na froncie z dala od domu.

Spśród wszystkich prób uhonorowania walczących na froncie żołnierzy gwiazdkowymi prezentami, na pierwsze miejsce wysuwa się świąteczna historia z 1914 roku, która miała miejsce w Wielkiej Brytanii. Dwa miesiące przed gwiazdką, 17-letnia księżniczka Mary, (dokładnie Wiktoria Aleksandra Alicja Maria, córka króla Jerzego V i królowej Marii), wpadła na pomysł ofiarowania każdej osobie walczącej za Brytyjskie Imperium gwiazdkowego prezentu od ojczyzny.

W listopadzie 1914 rozpoczęto w tym celu zbiórkę pieniędzy, a w odezwie do poddanych, rozpropagowanej przez brytyjską prasę, młoda arystokratka apelowała: „Proszę Was abyście pomogli mi wysłać świąteczny prezent od społeczeństwa dla każdego marynarza na morzu i każdego żołnierza na froncie”. Odzew Brytyjczyków był powszechny, a za zebrane pieniądze udało się ufundować coś, co najpierw do historii wojny a potem do kolekcjonerskiej terminologii przeszło jako „The Princess Mary 1914 Christmas Gift”. Podarunek od księżniczki Mary stanowiła umieszczona w bogato zdobionym, wykonanym z mosiężnej blachy pojemniku, kombinacja tytoniu, papierosów, słodyczy oraz drobiazków, jak przybory do pisania, scyzoryki, zapalniczki czy fajki. Nie

każdy obdarowany otrzymywał prezent o identycznym składzie. Brytyjczycy, zarówno oficerowie, jak i żołnierze, otrzymywali uncję tytoniu oraz paczkę z 20 papierosami, a także zapalniczkę oraz fajkę. Nieletni w królewskiej służbie (np. chłopcy okrętowi w Royal Navy) oraz osoby niepalące otrzymywały nieco inny zestaw podarunków, gdyż wyroby tytoniowe zastąpione były cukierkami oraz czekoladą. Inny zestaw podarunku księżniczki Mary otrzymały brytyjskie oddziały kolonialne. Hindusi dostawali w pudełku paczkę cukierków, oraz komplet ostrych przypraw typowych dla kuchni indyjskiej. Ich prezent nie zawierał tytoniu ani papierosów, których palenie w kulturze hinduskiej jest źle postrzegane. Oddziały złożone z Gurkhów (walecznych nepalskich górali) otrzymywały pudełko o identycznej zawartości co rdzenni Brytyjczycy.

Wszystkie prezenty zawierały ozdobną kartę z życzeniami, w których księżniczka życzyła żołnierzom zwycięskiego roku 1915 oraz szybkiego powrotu do domu. Do karty dołączone było składane zdjęcie z podobiznami królewskiej pary. Łącznie do brytyjskich oddziałów na różnych frontach trafiło ponad 2 620 000 prezentów księżniczki Mary. Część zestawów otrzymały rodziny poległych żołnierzy. Co ciekawe, pomimo szlachetnej idei wojenna proza życia zrobiła swoje i zaledwie 355 tysięcy dotarło na czas do odbiorców w Boże Narodzenie 1914. Inni żołnierze latami czekali na swój prezent, niektórzy aż do końca wojny.

Mosiężne pudełko na prezent od nastoletniej księżniczki stało się jednym z symboli I wojny światowej. Zwraca uwagę jego bogata szata graficzna. W centralnym punkcie umieszczono podobiznę ofiarodawczyni. Nad jej popiersiem widnieje napis Imperium Britannicum, zaś poniżej Christmas 1914. Na bokach pudełka umieszczono nazwy ówczesnych sojuszników Wielkiej Brytanii, czyli Francji, Belgii, Rosji, Japonii, Serbii i Czarnogóry. Resztę uzupełnia ornamentyka

o militarnym charakterze. Pojemnik stworzyli projektanci Stanley Adshead i Stanley Ramsey.

Ze względu na estymę, jaką cieszył się podarunek księżniczki Mary większość pudełek przetrwała do naszych czasów. Puszki te są obecnie wśród brytyjskich kolekcjonerów określane mianem kultowych przedmiotów, a w mentalności nawet tych Brytyjczyków, którzy nie interesują się historią, pojemniki te jako jeden z symboli Wielkiej Wojny są obecne na tyle, iż w 2014 roku brytyjska gazeta „Daily Mail” wypuściła okolicznościową serię replik tego pudełka dla uczczenia setnej rocznicy wybuchu I wojny światowej. Na marginesie warto dodać, iż w grudniu 2014 roku, w setną rocznicę bożonarodzeniowego rozejmu między Brytyjczykami a Niemcami pod Ypres, z kolei brytyjska sieć supermarketów Sainsbury’s wprowadziła do sprzedaży serię czekolad w opakowaniach z tamtej epoki. Dochód ze sprzedaży słodyczy retro przeznaczony został na cele dobroczynne.

Podobne inicjatywy, jak akcja księżniczki Mary, choć nie na tak wielką skalę, miały także miejsce w państwach centralnych. Po drugiej stronie frontu inna arystokratka, księżniczka Hesji i Renu, Irena – żona dowódcy pruskiej floty bałtyckiej, księcia Prus, Albrechta Wilhelma Henryka, wyposażyła załogi niemieckich okrętów podwodnych w sztuczne choinki – wówczas rynkową nowość. Gest wobec marynarzy wiązał się z faktem, iż na Bałtyku szkoliły się załogi U-Bootów. Składane drzewka bożonarodzeniowe zajmowały niewiele miejsca na pokładach, były więc cenione przez załogi. Księżniczka Irena zafundowała też niemieckim podwodniakom gramofony – a zyczącą posiadania tych urządzeń na pokładach przetrwał aż do końca kolejnej wojny światowej. Choć z inicjatywy księżniczki Ireny niemieccy marynarze floty podwodnej otrzymywali też książki, karty do gry i inne prezenty – ofiarodawczyni miała ułatwione zadanie; niemiecka flota podwodna nie była w okresie I wojny światowej tak liczna jak 20 lat później.

Ciekawym przykładem świątecznych prezentów z czasów I wojny światowej jest etui na cygara, które w Boże Narodzenie 1916 roku dostali żołnierze niemieckiej 5 Armii. Jej pułki zajmowały w tym czasie pozycje w rejonie Verdun, gdyż armia ta od samego początku bitwy była zaangażowana w niezwykłe krwawe walki właśnie na tym odcinku frontu. Wykonane z blachy stalowej, lakierowane na czarno pudełko ma wybite w górnym rogu napisy „5 Armee – Weihnachten 1916”. Pojemnik mógł pomieścić pięć grubych cygar, lecz przez pomysłowych frontowych żołnierzy – których inwencja w nadawaniu przedmiotom zupełnie nowych ról zdawała się nie mieć granic – używany był zapewne jako papierośnica lub pojemnik na różnego typu drobiazgi.